

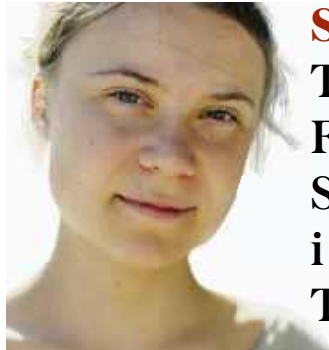
Waldemar Żurek
Drwal ze skalpelem

► 8



FOT. ŁUKASZ CYNALOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Selfieaktywiści
Tak nazywają Franka Sterczewskiego i Greę Thunberg ► 15



WYSOKIE OBCASY

Karolina Wigura
Endometrioza, filozofia i baśnie

MAGAZYN

wyborcza.pl

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

TOMASZ
SCHUCHARDT

**Na terapii
usłyszałem:
wywalił
panu
bezpiecznik**

► 28

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydanie Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



Neurołożka:
Niestety autyzm ma dziś twarz Muska i Hopkinsa ► 4

Co wolno artystce
„Piramida zwierząt”
Kozyry wraca ► 32

Po co nam ta Norymberga?
Alianci chcieli nazistów od razu rozstrzeliwać ► 40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 22-27 listopada 2025 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 271.11068, 1

Nakład 74 tys. + 317 tys. prenumerat cyfrowych

Bartosz T.
Wieliński

Dołączyliśmy do zachodniej Europy, niestety

Gdy 11 września 2001 r. samoloty porwane przez terrorystów z Al-Kaidy uderzyły w wieże Wolrd Trade Center i Pentagon byłem na kursie w Paryżu. I tu, po drugiej stronie Atlantyku, w ciągu nocy z ulic zniknęły kosze na śmieci, zastąpiły je stelaże z przeźroczystymi workami. Pojawiły się wojskowe patrole. Żołnierze nie nosili broni na ramieniu, karabiny trzymali w dłoniach.

Zimą 2011 r. na dworcu w Berlinie zobaczyłem podobny widok. Wnętrza hal patrolowali policjanci z pistoletami maszynowymi. Policjanci, bo niemiecka ustawa zasadnicza zabrania wykorzystywania wojska do pilnowania w kraju porządku. Po zamachach w 2016 r.

Rosjanie mają wielu agentów, którzy podróżują po Europie na ukraińskich papierach

wojsko pojawiło się na ulicach Brukseli i Antwerpii, niedawno włoskich żołnierzy, z bronią w ręku spotkałem na dworcu w małym Como we Włoszech. A teraz z żołnierzami z bronią będę zapewne mi-jać się na Dworcu Centralnym w Warszawie.

Będą mieli takie same zadanie, jak ich francuscy czy włoscy koledzy. Zwiększać poczucie bezpieczeństwa, chronić ludzi przed terrorem, natychmiast reagować na zagrożenia.

Dołączyliśmy do zachodniej Europy, nie ma co...

Pamiętam dyskusje o uchodźcach sprzed dekady, gdy PiS przestrzegał na wiecach i w wyborczych spotach, że nie wolno do Polski wpuszczać muzułmanów, bo zamienią nasz kraj w piekło. Mimo tolerowanej przez PiS niekontrolowanej migracji zagrożenie terrorem wcale nie przyszło z Bliskiego Wschodu, tylko z Rosji.

Boję się, że to co wydarzyło się na torach pod Garwolinem i pod Puławami to dopiero początek. Rosja jest zdesperowana, nie można wykluczyć, że Putin nie mogąc pokonać Ukraińców na froncie spróbuje dywersję sparaliżować ich zaplecze, jakim są państwa NATO.

Rosjanie mają wielu agentów, którzy podróżują po Europie na ukraińskich papierach. Wiedzą, gdzie uderzyć, wiedzą, jak potem wyłgiwać się z odpowiedzialności. Wysadzenie składu broni pod Złinem i zestrzelenie pełnego Europejczyków samolotu nad Donbasem w 2014 r. uszło im w zasadzie na sucho, tak jak użycie w 2019 r. nowiczoku przeciwko pułkownikowi KGB ukrywającym się w Wielkiej Brytanii.

Wojna hybrydowa ma to do siebie, że sprawcy nie zostawiają jednoznacznych śladów. Chodzi o to, by zaatakowane państwo traciło czas na wyjaśnianie, co się właściwie stało i walenie racji, czy warto z powodu jednego incydentu ryzykować wojnę.

Tę właśnie logikę trzeba przeciąć. Po dywersji pod Garwolinem i Puławami NATO powinno wysłać Rosji krótką wiadomość: że weźmie na niej odwet za każdą akcję dywersantów na swoim terytorium i za każdą ofiarę. Putin rozumie tylko język siły. Trzeba tylko zacząć go używać. ●

Andrzej rysuje



Idą święta, mimo wszystko Bombki zamiast bomb



FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zabłyśnie 3 grudnia, ale już zaczął się montaż 27-metrowej choinki na pl. Zamkowym w Warszawie. Na początku grudnia rozświetli się też Trakt Królewski, po raz trzeci i ostatni, w stylu lat 50. i 60. - pojawia się saturatory, sklepowa waga czy telefon z tarczą

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat tygodnia

Polska to taka drużyna, która z wielkimi gra lepiej, ze słabszymi słabiej, więc nie bardzo wiadomo jakiego rywala w barażach wypada jej życzyć



ZBIGNIEW BONIEK
Cała rozmowa na Wyborcza.pl

Filmowa klasyka buntu Ten szpital ciągle działa

Dwa dni temu minęło 50 lat od premiery kultowego filmu „Lot nad kukulczym gniazdem” Miloša Formana. Historia pacjentów szpitala psychiatrycznego, którzy stopniowo odnajdują w sobie odwagę, by sprzeciwić się bezdusznemu systemowi, to ekranizacja bestsellerowej powieści Kena Keseya – czerpał z własnych doświadczeń związanych z zażywaniem narkotyków i pobytem w ośrodkach zdrowia psychicznego.

„Dla mnie to nie była tylko literatura, ale prawdziwe życie. Życie, które wiodłem w Czechosłowacji. Partia Komunistyczna była moją pielęgniarką Ratched, która mówiła mi, co mogę, a czego nie mogę robić, – tłumaczył reżyser, Forman na łamach „The New York Times”.

To opowiedziana przez Wodza Bromdena historia Randle’a Patricka McMurphy’ego – pełnego uroku skazańca o awanturniczej naturze, który symuluje chorobę, aby uniknąć odbycia kary. Zostaje przyjęty do szpitala psychiatrycznego w Oregonie. Władzę w placówce sprawuje bezdusznym Wielką Pielęgniarką – siostrą Ratched, która zarządza tym miejscem dla tajemniczego Kombi-natu, ośrodka władzy kontrolującego społeczeństwo. McMurphy wszczyna bunt, rozbudzając ducha rebelii w innych



FOT. MATERIAŁY PRASOWE PAST PERFECT

Ken Kesey, widział w roli McMurphy’ego Gene’a Hackmana, ale on, jak i Marlon Brando odrzucili tę propozycję. Forman rozważał też Burta Reynoldsa. Ostatecznie wybór padł na Jacka Nicholsona, którego wielka sława miała dopiero nadejść.

Wyzwaniem było także obsadzenie roli siostry Ratched, którą finalnie zagrała Louise Fletcher. Kilka znanych aktorów – m.in. Geraldine Page i Anne Bancroft – odrzuciło tę propozycję. Złowieszcze postacie kobiece nie były w Hollywood na czasie.

Fletcher była bardzo wiarygodna: „Ludzie zatrzymywali mnie na lotniskach i mówili, jak bardzo mnie nienawidzą” – mówiła.

Film w odrestaurowanej wersji 4K jest wyświetlany w wybranych kinach studyjnych w całej Polsce. ●

Piotr Gruszkowski

• Cały tekst na Wyborcza.pl

W poniedziałek „Duży Format”

Polska niepijąca

Zmęczeni się kaczem, delegacjami „na bani” i klótniami po alkoholu, a teraz męczą ich pytania rodziny i znajomych: „Ze mną się nie napijesz?”

Reportaż Dawida Krawczyka



Najemnik nie ma narodowości

Ukraina potrzebuje nowej opowieści

Dlaczego obwiniamy Ukraińców, a nie Rosjan czy Białorusinów

Z DR. MATEUSZEM KAMIONKĄ
ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

42 procent komentarzy w serwisach społecznościowych sugeruje, że za incydentem w Życzynie, gdzie uszkodzono tory kolejowe, stoją Ukraińcy. I rzeczywiście, stoją – ale, jak podał premier Tusk – obywatele Ukrainy opłaceni przez Rosjan. A komentatorom chodzi o „ukraińskich” Ukraińców, prowokatorów i tak dalej. Dlaczego tak łatwo dajemy się nabrać na dezinformację? – Przede wszystkim musimy pamiętać, że rosyjskie służby wykorzystują do działań dywersyjnych także osoby mające paszporty Ukrainy i Białorusi – nie zawsze to są Rosjanie bezpośrednio.

Podobnie sytuacja wygląda w samej Ukrainie, gdzie za większością dywersji stoją cywile. Są łatwym celem dla obcych służb, ponieważ za tego typu działania otrzymują znaczną gratyfikację, co w czasie wojny bywa dla nich priorytetem, często ważniejszym niż dobro własnego kraju.

Dlaczego znaczna część polskiego społeczeństwa wierzy, że za aktami dywersji stoją Ukraińcy? Przecież to Rosjanie wywołali wojnę za naszą wschodnią granicą.

– Wciąż jako społeczeństwo nie zdajemy sobie sprawę, czym jest werbunek przez obce służby, którym oczywiście znacznie łatwiej jest pozyskiwać do takich działań obcokrajowców z szeroko pojętego obszaru postradzieckiego przebywających w Polsce. Tacy ludzie to po prostu najemnicy, przestępcy działający dla zysku, bez związku z ich narodowością. Dlatego warto systematycznie edukować społeczeństwo jak rozpoznawać zagrożenia i, że potencjalnie zwerbowanym, świadomie lub nie, może być dziś każdy.

Lecz środowiska skrajne wykorzystują tę sytuację, jednoznacznie obwiniając Ukraińców, a pomijając, kto jest rzeczywistym zleceniodawcą. Mielśmy już podobne przypadki, chociażby związane z podpaleniem hali handlowej Marywilska w Warszawie, gdzie za działaniami stały obce służby, ale w publicznej narracji akcentowano wyłącznie narodowość wykonawców.

Przy okazji ataków dronów było to samo: społeczeństwo uważało, że to robota Ukrainy, bo taki przekaz sączył się z serwisów społecznościowych, choć fakty podawane w tradycyjnych mediach temu przeczyły. Eksperci alarmują, że państwo polskie nie wykorzystuje wszystkich kanałów informacyjnych w takich sytuacjach. Ale mnie interesuje coś innego: co powinno się dziać pomiędzy atakami. Jak powinno działać państwo, media, opinia publiczna?

– Obserwuję, że zarówno polskie, jak i ukraińskie media w ostatnim czasie zaczęły się prześcigać w informowaniu, która strona jest „gorsza” – Polacy czy Ukraińcy. W ukraińskich rzadko ostatnio pojawiają się pozytywne informacje na temat Polski i Polaków, przebijają się głównie doniesienia o pobiciach lub ograniczeniu pomocy dla osób z tymczasową ochroną. Podobnie w Polsce mało

mówi się o pozytywnych aspektach integracji Ukraińców, a dominują materiały podkreślające problemy i konflikty.

Jednak poważne, tradycyjne media głównego nurtu dużo piszą pozytywnie o Ukraińcach – o tym, co kulturowo czy ekonomicznie wnoszą, obalają różne obiegi, podgrzewane przez prawicę mity, jak ten, że Ukraińcy żerują na polskim systemie. A hejt, ataki na Ukraińców potępiają. – Owszem. Ale proszę choćby przeanalizować ostatnią sytuację z pacjentem z Wrocławia, który zmarł, bo lekarze ponoć nie mówili po polsku. Sam uwierzyłem w tę wiadomość, którą publikowały duże portale informacyjne, takie, którym ufałem.

To pokazuje, jak z różnych przyczyn jesteśmy wszyscy podatni na fake newsy. Ale szybko tę informację z Wrocławia zweryfikowano i zdementowano. Właśnie dlatego, że to były prawdziwe media, nie serwisy społecznościowe, – Niemniej takie jednostronne przekazy pogłębiają wzajemny dystans i poczucie nieufności. A dodatkowym wyzwaniem są właśnie platformy społecznościowe, które jak gąbka wchłaniają wszelką agresję i nienawiść – i trzeba podkreślić, że nie tylko po stronie Polaków, również Ukraińców. Sprzyja to utrwalaniu i wzmacnianiu obcej narracji zamiast jej osłabiania.

Warto przy tym zastanowić się, dlaczego właśnie wśród najmłodszych Polaków jest największa niechęć wobec Ukraińców, co widać w różnych badaniach, w tym moich, przeprowadzonych na terenie Małopolski. Młodzież korzysta tylko z serwisów społecznościowych do uzyskiwania informacji, a tam nie dość, że mamy słabą reprezentację mediów wiarygodnych, to jeszcze masę dezinformacji.

Przykłady można wymieniać: za podpalenia marketów, nadawanie paczek z materiałami wybuchowymi, robienie zdjęć pociągom w pierwszej kolejność część Polaków od razu obwinia Ukraińców. Co to o nas mówi?

– Mówi to, że zwyczajnie się boimy. Ale też pokazuje, że po prawie czterech latach integracja nie posunęła się na tyle daleko, byśmy mogli sobie wzajemnie zaufać. Problemy, które pojawiły się w tym czasie oraz brak spójnej polityki integracyjnej sprawiają, że dezinformacja nie potrzebuje dziś specjalnego paliwa, aby działać skutecznie. Dostarczamy je niestety sami.

Po cichu liczę na to, że w końcu wszyscy zrozumiemy, że to nie jest moment na wzajemne nieporozumienia, lecz czas, w którym powinniśmy działać razem.

I kolejna sprawa: w niektórych przypadkach w aktach dywersji biorą udział obywatele Białorusi mieszkający w Polsce. Ale z badań nie wynika, że wzrasta niechęć wobec nich. Dlaczego? Z przyczyn dziejowych nie traktujemy ich poważnie?

– To ciekawy fenomen – czy ktoś kiedykolwiek słyszał hasło „Stop białorusinizacji Polski”? Ja nigdy, a zajmuję się tym

tematem od wielu lat. Różnica wynika przede wszystkim z tego, że, jakkolwiek by to zabrzmiało – Białorusini „nie rzucają się w oczy” ani pod względem tak silnej, jak ukraińska, promocji własnej tożsamości i kultury w Polsce, ani jako element ewentualnego *soft power* swojego państwa, z przyczyn wiadomych. No i oczywiście jest ich w Polsce również około pięć razy mniej niż Ukraińców.

Nie można też zapominać, że choć temat na pierwszy rzut oka nie ma związku z historią, to jednak w narracji propagandowej trudna, niekiedy krwawa historia jest intensywnie wykorzystywana w przypadku obywateli Ukrainy – natomiast w przypadku Białorusinów już nie.

W ostatnim rankingu nieufności SW Research poziom nieufności Polaków wobec Rosjan spadł o 6 punktów procentowych, z 57,2 procent do 51,7

To samo pytanie odnośnie Rosjan: czy wobec tego kraju i jego obywateli wzrasta niechęć w Polsce? To tylko indywidualna obserwacja, ale mam wrażenie, że nie. A to już dość dziwne. – Rosjan jest przede wszystkim zdecydowanie mniej niż innych narodowości w Polsce. Dodatkowo doskonale widzą, że tu nie mają szans przebić się ze swoją prorosyjską narracją tak, jak bywa to możliwe na Zachodzie. W efekcie statystyczny Polak nie ma nawet okazji spotkać obywatela Rosji w codziennym życiu.

Z drugiej strony, w ostatnim rankingu nieufności przygotowanym przez agencję SW Research poziom nieufności wobec Rosjan spadł o 6 punktów procentowych, z 57,2 procent do 51,7. To znacząca różnica i daje do myślenia. Zapewne związana z działalnością prorosyjską w serwisach społecznościowych oraz pracą nad wizerunkiem, jaka odbywa się w przestrzeni informacyjnej.

Czego my się tak naprawdę boimy, patrząc na Ukraińców? Historia historią, widoczna odrębność Ukraińców odrębnością, ale przecież zagrożenie pochodzi z Białorusi i z Rosji, naszego niemal odwiecznego wroga, a nie z walczącej o swoją niepodległość Ukrainy.

– Boimy się inności. Polska nie odrobiła lekcji, którą przerobiły już inne kraje, gdzie po czterech latach obywatele Ukrainy zdążyli zintegrować się ze społeczeństwem. U nas takiej polityki albo w ogóle nie było, albo była niespójna. Powodów tego jest wiele, nie chcę ich teraz rozwijać – ale doprowadziło to do sytuacji, w której często żyjemy obok siebie, a nie razem. Ale środowiska ukraińskie również powinny zrozumieć, że znaczna część ich rodaków planuje zostać w Polsce na dłużej, a dla takich osób integracja staje się priorytetem, podobnie jak dzieje się to w Niemczech czy we Włoszech.

Problemy, które pojawiają się w relacjach między Polakami a Ukraińcami, czy ściślej, w większości osobami objętymi tymczasową ochroną – w potocznym,

zmistyfikowanym rozumieniu: „przywilejami” – czyli uchodźcami – przekładają się bezpośrednio na poziom poparcia Polaków dla pomocy Ukrainie. To zjawisko jest katastrofalne, ponieważ mam pełną świadomość, jak niezwykle ważne jest dziś utrzymanie tego poparcia przede wszystkim dla dobra samej Ukrainy.

A może jest tak, że od zawsze – historycznie – postrzegaliśmy negatywnie Ukrainę i Ukraińców jako niewdzięcznych buntowników, a Rosję jako równoprawnego wroga, więc społeczną niechęć przenosi się nie na silniejszego przeciwnika, tylko walczącego sąsiada?

– Rok 2022 pokazał, że mimo różnic pochodzących z doświadczeń historycznych możemy współpracować w tak trudnym momencie. Sam byłem zdziwiony ogromną skalą wsparcia. Proszę jednak pamiętać, że wojna trwa już cztery lata i każdy jest jej ofiarą: osoby z terenów okupowanych, przyfrontowych, mieszkańcy Kijowa i zachodniej Ukrainy, osoby z doświadczeniem uchodźczym w Polsce, ale pośrednio również Polacy. Ukraina prowadziła bardzo skuteczną kampanię *soft power*, która naprawdę działała przez pierwsze dwa lata, pomoc z Zachodu, w tym z Polski, była wtedy olbrzymia. W pewnym momencie jednak konieczna była aktualizacja przekazu do nowych warunków geopolitycznych. Między innymi do tego, że część uchodźców planuje zostać w Unii Europejskiej, a ludzie pozostający wciąż w Ukrainie – wyjeżdżać z przyczyn ekonomicznych, aby szukać lepszego życia w Europie. A ostatnio również do tego, że otworzono granice dla młodych mężczyzn do 22 roku życia, co nie do końca pasuje do wcześniejszej narracji.

Zdaję sobie sprawę, że kraj jest skoncentrowany na konflikcie z agresorem, ale właśnie dlatego powinno się wypracować nową narrację. A to się nie wydarzyło, przynajmniej nie wobec Europy Środkowej.

Argument o obronie Europy nadal jest ważny – uważam wręcz, że najważniejszy – ale pozwolę sobie przytoczyć przykład: mój pradziadek, walcząc w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, przede wszystkim bronił swojego domu i kraju, a nie Niemców przed bolszewizmem, choć tak przecież było.

Wydaje mi się, że nasze społeczne poparcie dla Ukrainy coraz bardziej zaczyna definiować konflikt dotyczący polityki migracyjnej w Polsce w ogóle.

Wojna i technologia XXI wieku w Europie wygląda inaczej niż ta, którą zapamiętaliśmy z opowieści naszych dziadków. A jednocześnie nie wszyscy jesteśmy specjalistami od psychologii czy nauk społecznych, by rozumieć, dlaczego nasi ukraińscy sąsiedzi publikują w mediach społecznościowych na przemian zdjęcia z zagranicznych wakacji i apele o wpłaty na zakup dronów.

Albo dlaczego „rozbijają się u nas lexisami, bmw, zamiast być na froncie”.

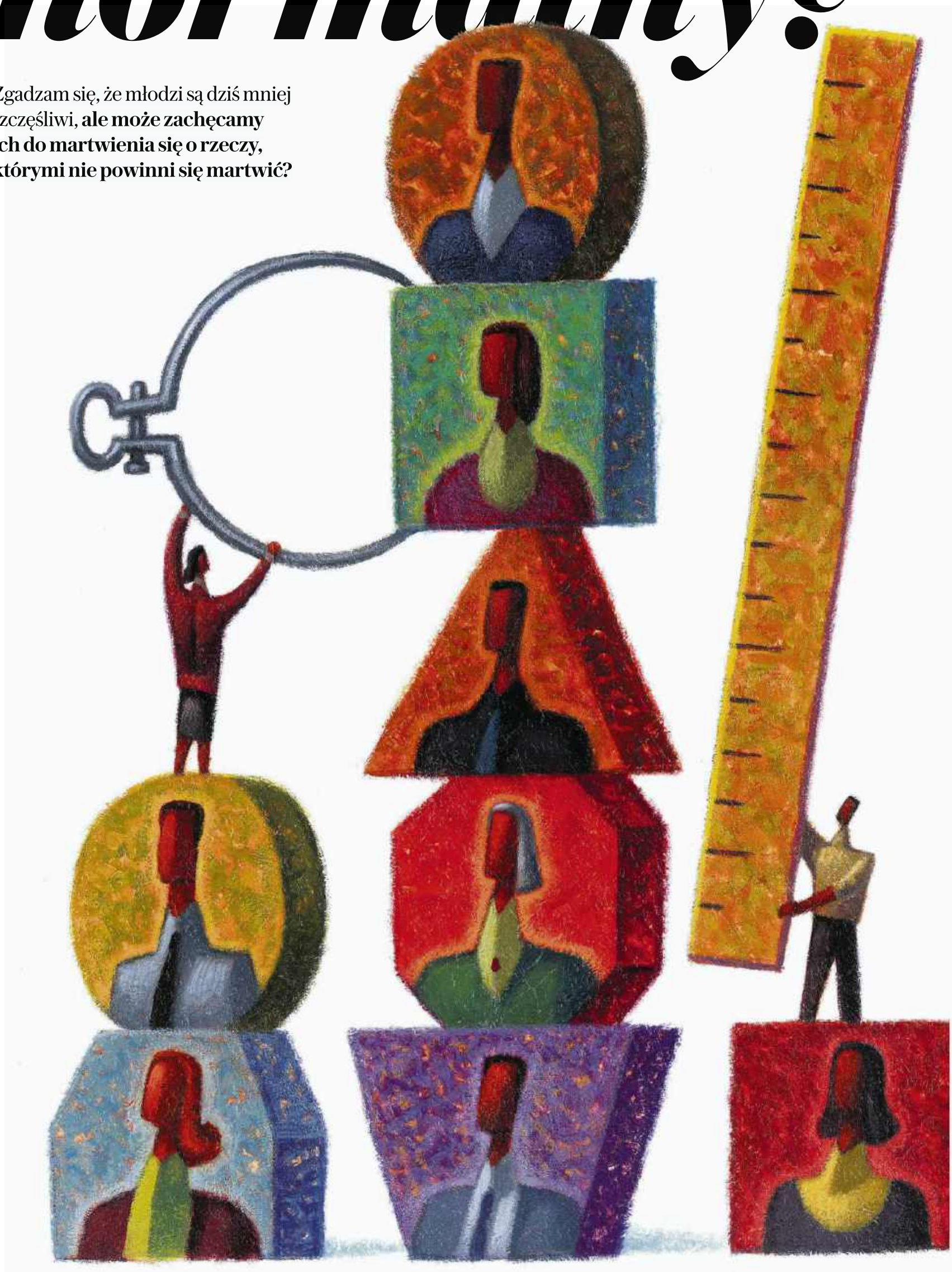
– To dysonans, który wiele osób odbiera emocjonalnie, a nie przez pryzmat realiów wojny i to również wpływa na nastroje społeczne. ●

Dr Mateusz Kamionka

– politolog, pracuje w Zakładzie Studiów Polsko-Ukraińskich Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oprócz tematyki ukraińskiej zajmuje się bezpieczeństwem w Europie Środkowej i Wschodniej oraz świadomością polityczną młodzieży. Był profesorem wizytującym w USA (Uniwersytet Illinois) i w Ukrainie (Połtawski Narodowy Uniwersytet Pedagogiczny), współpracował z Narodowym Centrum Nauki oraz amerykańskim War Survivors Institute, badając traumy ukraińskich uchodźców.

Kto dziś jest normalny?

Zgadzam się, że młodzi są dziś mniej szczęśliwi, ale może zachęcamy ich do martwienia się o rzeczy, którymi nie powinni się martwić?



Z **DR SUZANNE O'SULLIVAN***, BRYTYJSKĄ NEUROLOŻKĄ, AUTORKĄ „WIEKU DIAGNOZY”, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Pisze pani: „Diagnoza może być zarówno darem, jak i przekleństwem”
– Problem pojawia się, kiedy tylko opisuje bądź potwierdza to, z czym pacjent się zmagają, i na tym poprzestaje. Nie odpowiada na pytanie: „I co dalej?”.

Weźmy moją pacjentkę Darcie: dwudziestoletnią kobietę, którą skierowano do mnie na konsultację z powodu regularnych napadów drgawkowych. Z dołączonej dokumentacji dowiedziałam się, że od kiedy skończyła 13 lat, rozpoznano u niej ADHD, autyzm, zespół posturalnej tachykardii ortostatycznej (POTS), zespół Ehlersa-Danlosa z hipermobilnością (hEDS), a także kilka innych zaburzeń.

Za tymi diagnozami często nie idzie działanie, które pozwala zmniejszyć niepełnosprawność czy objawy. Stają się właśnie tym „punktem końcowym”. I choć przypadek Darcie wydaje się ekstremalny, to takich pacjentów i pacjentek – młodych osób z licznymi diagnozami – mam coraz więcej, co mnie niepokoi.

Do tego część tych diagnoz nie wynika z wykrycia konkretnej patologii. Opierają się wyłącznie na tym, że w jakimś momencie ktoś – jakieś medyczne gremium – przyjęło, co jest normą, a co nią nie jest.

Spójrzmy na POTS. U osób z tym zaburzeniem zmiana pozycji ciała z leżącej na stojącą powoduje gwałtowny wzrost tętna, a w konsekwencji zawroty głowy, a nawet zasłabnięcia. Diagnoza ta powstała wtedy, kiedy arbitralnie uznano, że jeśli tętno po wstaniu wzrośnie o mniej niż 30 uderzeń na minutę, to mieści się w normie, ale jeśli ten skok będzie wyższy, to kwalifikuje się jako zaburzenie.

Nie ma jednak jasnych przesłanek, dlaczego akurat tak ma być.

A co z ADHD czy z autyzmem, którym poświęca pani dużo uwagi? Przecież w ostatniej edycji klasyfikacji zaburzeń psychicznych DSM-5 są jasne wskazówki, czym się one objawiają i jak je diagnozować.
– Tyle że te wskazania na przestrzeni lat zmieniły się diametralnie.

Ciężką postać autyzmu diagnozowano już 50 lat temu i mam wielu takich pacjentów pod opieką. Mają poważne problemy z komunikacją, niektórzy w ogóle nie mówią, a także ogromne trudności z uczeniem się i funkcjonowaniem społecznym. Przy tym poziomie autyzmu ewidentnie widać nieprawidłowości w funkcjonowaniu mózgu, że jest on „inny”. I nie trzeba dyplomu lekarskiego, żeby móc to stwierdzić.

Z czasem jednak lekarskie komisje uznały, że diagnozę autyzmu należy poszerzyć i objąć nią także inne, łagodniejsze trudności w komunikacji, uczeniu się, pewien poziom społecznej nieśmiałości czy wyjątkowe zainteresowanie jakimś tematem lub czynnościami.

Stąd dziś mamy spektrum autyzmu, na którym mieszczą się zarówno osoby z jego ciężką postacią, jak i te z tymi łagodniejszymi.

– Tyle że linia pomiędzy tym, co mieści się w normie, a tym, co już wykracza poza nią – jest nieustannie przesuwana. Tak się zresztą dzieje nie tylko w przypadku autyzmu czy ADHD. Podobnie jest między innymi w przypadku nadciśnienia, cukrzycy, nadwagi, osteoporozy czy niewydolności nerek.

Kiedyś kryteria wskazujące na stan choroby czy zaburzenia były zbyt wąskie, więc kiedy lekarze i naukowcy zorientowali się, że przez to sporo osób nie kwalifikuje się do leczenia, postanowili je poszerzyć. Co ma sens – nie podważam tego.

Ale często te korekty nie bazują na naukowych odkryciach. Są kulturowo motywowaną decyzją wynikającą z tego, że chciano uwzględnić osoby z coraz to łagodniejszymi problemami.

Kiedy studiowałam medycynę, ponad 30 lat temu, POTS nie istniało. Zawroty głowy po wstaniu były czymś, co się po prostu czasem ludziom przydarzało. EDS, czyli zespół Ehlersa-Danlosa, był rzadką chorobą dziedziczną, aż stwierdzono, że istnieje ona również w łagodniejszych odmianach, takich jak hEDS.

Wszystkim tym zmianom przyświecają dobre intencje, jednak posunęliśmy się już za daleko – granica pomiędzy tym, co zdrowe, a tym, co chore, została przesunięta tak bardzo, że coraz częściej do kategorii osób chorych wpadają osoby zdrowe.

Pytanie, którejdy powinna ona przebiegać.

Granica pomiędzy zdrowiem a chorobą została przesunięta tak bardzo, że coraz częściej do kategorii osób chorych wpadają osoby zdrowe

– Oczywiście nie da się jej idealnie wytyczyć. Zawsze istnieje ryzyko, że zarysuje się ją w miejscu, które spowoduje nieznaczne niedodiagnozowanie lub naddiagnozowanie. Ale my już jesteśmy zupełnie gdzie indziej w tej dyskusji.

Granice, które obecnie wytyczamy, sprawiają na przykład, że ogromnej liczbie młodych ludzi mówi się, że ich mózgi nie rozwinęły się prawidłowo.

Przecież mamy profesjonalne testy diagnostyczne. Nie tak łatwo jest dostać diagnozę ADHD czy autyzmu, składa się z kilku etapów u różnych specjalistów. Dorosłemu, który się na nią decyduje, często towarzyszy bliski, który może potwierdzić, jak ta osoba funkcjonowała w dzieciństwie – co jest kluczowe w tego typu diagnozach.

– Zgoda, trzeba jednak pamiętać, że testy te zostały zaprojektowane zgodnie z kryteriami, które bardzo poluzowano – to po pierwsze.

Po drugie, nie mam problemu z testami, które przeprowadza się tak jak należy, ale ponieważ jednak tak wiele osób ubiega się dziś o diagnozę, coraz częściej można ją uzyskać w ośrodkach, które się w tym nie specjalizują.

Efekt? Kilka lat temu w USA przebadano grupę dzieci, u których autyzm został zdiagnozowany przez szkolny personel. Następnie ponowiono diagnozę, tym razem w specjalistycznym ośrodku – tam aż 47 procent dzieci nie spełniało kryteriów autyzmu. I takich danych mamy więcej.

W Wielkiej Brytanii różnice pomiędzy placówkami, w których diagnozuje się autyzm, są ogromne.

Jak pani je tłumaczy?

– Testy nie są całkowicie obiektywne. Dam przykład. Przy stawianiu diagnozy ważne jest pojęcie „upośledzenia funkcjonowania”. Liczy się nie tylko to, że występują jakieś trudności, czy zachowania, ale też to, że wpływają one negatywnie na życie osoby. Ale co to dokładnie oznacza? Tego już nie sprecyzowano.

Spytałam psycholożkę pracującą w jednym z największych londyńskich ośrodków diagnostycznych, czym dla niej jest „upośledzenie funkcjonowania”. Opowiedziała mi o czterdziestoletnim pacjentce, który po zakupach w supermarkecie czuł się tak przestymulowany i wykończony, że po powrocie do domu musiał się na godzinę położyć. Wielu psychologów nie uznałoby tego za dowód na upośledzenie funkcjonowania, jednak ta psycholożka uznała inaczej.

Jest jeszcze inny problem. Specjalista z jednego z ośrodków diagnostycznych opowiadał mi, że musieliby stworzyć cały system do obsługi skarg, które przychodzą, kiedy diagnoza nie zostaje postawiona. Tyle ich było. Wiele osób ma głębokie przekonanie, że diagnoza jest niezwykle przydatna, i niektóre ośrodki ulegają presji, żeby je stawiać.

Skąd się ta presja bierze?

– Według mnie z publicznej dyskusji, która tworzy wrażenie, że gdy otrzymuje się diagnozę ADHD albo autyzmu dla siebie lub dla swojego dziecka, otwierają się drzwi do czegoś pozytywnego: „Moje życie było niewiarygodnie trudne, dostałem diagnozę, moje życie stało się wspaniałe”. Oczywiście po diagnozie przychodziło moment ulgi, jednak to za mało.

W tej chwili na przykład stawiamy ogromną liczbę diagnoz autyzmu i ADHD trzydziestolatkom, czterdziestolatkom, a nawet starszym osobom. Owszem, słyszymy od nich o poczuciu ulgi czy „bycia widzianym”, ale nie mamy żadnych badań, które by pokazywały, jak diagnoza wpłynęła na ich życie, czy rzeczywiście zmieniła je na lepsze, co się działo potem.

Ale czy poczucie ulgi i uznanie dla trudności nie wystarczą? Wielu dorosłych po otrzymaniu diagnozy neuro różnorodności, w tym jeden z pani rozmówców – Miles, twierdzi, że diagnoza pozwoliła im lepiej zrozumieć choćby to, dlaczego mieli takie kłopoty w utrzymaniu pracy albo dlaczego relacje nie bardzo im się układały.

– Pytanie, po co nam właściwie diagnozy? Miles jest dorosły. Ma 60 lat, rodzinę, wyższe wykształcenie, jakieś życie

społeczne, zawód. Zanim dostał diagnozę, jego mózg był ukształtowany, a jego życie obrało już jakiś kurs. Nie martwię się więc tak bardzo o takie osoby jak Miles. Martwię się o dzieci i nastolatki z łagodniejszego końca spektrum, a także o szerszy obraz tej sytuacji.

Po pierwsze, jeśli chodzi o możliwości, umiejętności, sposób funkcjonowania, Miles nie ma praktycznie nic wspólnego z osobami, które spełniają klasyczne kryteria diagnozy autyzmu. On i moi pacjenci z ciężkim autyzmem, mimo że dziś znajdują się w jednej kategorii, są jak dzień i noc. To oznacza, że badania nad tą grupą – czym dokładnie jest to zaburzenie, analizy genetyczne, badania nad mózgiem – są trochę pozbawione sensu.

Po drugie, tak duże poszerzenie diagnozy autyzmu ogranicza też dostęp do pomocy i zasobów – terapii, różnego rodzaju wsparcia – tym najbardziej potrzebującym. Ludzie tacy jak Miles stoją w tej samej kolejce co osoby, które wymagają praktycznie całodobowej opieki.

O tym opowiada historia Agathy i jej syna Elijah.

– Elijah, jak wielu moich pacjentów, ma ciężką postać autyzmu. Nie byłby w stanie chodzić do szkoły ani poruszać się bezpiecznie po ulicach, gdyby ktoś przy nim bez przerwy nie był. Na skutek tego, że publiczna dyskusja na temat autyzmu została zdominowana przez opowieści o doświadczeniach osób z jego łagodniejszą postacią, osoby takie jak on stają się coraz bardziej niewidoczne, a ich głosy nie są reprezentowane.

Jak pani pisze, twarzami autyzmu są dziś często Elon Musk czy Anthony Hopkins.

– Co sprawia, że część osób zaczyna myśleć, że autyzm ma tylko taką twarz.

Poza tym na tym łagodniejszym końcu spektrum coraz częściej pojawia się argument, żeby nie nazywać osób z taką diagnozą – osobami z autyzmem, tylko osobami autystycznymi, gdyż tacy są i z tym się utożsamiają.

Nie mam nic przeciwko temu, żeby ludzie dążyli do tego, by być jak najbardziej autentycznymi, ale jeśli ma się ciężki autyzm, to nie będzie się w stanie przetrwać, będąc jak najbardziej autentyczną, autystyczną wersją siebie.

Co chce pani przez to powiedzieć?

– Gdyby osoby takie jak Elijah nie uczyły się, jak pracować w hałaśliwym otoczeniu, jak poruszać się po ruchliwej ulicy w tłumie, jak znieść płacz dziecka czy inne nieprzyjemne dla nich dźwięki, nie miałyby życia. Opowieść o pełnej akceptacji tego, kim się jest, nie jest więc dla nich zbyt pomocna.

Elijah, który dziś jest już dorosły, miał to szczęście, że przez jakiś czas mógł chodzić do zwyczajnej szkoły. Oczywiście nie był w stanie nadążyć za innymi dziećmi, miał dodatkowe wsparcie, ale dzięki temu nauczył się być wśród rówieśników, a oni nauczyli się przebywać z takimi osobami jak Elijah. Nie wiem, jak jest w Polsce, ale problem ze specjalnymi szkołami w Wielkiej Brytanii jest taki, że coraz chętniej przyjmują one dzieci z łagodniejszym autyzmem, a coraz mniej chętnie te z ciężkim.

Nie twierdzą, że osoby z łagodnego końca spektrum nie potrzebują jakiegś formy pomocy. Miles zmagал się z różnymi problemami i ewidentnie wymagał wsparcia. Nie wierzę natomiast, że diagnoza autyzmu jest właściwą diagnozą dla absolutnie wszystkich osób z tej grupy.

Uważa pani zatem, że osoby z łagodniejszą postacią autyzmu powinny mieć inną diagnozę?

– Pytanie, czy na pewno jej potrzebują i na ile jest ona im pomocna?

Z opowieści Mileasa wiemy, że wybrał nieodpowiednią karierę, a być może w ogóle – drogę życiową. Diagnoza pozwoliła mu to zobaczyć i uznać. Nie uważam jednak, żeby była niezbędna do poczynienia takich refleksji.

Kłopot w tym, że jeśli zaczynamy postrzegać takie trudności jak Mileasa jako stricte medyczne, to niemal każde niepowodzenie zaczyna się jawić jako efekt jakiegś patologicznego procesu zachodzącego w organizmie. A to odrywa nas od przyjrzenia się innym okolicznościom, które wpływają na nasze życie – warunkom, w jakich wzrastaliśmy, naszym wyborom, osobistym trajektoriom.

=====

***dr
Suzanne
O'Sullivan**

• brytyjska neurolożka, pracuje w Państwowym Szpitalu Neurologicznym i Neurochirurgicznym oraz w Towarzystwie Epileptologii. Ma ogromne doświadczenie w pracy z pacjentami psychosomatycznymi. Autorka bestsellerów, m.in.: „Wszystko jest w twojej głowie”, „Śpiące królowny. Tajemnicze przypadki ze świata neurologii” oraz najnowszej „Wiek diagnozy” (tłum. Jan Dziergowski, wyd. Znak Literanova).

Zastanawiam się, czy nie możemy być bardziej wyrozumiali i życzliwi dla siebie bez zaświadczenia, że mamy zaburzenie neurorozwojowe albo inne? I czy nie lepiej byłoby, gdybyś mogli jakoś zastanowić się nad swoim życiem bez konieczności sięgania po diagnozę?

Potrzebujemy też chyba systemu, który oferowałby wsparcie osobom w kryzysie, bez automatycznego klasyfikowania ich problemów jako medycznych.

– Zgadza się. Osobiście diagnozy medyczne zostawiłabym osobom z ciężką postacią zaburzeń, ale w Wielkiej Brytanii jest grupa psychologów i psychiatrów, należy do niej między innymi Lucy Johnstone, którzy są przeciwni wszelkim etykiom diagnostycznym.

Johnstone uważa, że zamiast próbować przypisać zaburzenia pacjenta do określonych kategorii, powinniśmy raczej dopytywać: Co ci się przytrafiło? Jak się wówczas poczułaś? Jaki to miało na ciebie wpływ? Jak sobie poradziłaś? Pomóc mu zrozumieć jego historię i wspierać w tym, żeby poczynił niezbędne zmiany na tyle, na ile to możliwe. Łatwiej je wprowadzić, jeśli rozumie się swoje trudności też jako rezultat pewnych doświadczeń i okoliczności, a nie tylko i wyłącznie biologicznej dyspozycji, bo tej nie da się zmienić.

Znów, w przypadku pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatka to może nie mieć aż takiego znaczenia, ale 15-latek, który słyszy, że jego problemy z nawiązywaniem relacji czy kłopoty z organizacją pracy wynikają z neurorozwojowego zaburzenia, może uznać, że są one czymś stałym, czego absolutnie nie da się prześkoczyć.

Medyczna diagnoza nie jest odpowiedzią na wszystkie problemy, choć nie winię ludzi, że

W tej chwili w Wielkiej Brytanii prawie jedna trzecia uczniów w związku z jakimś rozpoznaniem dostaje dodatkowy czas na egzaminach, a duży odsetek korzysta z cichych miejsc pracy. Szkoły się dostosowują. To miłe rozwiązanie, jednak na dłuższą metę narażają one dzieci na porażkę.

Dlaczego?

– Bo w dorosłości te dzieci nie zawsze dostaną specjalne warunki. Jak się wtedy poczują? Jak to wpłynie na ich samoocenę?

Koordynatorzy ds. specjalnych potrzeb edukacyjnych powiedzieli mi, że lepszą strategią jest na przykład pomoc takim dzieciom i nastolatkom w ćwiczeniu, jak najlepiej zorganizować sobie pracę tak, żeby jednak spróbować zmieścić się w wyznaczonym czasie. Bo to lepiej przygotowuje na prawdziwy świat, który ma oczekiwania, bywa głośny, chaotyczny, nieprzyjemny.

Oczywiście są uczniowie, którzy absolutnie wymagają udogodnień. Powinniśmy jednak umieć ich odróżnić od tych, którzy przy jakimś wsparciu będą umieć różne swoje ograniczenia przekroczyć.

Myszę sobie, że gdyby Elijah nie był przez całe życie mobilizowany do radzenia sobie, to dziś być może w ogóle nie wychodziłby z domu. A ma pracę, znajomości.

– Dokładnie to powiedziała jego matka, że gdyby robiła to, o co wielu teraz postuluje, to Elijah byłby zupełnie niesamodzielnym. A jej największym lękiem jest to, że jej syn wyląduje w jakiejś placówce opiekuńczej.

Oczywiście Elijah dostał w życiu dużo pomocy, świat czasem dostosowywał się do jego ograniczeń, ma niezwykle troskliwą ma-

dziewczynka wędruje od specjalisty do specjalisty, gromadzi kolejne diagnozy, i próbował ustalić jedną wspólną dla wszystkich tych objawów.

Ma pani jakieś przypuszczenia, co by to mogło być?

– Okazało się, że napady drgawkowe, z którymi zgłosiła się do mnie Darcie, mają podłoże psychosomatyczne. Co mnie nie zdziwiło, dwie trzecie moich pacjentów z takimi napadami ma padaczkę, u pozostałych przyczyna jest całkowicie psychologiczna.

Na skutek skomplikowanych procesów psychicznych zaczynają błędnie interpretować sygnały z ciała. Przykładają zbyt wielką uwagę do różnych bodźców, których większość z nas nie rejestruje, na przykład do szybszego oddechu, bicia serca, zawrotów głowy. Żeby było jasne, ten proces jest całkowicie nieświadomy i z czasem postępuje.

Wydaje mi się, że Darcie należy do tej grupy bardzo wrażliwych osób, u której jeden problem medyczny uruchomił cały „pociąg”. Ktoś na przykład ma bóle stawów, idzie do lekarza, dostaje jakąś diagnozę, co sprawia, że zaczyna się wyjątkowo koncentrować na swoim ciele. Pojawiają się kolejne objawy, kolejny lekarz, kolejna diagnoza itd. Taki „medyczny pociąg” bardzo trudno jest zatrzymać.

Próbowałam delikatnie uświadomić Darcie, że droga, którą podąża, najwyraźniej się nie sprawdza, skoro z roku na rok czuje się coraz gorzej. Chciałam namówić ją na skorzystanie ze wsparcia psychologicznego i rehabilitacji, dzięki którym nauczyłaby się odwracać uwagę od różnych fizycznych symptomów, które ją niepokoją, ale nie chciała słuchać. Stwierdziła, że się nie znam.

ry szpital jest lepszy, że pojawiło się nowe badanie, lek, terapia. Niektóre rodziny dowiadują się, jak ubiegać się o zasiłek dla niepełnosprawnego dziecka.

Nie jestem też przeciwna temu, żeby ludzie dzielili się swoimi doświadczeniami z innymi. Problem pojawia się wtedy, kiedy te opowieści sprowadzają się do rozmów o chorowaniu. I jeśli ludzie nie szukają innych zainteresowań czy wsparcia, poza tą jedną siecią.

W książce daje pani świetny przykład, który pokazuje tę różnicę. Dotyczy on „długiego COVID-u”, który Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) nazywa „zespołem post-COVID”. Chodzi o uporczywe objawy utrzymujące się wiele miesięcy po przechorowaniu koronawirusa.

– Ta kategoria od początku była problematyczna. Różni lekarze różnie ją definiowali, bo nie istniały badania diagnostyczne, które jednoznacznie potwierdziłyby chorobę. W związku z tym w szybkim tempie lista objawów urosła do ponad dwustu, a wśród nich takie niespecyficzne jak: duże zmęczenie, bóle głowy, mięśni, depresja, stany lękowe czy bezsenność.

Co ciekawe, „długi COVID” znaczenie częściej występował u osób, które zakażenie koronawirusem przeszły łagodnie, były młode, ogólnie zdrowe, sprawne, niż u tych, które były hospitalizowane, pod respiratorami i miały choroby współistniejące.

Z mojej perspektywy, czyli lekarki zajmującej się między innymi leczeniem chorób psychosomatycznych, u wielu pacjentów z tej grupy „długi COVID” miał typowe cechy zaburzenia psychosomatycznego. Występowała ogromna rozbieżność pomiędzy nasileniem objawów a obiektywnym obrazem choroby stwierdzonym w badaniach. Dużo osób na przykład skarżyło się na trudności z oddychaniem, podczas gdy ich płuca okazywały się zupełnie zdrowe. Inni mówili o ogromnym zmęczeniu, ale wszystkie ich wyniki były w normie.

Pandemia COVID-19 stworzyła idealne warunki do powstania objawów na tle psychosomatycznym.

Proszę rozwinąć.

– Zwykle ten proces zaczyna się od tego, że pojawia się jakiś realny powód, by martwić się o swoje zdrowie. Człowiek staje się wyczulony na różne zakłócenia z ciała, które wcześniej ignorował. Zauważa jeden symptom, drugi, podświadomie wiąże je z chorobą, aż zaczyna wierzyć, że coś mu dolega.

W pandemii codziennie informowano nas, ile osób się zakażyło, ile zmarło. Stale przypominało nam, jak się objawia COVID-19, i na co zwracać uwagę. Poza tym wiele z nas gorzej się odżywiało, gorzej sypiało, mniej się ruszało, co mogło sprawić, że rozmaite sygnały w ciele ulegały dodatkowemu wzmocnieniu. W następstwie u niektórych mogły się pojawiać dolegliwości, które nie zostały wywołane przez koronawirusa, tylko przez te nieświadomione procesy psychologiczne.

To nie znaczy, że te dolegliwości nie są realne, prawda?

– Są jak najbardziej realne! Mogą nawet prowadzić do niepełnosprawności, zwykle też trudniej się je leczy. I jeśli mówię, że u niektórych osób „długi COVID” może mieć podłoże psychosomatyczne, to nie znaczy, że umniejszam ich cierpienie. Ale właśnie dlatego, że chorób psychosomatycznych często nie traktuje się poważnie, zbyt rzadko wskazuje się je jako możliwą przyczynę „długiego COVID-u”.

Mam poczucie, że „długi COVID” pozwolił niektórym osobom – które nie doświadczyły wielkich tragedii, jak strata bliskich czy pracy, ale mimo to zmagaly się z różnymi problemami w samotności – jakoś wyrazić to swoje cierpienie. Dał im język, który miał sens w danym kontekście. Tak jest zresztą od niepamiętnych czasów, że opowiadamy o swoim cierpieniu i prosimy o pomoc w kulturowo zrozumiały w danym momencie sposób.



jej szukają. Jeśli ktoś jest w kryzysie, w dużym stresie, a jedyną drogą do uzyskania pomocy wydaje się ścieżka medyczna – to jakie ta osoba ma wyjście?

Pisze pani, że niebezpiecznie się robi, gdy diagnoza staje się częścią tożsamości. Co pani przez to rozumie?

– Jeśli ktoś z łagodniejszego krańca spektrum chce być nazywany osobą autystyczną, a nie osobą z autyzmem, to jest właśnie o tożsamości. Problem w tym, że jeśli ktoś tak mocno identyfikuje się ze swoją chorobą czy zaburzeniem, to będzie raczej nasilało jego trudności, a nie je łagodziło.

Jak ma zdrowieć czy też lepiej funkcjonować osoba, której tożsamość jest nierozwalnie związana z diagnozą, skoro ta wymaga „uposłedzenia funkcjonowania”?

Coraz więcej firm stara się dostosować do potrzeb takich osób. Tworzy się na przykład ciche miejsca pracy, eliminuje różne bodźce, pozwala na więcej pracy samodzielnej. Co w tym złego?

– Nie ma niczego złego w tym, że pracodawcy starają się być uważni na specjalne potrzeby pracowników i tworzą warunki, które pozwalają im osiągnąć jak najlepsze efekty. Ale znów, co innego jest, kiedy mówimy o 40-latku, któremu lepiej się pracuje w cichym biurze, a co innego – kiedy wyjątkowe warunki stają się punktem wyjścia, na przykład w szkołach.

Ogromnej liczbie młodych ludzi mówi się dziś, że ich mózgi nie rozwinęły się prawidłowo

mę, jednocześnie jednak pracowano z nim nad tym, żeby potrafił radzić sobie z wyzwaniami. Dziś natomiast w przypadku dzieci i nastolatków z tego łagodniejszego krańca spektrum często nie podejmuje się takich interwencji. Moim zdaniem to błąd.

Szkoła powinna być miejscem, w którym dzieci uczą się rozpoznawać swoje ograniczenia, ale także swoje mocne strony; gdzie dowiadują się, co ich interesuje i co sprawi, że w przyszłości będą czerpać więcej satysfakcji z życia. Obecny system skupia się bardziej na ich słabościach i na tym, jak się do nich dostosować, tracąc z oczu cały ten potencjał.

Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie uważam, że powinniśmy wrócić do moich czasów szkolnych, kiedy to u żadnego ze 120 uczniów na moim roku nie zauważono żadnych problemów. Proponuję tylko, żebyśmy zauważyli te dzieci, które sobie nie radzą, i próbowali jak najlepiej je wesprzeć, ale żeby to zrobić, nie za każdym razem musimy stwierdzać ADHD, autyzm czy inne zaburzenie.

To nadużywanie etykiet budzi mój sprzeciw, a nie uznanie czyichś trudności.

Problem leży też w tym, jak kształci się dziś lekarzy. Coraz bardziej się specjalizujemy, a to sprawia, że coraz trudniej zobaczyć pacjenta jako całość.

Byłoby lepiej, gdyby Darcie, o której mówiłam na początku, już na wcześniejszym etapie trafiła do kogoś, kto by się zorientował, że

Rozumiem, że dla wielu osób to, co mówię, jest trudne. Ale jeszcze raz podkreślę: nie chcę pozbawiać ludzi ich diagnoz, jeśli rzeczywiście uznają je za użyteczne. Chciałabym jedynie, żebyśmy byli bardziej rozważni, kiedy będziemy je stawiać w przyszłości. I przyglądali się temu, czy i jak sprawdzają się one na dłuższą metę.

Podobnie jest z lekami. Kiedy wypuszcza się nowy lek na rynek, nie wystarczy, że ludzie powiedzą: „Super, to działa!”, prawda? Trzeba monitorować, co się z nimi dzieje, uwzględnić efekty uboczne itd. Tak też powinno być w przypadku nowych diagnoz i technologii medycznych. A my tego nie śledzimy.

Czasem wraz z diagnozą pojawia się grupa wsparcia. Pani uważa jednak, że nie każda taka sieć wzmacnia.

– Od wielu osób z ADHD, autyzmem czy innymi zaburzeniami, takimi jak choćby przewłoka borelioza, słyszałam, że „w końcu znaleźli swoje plemię”.

Spółeczność jest świetna, jeśli wspiera w pokonywaniu trudności. Jeśli jednak koncentruje się wyłącznie na zaburzeniu, objawach, może utrudniać powrót do zdrowia czy lepszego samopoczucia.

Wielu moich pacjentów z padaczką należy do takich grup. Wie pani, kiedy są one naprawdę pomocne? Kiedy można tam zdobyć informację, do jakiego specjalisty się udać, któ-

Wróćmy do społeczności chorych i roli, jaką mogą odegrać w zdrowieniu.

– Na początku pandemii profesor Paul Garner, specjalista od chorób zakaźnych, zachorował na COVID-19. Przeszedł go dość łagodnie, lecz przez wiele tygodni nie mógł dojść do siebie. W internecie trafił na grupy osób, które zmagaly się z podobnymi objawami, w tym na społeczność osób z zespołem przewlekłego zmęczenia wywołanym innymi zakażeniami, które chorowały od wielu lat. Postanowił skorzystać z ich doświadczenia, a oni poradzili mu, żeby się oszczędzał: robił tylko to, co jest w stanie, i pogodził się z tym, że już raczej tak będzie.

Na początku przyniosło mu to ulgę, z czasem jednak zauważył, że mu się nie polepsza. Wtedy trafił na inną grupę wsparcia, z Norwegii, która miała inną strategię – nastawioną na przekraczanie różnych trudności i na zdrowienie.

Usłyszał, że powinien się mniej skupiać na objawach, nauczyć się przenosić tę uwagę gdzie indziej i nie reagować na każdy nowy symptom. Tak zrobił, a wkrótce jego samopoczucie zaczęło się poprawiać, a pod koniec roku był już całkiem zdrowy.

Na swoim blogu pisał: „Unikałem czytania o chorobie i symptomach, o badaniach i terapiach. Opuściłem facebookowe grupy zrzeszające pacjentów. Szukałem radości, szczęścia, uśmiechu”. Pisał też: „Uwierzyłem, że wyzdrowieję”.

– To jest klucz: żeby wyzdrowieć, trzeba uwierzyć, że jest to możliwe. Problem w tym, że niektóre ze współczesnych koncepcji chorób czy zaburzeń mają wbudowane pojęcie chroniczności, co oznacza, że zakłada się, iż są stałą cechą tego, kim się jest.

Ale przecież nie można wyzdrowieć z autyzmu czy ADHD.

– Oczywiście, nie da się wyzdrowieć z ciężkiego autyzmu czy ADHD. Jest to jednak możliwe w procesie dorastania i przy jakimś wsparciu, jeśli diagnoza została postawiona na wyrost.

Mówiliśmy o tym, wiele z tych diagnoz to pojęcia kulturowe. Wynikają z decyzji, co jesteśmy gotowi uznać za normalne w danym momencie, a co nie. Weźmy „maskowanie”, które zostało włączone do diagnozy autyzmu, czyli strategię, które stosują osoby w spektrum po to, by ukryć swoje autystyczne cechy i lepiej dostosować się do reguł społecznych.

Ja bym sądziła, że jeśli ktoś to robi od wielu lat, to znaczy, że jednak jest w stanie jakoś pokonać swoje trudności. I wołałabym, żeby ludzie postrzegali to raczej jako znak, że taka osoba sobie radzi, a nie jako stałą cechę autyzmu.

Na marginesie, w swojej poprzedniej książce pod tytułem „Śpiące królowny” przyglądałam się kulturom, które inaczej formułują różne kwestie związane ze zdrowiem psychicznym. Nam, na „Zachodzie”, często się wydaje, że robimy wszystko najlepiej. Oczywiście mamy lepsze leki, specjalistyczne urządzenia, testy genetyczne, ale jeśli chodzi o leczenie problemów zdrowia psychicznego, nie jestem wcale pewna, czy zawsze możemy zakładać naszą wyższość.

Rozmawialiśmy o tej książce kilka lat temu. Powiedziała mi pani wtedy o „zachodnich” psychologach, którzy przyjechali na Sri Lankę pomagać lokalnym mieszkańcom po tsunami. Zamierzali prowadzić interwencję kryzysową, podczas gdy Lankijczycy mieli zupełnie inne podejście.

– Oni chcieli jak najszybciej wrócić do swoich codziennych zajęć, zostawić te przeżycia za sobą, bo ta strategia się u nich wcześniej sprawdziła. „Naszym” psychologom zaś wydawało się, że bez psychologicznego wsparcia mieszkańcy mogą być traumatyzowani na całe życie.

Wspomnialiśmy o tym, że ktoś pod wpływem sugestii może rozwinąć pełne objawy choroby. Tak było też w przypadku pani pacjentki Valentiny. Jej matka chorowała na ciężką, nieuleczalną chorobę Hunting-

tona, której pierwsze objawy pojawiają się pomiędzy 30. a 50. rokiem życia. Valentina mogła zrobić test, żeby sprawdzić, czy ją odziedziczyła, lecz zwlekała. W pewnym momencie zaczęła odczuwać typowe dla tej choroby objawy i nabrała przekonania, że jest chora. Ostatecznie test to wykluczył. Jak to jest, że można „zachorować”, nie będąc chorym?

– Mechanizm jest taki sam jak w przypadku chorób psychosomatycznych. Człowiek się czegoś realnie obawia, wie, na jakie objawy zwracać uwagę, a Valentina to dobrze wiedziała, bo obserwowała swoją matkę. Zaczyna się ich doszukiwać, a potem interpretuje różne, zwykłe sygnały z ciała jako przejaw choroby. Jego zachowanie się zmienia, bo na przykład wycofuje się z różnych aktywności, objawy się nasilają, dochodzą nowe i po-



wstaje błędne koło: im więcej się zauważa, tym więcej się zauważa.

Serwisy społecznościowe pełne są dziś opowieści o chorowaniu: „10 oznak tego, że masz zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne”, „Po czym poznać chorobę afektywną dwubiegunową?”, „Robisz to i to? Pewnie masz ADHD”. Jak to na nas wpływa?

– Sądzę, że mniej, niż mogłoby się wydawać. Słyszała pani o „tikach z TikToka”?

Chodzi o tiki związane z zespołem Tourette’a?

– Tak. Jakiś czas temu zauważono, że w niektórych miejscach na świecie rośnie liczba młodych osób, które zgłaszają się z takimi tikami. Okazało się, że wiele z nich po prostu trafiło na TikTok na konta osób z Tourette’em, które dzieliły się swoimi doświadczeniami. Zasugerowały się i podświadomie naśladowały ich zachowania.

Może się więc zdarzyć, że to, co obejrzymy czy przeczytamy w serwisach społecznościowych, na nas wpłynie. Nie dzieje się to jednak na taką skalę, jaką ludzie sobie często wyobrażają. Takie zjawiska – „zarażania” się chorobą – zawsze zresztą istniały. W XIX wieku w Paryżu mieliśmy wielką epidemię hysterii.

W XVI wieku w Strasburgu wybuchła plaga taneczna. Kilkaset osób tańczyło w niekontrolowany sposób, a niektóre nie mogły przestać, co źle się dla nich skończyło.

– Różnica polega na tym, że kiedyś te epidemie ograniczały się do jednej dzielnicy, szkoły, miasteczka. Dziś za sprawą internetu mogą się roznieść po całym świecie, ale jeśli ktoś nie jest podatny na rozwinięcie zaburzenia psychosomatycznego, nie nabawi się go od samego przeglądania serwisów społecznościowych. Owszem, dla osób z pewną podatnością może to być niebezpieczne, ale powody leżą gdzie indziej.

Niemniej problemów ze zdrowiem psychicznym zdecydowanie przybywa.

Skąd się one biorą? Jak pani to widzi?

– Nie wiem, jak jest Polsce, ale w Wielkiej Brytanii najwięcej problemów psychicznych przyrasta w grupie osób między 16. a 24. rokiem życia. Przyczyn zapewne jest kilka, ale jedną z nich są moim zdaniem powszechne kampanie uświadamiające o zaburzeniach psychicznych.

Które wydają się potrzebne.

– Kłopot w tym, że niektóre z nich zaprojektowano w sposób, który sprawia, że młodzi zaczynają się przejmować czymś, co wcześniej ich nie przątało. Szukają pomocy medycznej w problemach, o których wcześniej by nie pomyśleli, że takiej pomocy wymagają. Lekarze z kolei mają skłonność do etykietowania tych problemów, podczas gdy kiedyś próbowaliby być może raczej jakoś ukoić łęki takiego młodego człowieka.

Zgadzam się, że młodzi są dziś mniej szcześliwi, ale być może wynika to również z tego, że zachęcamy ich do martwienia się o rzeczy, którymi nie powinni się martwić?

W lutym tego roku brytyjskie ministerstwo edukacji opublikowało wyniki ciekawego badania: porównano dwie grupy nastolatków. Jedna przeszła przez program uświadamiający na temat problemów zdrowia psychicznego,

Czy nie możemy być bardziej wyrozumiali dla siebie bez zaświadczenia, że mamy zaburzenie neurorozwojowe albo inne?

druga nie. Po roku osoby z tej pierwszej grupy miały się gorzej, więcej było tam wskazań lęku i depresji. To daje do myślenia.

Dużo na ten temat pisze psycholożka z Uniwersytetu w Oxfordzie Lucy Foulkes. Jej badania pokazują, że ogólne, skierowane do wszystkich interwencje psychologiczne prowadzone w szkołach mogą przynieść więcej szkody niż pożytku. I że znacznie lepsze byłyby interwencje celowane do grup czy osób z określonymi problemami. – Oczywiście znam badania Foulkes i w pełni podzielam jej zdanie.

Czym jest „dobre życie”? W książce sugeruje pani, że być może powinniśmy przededefiniować to pojęcie.

– Dla mnie dobre życie to takie, które obfituje w różne doświadczenia, daje satysfakcję i niekoniecznie jest wyjątkowo długie.

Uświadomiłam to sobie, kiedy rozmawiałam z młodymi osobami, które odziedziczyły chorobę Huntingtona. Zrobiły test, wiedziały, że prędzej czy później jakość ich życia znacznie się pogorszy i że nie będzie ono długie. Ale wielu i wiele z nich nie postrzegało go wcale jako mniej wartościowego, mniej radosnego czy mniej wartego starania.

Emily, jedna z moich rozmówczyń, po diagnozie zaczęła realizować swoje marzenia, wspięła się na Kilimandżaro. Gromadzi dobre wspomnienia, bo wie, że w przyszłości czeka ją wiele lat leżenia w łóżku.

Ciekawe, że na test, który wskazuje, czy odziedziczyło się wariant genu powodujący chorobę Huntingtona, decyduje się średnio tylko 10 procent osób.

– Znaczna większość nie chce tego wiedzieć. Część dlatego, że pozytywny wynik będzie ozna-

czał, że nie ma już odwrotu – ma się pewność, że jest się nieuleczalnie chorym. A część robi to dlatego, że rozumie, iż może zacząć przypisywać wszystkie swoje dolegliwości chorobie Huntingtona, chociaż wiele z nich może mieć inne, zwyczajne przyczyny. I choć prawdziwe objawy mogą się pojawić dopiero za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, taka osoba zaczyna funkcjonować tak, jakby już był chora.

Choroba Huntingtona jest niezwykle rzadka. Mało kto z moich czytelników znajdzie się w tej sytuacji. Postanowiłam jednak umieścić opowieść o niej na samym początku książki, bo niesie ważną lekcję. Od kiedy zidentyfikowano feralny wariant genu i opracowano testy, ta społeczność miała 30 lat, żeby to sobie gruntownie przemyśleć i rozważyć, co jest lepsze – żyć, mając nadzieję, że każda przyszłość jest

możliwa, czy żyć ze świadomością nieuchronnej choroby. Rezultat jest taki, że 10 procent woli to wiedzieć, pozostałe 90 procent wybiera zaś życie ze świadomością, że każdy scenariusz jest możliwy.

Na pewno zna pani pojęcie „recovery”. Zakłada ono zdrowienie z choroby psychicznej niezależnie od objawów. Na świecie jest już 250 Szkół Zdrowienia (Recovery College), w tym jedna w Polsce. Wspierają one osoby po kryzysach psychicznych w lepszym funkcjonowaniu i budowaniu sensu życia mimo wciąż doświadczanych symptomów. Uczą, jak kierować uwagę gdzie indziej.

– To jest tak naprawdę morał całej tej historii, nie sądzi pani?

Zbytnie skupianie się na chorobie czy na swoim cielem niekoniecznie prowadzi do lepszego samopoczucia.

Żeby zdrowieć, trzeba uwierzyć, że może być lepiej. I uwolnić się od myślenia o sobie przez pryzmat choroby czy zaburzenia.

Hadley Freeman, ceniona brytyjska dziennikarka, wydała niedawno książkę, w której opisała wieloletnią walkę z anoreksją. Praktycznie cały okres dorastania spędziła na oddziałach szpitalnych, coraz bardziej pograżając się w tej wyniszczającej chorobie, dopóki coś nie „przeskoczyło” jej w głowie. Pewnego dnia zdała sobie sprawę, że aby wyzdrowieć, musi wyobrazić sobie przyszłość bez anoreksji. I to ją pchnęło ku zdrowieniu.

Wiem, że opowiadałam o tym tak, jakby stało się to pod wpływem jakiejś magicznej chwili. Jestem przekonana, że nie było w tym nic z magii, że był to cholernie ciężki wysiłek i być może nadal czasem jest. A także, że Freeman potrzebowała ogromnego wsparcia, żeby jej się udało. Ale nie byłoby to możliwe bez zmiany myślenia. ●

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski;

MAGAZYN I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski;
FOTOEDYCJA: Marta Błażewska, Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55.

faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie





FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

**Minister
Waldemar
Żurek może
ogłosić osobiste
zwycięstwo.**

Drwal ze skalpelem

Dominika Wielowieyska

Donald jak surfer płynie na popularności Żurka. Ta nominacja to jeden z bardziej skutecznych manewrów Tuska – mówi mi jeden z polityków opozycji.

PiS-owi spada poparcie, a Koalicja Obywatelska w sondażach rośnie w siłę. W partii panuje przekonanie, że to w dużej mierze zasługa ministra sprawiedliwości.

Sprawy sądownictwa ludzi nie obchodzą, wyborcy nie rozumieją tych niuansów prawniczych dotyczących statusu neosędziów. Ludzie oczekują, aby nominatów PiS powyrzucać, a przestępstwa rozliczać. Innymi słowy, temat praworządności nie odgrywa tak dużej roli, liczą się sukcesy prokuratury i decyzje personalne – wyjaśnia inny mój rozmówca z kręgów rządzących. Czyli: liczy się sprawczość.

Ale jeśli chodzi o dokonania prokuratury, to zdania polityków Koalicji 15 Października są podzielone. Jedni twierdzą, że Waldemar Żurek spija śmietankę po rządach Adama Bodnara jako prokuratora generalnego. Przecież śledztwa muszą długo trwać, przygotowanie zarzutów wobec Zbigniewa Ziobry zajęło dużo czasu, bo prokurator Piotr Woźniak, szef zespołu numer dwa prowadzący śledztwo w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, chciał mieć wszystko dopięte na ostatni guzik.

Obejmując ministerialną funkcję, Żurek nie wymieniał prokuratora krajowego. Nadal jest nim Dariusz Korneluk. Nie zmienili się również prokuratorzy, którzy prowadzą śledztwa w sprawach najgłośniejszych afer z czasów rządów Zjednoczonej Prawicy, na przykład Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych (RARS) czy Funduszu Sprawiedliwości, który zamiast pomagać ofiarom przestępstw, pokątnie zasilal kampanie wyborcze, partyjne projekty oraz półprywatne i prywatne przedsięwzięcia ludzi z kręgu PiS i Suwerennej Polski. Akt oskarżenia wobec człowieka Ziobry Dariusza Mateckiego, któremu zarzuca się preparowanie konkursów i pranie pieniędzy

z Funduszu Sprawiedliwości, a także niedawny wniosek o uchylenie immunitetu Ziobry, to efekt wielomiesięcznej pracy wykonanej także za czasów Bodnara.

Tak, ale jeśli nad prokuratorem nie stoi ktoś z batem, to sprawy posuwają się do przodu bardzo wolno. Z nastaniem Żurka prokuratorzy poczuli oddech za plecami i bardziej się spięli – zaznacza inny mój rozmówca, dobrze zaznajomiony z funkcjonowaniem prokuratury.

Sprawy w prokuraturze mogą się toczyć nieco szybciej lub wolniej, ale zasadniczo idą swoim torem. Żurek ma na to pewien wpływ, jednak kluczową rolę wciąż odgrywają prokuratorzy prowadzący śledztwo. Natomiast jego bezpośrednią zasługą jest ofensywa wizerunkowa.

Mówi o sobie „drwal”, bo jest absolwentem Technikum Leśnego w Brynku (dyplom pilarza z lat osiemdziesiątych). Opozycja to szybko wykorzystwała i też tak właśnie go określa, z wiadomą intencją: rąbie bez opamiętania, bez wnikania w niuanse, oglądania się na zasady. Ale minister sprawiedliwości ma spory dystans do siebie. Nagrywa sporo filmików i wrzuca je do sieci. Często nawiązuje do swojego nazwiska, na przykład w ostatnim nagraniu zajada wiadomą zupę i zachęca Zbigniewa Ziobrę do powrotu do Polski, podkreślając, że zbyt ostry gulasz szkodzi, a w aresztach śledczych i zakładach karnych jest podawany bardzo dobry żurek.

Nagranie robi imponujące zasięgi i rozpala dyskusję. Tylko czy szef tak wrażliwego politycznie resortu powinien wrzucać takie komentarze? Może to być potraktowane jako niedopuszczalny nacisk na sąd, by zgodził się na areszt Ziobry. Jako prokurator generalny i nadzorca sądów Żurek powinien zachować daleko idącą wstrzeźliwość. Po uchyleniu immunitetu Ziobrze piłka jest po stronie prokuratury i sądu, a politycy – a politykiem, chcąc nie chcąc minister jest – powinni się już w to nie wtrącać, bo dają paliwo tym, którzy twierdzą, że proces polityka PiS będzie upolityczniony.

Ale co z tego, że komentatorzy krytykują, skoro wyborcy Żurka uwielbiają. – Ludzie w terenie chcą rozma-

wiać tylko o Żurku – opowiada kolejny polityk KO. Inny kwaśno dodaje: – On robi bardzo dużo szumu wokół siebie. – Zasadniczo panuje chaos, ale jak widać tak taktyka działa – dopowiada urzędnik z resortu sprawiedliwości.

Premier Donald Tusk doszedł do wniosku, że Adam Bodnar – zdeterminowany, ale wyważony w słowach, pryncypialnie praworządny, deklarujący bezstronność legalistą, jak za czasów, gdy był rzecznikiem praw obywatelskich – był dobry na czas oczekiwania na nowego prezydenta, czyli Rafała Trzaskowskiego, który podpisałby wszystkie ustawy przywracające praworządność. Ale prezydentem został Karol Nawrocki, więc należało znaleźć kogoś, kto nie będzie stronił od ryzykownych decyzji i pójdzie na starcie z Pałacem Prezydenckim.

Bodnar dbał o uzasadnienie prawne swoich decyzji i nawet jeśli część prawników uważała, że niektóre były naciągane, to jednak większość uznawała, że interpretacje ministra są możliwe i mieszczą się w akceptowalnych granicach. Lecz Bodnar – przez niektórych sędziów będących twarzami oporu wobec zamachu na sądownictwo – był uważany za nie dość stanowczego. Choć przecież to on przeprowadził najbardziej ryzykowną operację odwołania kolegi Ziobry i świadka na jego ślubie – Dariusza Barskiego – z funkcji prokuratora krajowego. Miejsce Barskiego zajął Dariusz Korneluk.

Ryzykowną, bo PiS uchwalił przepis, że prokuratora krajowego nie da się odwołać bez zgody prezydenta. Bodnar jednak znalazł wyjście z sytuacji: stwierdził, że Barski w ogóle nie mógł być prokuratorem krajowym, bo został nieskutecznie przywrócony ze stanu spoczynku. PiS uważa to za działanie bezprawne, ale sam Barski się z tym pogodził, bo bardzo chętnie bierze wysoką emeryturę prokuratora. Jednak wszyscy oczekujący spektakularnych rozliczeń już zapomnieli, że Bodnar taki manewr wykonał. Ostatnie półtora roku to czas mozolnych śledztw i skrupulatnego zbierania dowodów. Owszem, powstała ustawa porządkująca wymiar sprawiedliwości, ale Andrzej Duda wyrzucił ją do kosza.

W kampanii przed wyborami parlamentarnymi KO nakręciła oczekiwania swego elektoratu, że politycy PiS odpowiedzialni za złodziejstwo będą siedzieć. Ludzie mieli poczucie, że determinacja w ściganiu przestępstw poprzedniej ekipy opadła. Chcieli czuć wrzenie cały czas.

I teraz czują. Żurek zbudował wizerunek osoby sprawczej, która nie ogląda się na jakiś tam formalizm, gdy trzeba zrealizować słuszne cele. A tego wyborcy oczekują: skuteczności. Nie chcą słuchać, że czegoś się nie da, bo PiS zabetonował system. Żurek te emocje zagospodarował. Przy tym jest bardzo sympatyczny, nie boi się starcia z osobami o innych poglądach, ale w jego wystęпах publicznych nie ma agresji czy nienawiści. Mimo że PiS potraktował go wyjątkowo podle: by spacyfikować jednego z najbardziej walecznych sędziów sprzeciwiających się łamaniu praworządności, wykorzystał rozwód sprzed lat i problemy rodzinne do frontalnego ataku i przykrych oskarżeń, np. o unikanie alimentów, które nie miały żadnych podstaw. Nie mówiąc o urzędowym nękanii, w tym kilkudziesięciu postępowaniach dyscyplinarnych i ciągnących się miesiącami kontrolach CBA.

To wszystko otoczka medialna wokół Ministerstwa Sprawiedliwości. Ale czy minister rzeczywiście realizuje to, co wcześniej obiecywał i co postulował? Czy w każdym wymiarze jest skuteczny, czy tylko sprawia takie pozory? I czy działa zgodnie z zasadami, których bronił?

Krajowa Rada Sądownictwa to instytucja kluczowa dla realnego funkcjonowania i kształtu wymiaru sprawiedliwości: to ona wskazuje kandydatów na sędziów, których potem nominuje prezydent. A także rekomenduje sędziów do awansu. Zasiada w niej między innymi 15 przedstawicieli sędziów. Do 2016 roku wybierało ich samo środowisko. PiS w ramach „reform” Ziobry odebrał sędziom prawo do wyboru swoich reprezentantów i przekazał te kompetencje Sejmowi. Co jest sprzeczne z konstytucją, ale rządzący politycy wzruszyli ramionami – grunt, że zyskali pełną kontrolę nad KRS.

Zanim Żurek objął stanowisko, należał do sędziowskich jastrzębi. Powtarzał, że oprócz młodych debutantów – którzy nie byli niczemu winni, nie kolaborowali, po prostu wchodzili do zawodu w takich, nie innych czasach, ktoś musiał ich formalnie nominować – resztę neosędziów trzeba wyrzucić, bo wskazała ich niekonstytucyjna neo-KRS, a awanse zatwierdzone przez tę Radę po prostu cofnąć. Szczególnie te do Sądu Najwyższego. Dodatkowo – mówiły jastrzębie – trzeba neo-KRS oraz Trybunałowi Konstytucyjnemu odciąć prąd.

Dosłownie: rok temu w rozmowie w TVN 24 z Anitą Werner Żurek powiedział, że namawiał rząd Donalda Tuska do natychmiastowej blokady finansowania neo-KRS oraz Trybunału – i miał otrzymać zapewnienie, że rząd nad tym postulatem się pochyli. Ostatecznie TK nie dostaje pieniędzy na pensje czynnych członków. Neo-KRS otrzymała środki z budżetu, choć ograniczone, to jednak funkcjonuje.

Gdy Żurek został ministrem, natychmiast pojawiły się pytania, jak zamierza zrealizować swoje postulaty, skoro prezydentem jest Karol Nawrocki. Czy siłą wyprowadzi szefową Rady, koleżankę Zbigniewa Ziobry Dagmarę Pawelczyk-Woicką? PiS alarmował, że tak właśnie się stanie.

Nowy minister przyjął bardzo sprytną taktykę: aby uciąć pytania, ogłosił, że nie będzie nic zapowiadał, tylko ogłaszał swoje decyzje, gdy już wejdą w życie. Nie można było więc pytać, jak to będzie z tym odcięciem prądu w KRS i wyrzuceniem zewsząd neosędziów.

Neoficjalnie wiadomo, że Żurek rozważał manewr polegający na przywróceniu starej KRS sprzed rewolucji PiS, bo jej kadencja została przerwana niezgodnie z konstytucją – ale pomysł szybko przerzucił, bo dawni członkowie KRS nie palili się do udziału w operacji, która być może polegałaby na wyprowadzeniu siłą 15 osób z siedziby Rady.

Jedyne, co minister zrobił, to zaproponował ustawę o KRS, która tylko trochę różni się od tego, co uchwalono za czasów Bodnara, a nawet jest nieznacznie łaskawsza dla neosędziów. Projekt zakłada, że to nie Sejm wybierałby sędziów do KRS, ale wszyscy sędziowie w wyborach, w tym także neosędziowie. Kandydatami do neo-KRS mogłyby być osoby z odpowiednim stażem, co wyklucza część neosędziów, ale nie wszystkich. W ostatecznej wersji Bodnara neosędziowie w ogóle nie mogli startować do Rady. Ciekawe jest to, że gdy Bodnar proponował różne, zbliżone do obecnych, wersje rozwiązań, środowisko jastrzębi sędziowskich na czele z Waldemarem Żurkiem ostro krytykowało takie propozycje. Mówiono o zdradzie ideałów praworządności. Domagano się wy-

kluczenia neosędziów z jakichkolwiek procesów decyzyjnych. Bodnara nie ma, jest Żurek i neosędziowie mieliby – wedle jego propozycji – mieć prawo głosu. O zdradzie ideałów praworządności już nikt nie mówi.

Z mojego rozeznania w Kancelarii Prezydenta wynika, że Karol Nawrocki nie ma zamiaru podpisywać żadnej ustawy Żurka. Przejdą one przez parlament tylko po to, by pokazać, że koalicja rządząca ma czyste ręce i dobre intencje, chciała sama się pozbawić władzy, jeśli chodzi o KRS, no ale jeśli prezydent tego nie docenia i blokuje, to trzeba sobie radzić w takich warunkach, jakie są.

Widoki na kompromis są marne, ale oczywiście nie można wykluczyć, że nastąpi jakiś zwrot, na przykład parlament przyjmie zasadę, że bez ograniczeń neosędziowie mają i bierne, i czynne prawo wyborcze. Zawetowanie takiej ustawy, w jakimś sensie legalizującej neosędziów, bardziej zaszkodziłoby, niż pomogło Nawrockiemu. Neosędziowie też nie byliby zadowoleni – bo wobec weta prezydenta Żurek może sam ustalić zasady głosowania wśród sędziów i w ogóle wykluczyć „neonów”. A przecież oni chcieliby mieć wpływ na kształt KRS.

Zaproponowana przez Żurka ustawa o KRS tylko trochę różni się od tego, co uchwalono za czasów Bodnara, a nawet jest ciut łaskawsza dla neosędziów

Obecnie najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki: stan prawny się nie zmienia i Żurek spróbuje porządkować sytuację w przyszłym roku, gdy będzie powołany nowy skład Krajowej Rady Sądownictwa. Kończy się wtedy kadencja neo-KRS. Swoich przedstawicieli wybiorą sędziowie w wyborach, a politycy mają być tylko notariuszami tej decyzji. Nowa KRS zacznie działać, ruszą konkursy i wakaty sędziowskie będą obsadzone. Uzdrawianie będzie następować ewolucyjnie, a nie rewolucyjnie.

Chyba że Nawrocki będzie blokował absolutnie wszystkie nominacje sędziowskie nowej KRS, czego nie można wykluczyć. Właśnie dał próbkę możliwości i zablokował awans 46 sędziów. Stwierdził, że to ludzie, którzy ulegali „podstępom ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka”. Z kolei Żurek na konferencji prasowej poinformował, że sędziowie, których awanse Nawrocki wyrzucił do kosza, za rządów PiS podpisali się pod apelem o wykonywanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE. Chodziło o Izbę Dyscyplinarną, którą Ziobro tak skonstruował, by bez przeszkód represjonować nie lubianych sędziów. Ciekawe jest to, że PiS w końcu Izbę Dyscyplinarną zlikwidował, a więc w pewnym sensie posłuchał apelu tych sędziów, a teraz ten sam PiS na nich się mści.

Druga grupa, która Nawrockiemu się nie spodobała, to sędziowie, którzy wystosowali apel do OBWE w sprawie niekonstytucyjnych wyborów kopertowych, które w 2020 r. miały się odbyć zdalnie pod pretekstem pandemii. I znów: wybory prezydenckie tą drogą nie odbyły się między innymi przez bunt części obozu PiS, który uznał, że pozbawianie PKW kompetencji przekracza dopuszczalne granice. Sytuacja jest paradoksalna, bo odrzucone przez prezydenta awanse zgłosiła neo-KRS, więc Żurek stwierdził, że wobec tego te decyzje i tak nie powinny być podpisane, gdyż najpierw trzeba uzdrowić KRS. Z drugiej strony stanowisko prezydenta, że sędziowie nie mogą przejść do sądu drugiej instancji, bo apelowali o przestrzeganie prawa, jest aberracją.

Najrozsądniejszym wyjściem byłoby wstrzymanie się przez prezydenta z decyzjami w kwestii tych awansów do momentu, aż ukonstytuuje się nowa KRS powołana zgodnie z ustawą zasadniczą i przejrzy te wnioski jeszcze raz. Lecz w PiS namawiają Nawrockiego, by iść na pełne starcie i chaos. To oznacza jeszcze większe nakręcenie polaryzacji, tyle że Żurkowi i koalicji rządzącej to nie zaszkodzi, raczej zmobilizuje jej elektorat. Teraz na polaryzacji więcej zyskuje Tusk niż Kaczyński, który ma silnych konkurentów po prawej stronie i na chaosie budują się głównie oni – Konfederacja i Grzegorz Braun.

Skoro neo-KRS sobie działa przez nikogo niepokojona, skoro neosędziowie orzekają dalej w Sądzie Najwyższym, to jednak na samym początku urzędowania był potrzebny zdecydowany ruch, którym Żurek zaznaczyłby swoją obecność. I takim ruchem było zawieszenie w pełnieniu obowiązków ponad 40 prezesów i wiceprezesów sądów powołanych jeszcze przez Ziobrę. Mniej więcej w połowie przypadków kolegia sądów klepnęły tę decyzję, a w połowie – nie, ale Żurek i tak odwołał prezesów, co budzi wątpliwości prawne. Bo teoretycznie mógł to zrobić, gdyby odwołał się do KRS. Jednak minister uznał, że KRS jest nielegalna, więc nie ma się do kogo zwracać w tej sprawie. Wyrzuceni prezesi odwołują się do sądu, więc nie wiadomo, jaki będzie finał operacji, ale Żurek pokazał determinację i to się wyborcom spodobało.

Drugi ruch dotyczy rzeczników dyscyplinarnych w sądach. Za czasów PiS byli to żołnierze Zbigniewa Ziobry: Piotr Schab, Przemysław Radzik, Michał Lasota czy Jakub Iwaniec. Mieli ksywkę „rzeźnicy”, bo zajmowali się ściganiem sędziów, których władza PiS-owska nie lubiła. Bodnar pod koniec swoich rządów wyrzucił Schaba i Radzika, ale oni nie przyjęli tej decyzji. Dlaczego minister zwlekał? Bo problemem jest kadencja rzeczników, któ-

ra się jeszcze nie zakończyła – ale inni sędziowie, w tym Żurek, domagali się wyrzucenia ludzi Ziobry. Bodnar w końcu podjął tę decyzję, uzasadniając ją nagromadzeniem postępowań dyscyplinarnych wobec tych osób.

Teraz powołana przez Żurka rzeczniczka dyscyplinarna Joanna Raczkowska zaczęła odwoływać zastępców Schaba w terenie. W tej grupie są postacie o złej sławie, jak Jarosław Dudzicz i Jakub Iwaniec. Temu ostatniemu prokuratura chce uchylić immunitet i postawić zarzuty za jazdę po pijanemu, a wcześniej chciała postawić mu zarzuty za aferę hejterską. Chodzi o głośną akcję z czasów rządów PiS, gdy, by zdyskredytować i zastraszyć stawiających się władzy, w Ministerstwie Sprawiedliwości i nie tylko wyciągano dane z prywatnych z teczek sędziów i hejtowano ich w sieci, w tym z kont zarejestrowanych na komputerach resortu. Z kolei Dudzicz zasłynął antysemickimi wpisami w sieci.

Wszyscy odwołani twierdzą, że nie można ich odwołać, bo ich kadencja się nie skończyła. Dochodzi do kuriozalnych sytuacji, gdy na posiedzeniach Izby Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego zjawiają się starzy i nowi rzecznicy dyscyplinarni.

Zamieszanie jest potężne, nikt już nie jest w stanie się polapać w odwieszaniu i zawieszaniu poszczególnych sędziów. Zdarza się, że ekipa Żurka przegrywa w sądzie – przykładem sprawa Iwańca, bez związku z jazdą po pijanemu, dotycząca jego działalności orzeczniczej oraz działań jako zastępcy rzecznika dyscyplinarnego. Sąd Dyscyplinarny przy Sądzie Apelacyjnym w Warszawie wydał orzeczenie korzystne dla Iwańca. A orzekali sędziowie, których status nie budzi wątpliwości.

Teraz gra toczy się o to, czy ludzie Ziobry będą kontrolowali postępowania dyscyplinarne – bo jeśli tak, to nie dadzą zrobić krzywdy kolegom. Alternatywa jest iście diabelska: albo zostawić na stanowiskach postacie, które rażąco sprzeniewierzyły się zasadzie niezawisłości sędziowskiej i stosowały represje wobec innych sędziów oraz uczestniczyły w aferze hejterskiej, albo je odwoływać, narażając się na zarzuty, że to działanie niezgodnie z procedurami.

To jeden z postulatów Waldemara Żurka, ale jak na razie szanse na to są niewielkie. Minister sprawiedliwości jednak dzielnie przeżył muskuły: już ze dwa miesiące temu zapowiadał pozwy regresowe. Z jakiego powodu?

Otóż problem z neosędziami z Sądu Najwyższego przekłada się na realne życie obywateli i na budżet państwa. Neosędziowie coś orzekają, następnie obywatel skarży wyroki do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i wygrywa, bo ETPCz uznaje, że skład z „neonami”

z SN nie jest sądem. Polska już wypłaciła ponad pięć milionów złotych odszkodowań i będzie płacić nadal, bo spraw przybywa. Państwo zaczęło przegrywać sprawy jeszcze za czasów PiS i rząd Mateusza Morawieckiego grzecznie te odszkodowania wypłacał, uznając orzeczenia Europejskiego Trybunału. A Ziobro, który opowiada, że nie trzeba nic płacić, tylko robi obywatelom wodę z mózgu.

Żurek ma rację, że taki stan jest nie do zaakceptowania. Wzywa neosędziów z Sądu Najwyższego do ustąpienia. Zapowiada, że tym, którzy wychodzą na salę rozpraw i generują straty finansowe, będzie wysyłał właśnie pozwy regresowe: neosędziowie mieliby zwracać budżetowi pieniądze, jakie Polska wypłaca w ramach odszkodowań.

Na razie o żadnym gotowym pozwie nie słyhać, ale niewykluczone, że się pojawia. Ja jednak nie znalazłam ani jednego prawnika, który stwierdziłby, że pozwy regresowe wypalą i neosędziowie faktycznie coś zapłacą. W koalicji rządzącej słyszę, że zapowiedzi takich pozwów mają jeden cel: może niektórzy neosędziowie nie będą chcieli biegać do sądu w takich sprawach i dla świętego spokoju zdecydują się odejść w stan spoczynku albo wrócić do sądu macierzystego. Na ocenę skuteczności tego planu trzeba będzie poczekać.

Neosędziowie w Sądzie Najwyższym, na przykład ci, którzy nie stanęli w pierwszej linii ochrony PiS, zajmują następujące stanowisko: OK, faktem jest, że ETPCz orzeka to, co orzeka. Wobec tego Sejm powinien zmienić prawo, a prezydent podpisać ustawę. No ale prezydent nie podpisze i kółko się zamyka.

Ten problem rozwiązałaby tak zwana ustawa praworządnościowa, która porządkuje status neosędziów. Jednak Nawrocki ją zawetuje.

Ustawę szykował Adam Bodnar. Jej nowa wersja nie różni się zbytnio od poprzedniej. Projekt przewiduje podział neosędziów na trzy grupy. Grupa zielona: młodzi sędziowie, którzy weszli właśnie do zawodu. Ich status będzie zatwierdzony automatycznie. Grupa żółta to sędziowie, którzy awansowali dzięki neo-KRS. Formalnie mają zostać cofnięci na poprzednie stanowiska, ale obecne funkcje pełniliby jeszcze przez dwa lata na delegacji. Następnie, jeśli nie zrezygnują, będą uczestniczyli w ponownych konkursach sędziowskich. Grupa czerwona: neosędziowie, którzy wykonywali inny zawód prawniczy. Oni stracą swój status. Będą mogli się ubiegać o powrót do dawnych profesji albo pozostać w danym sądzie jako referendarze.

Projekt ministra Żurka co do zasady pozostawia w mocy wyroki wydane przez neosędziów. Ale nie tych z Sądu Najwyższego, bo je kwestionować jak najbardziej można. Oczywiście zlikwidowana byłaby Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN powołana głównie do obrony interesów PiS.

Ustawa Żurka stała się obiektem krytyki. Marcin Szwed i Maciej Nowicki z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka w tekście opublikowanym w „Wyborczej” uznali, że projekt nie spełnia wymogów Komisji Weneckiej, organu doradczego Rady Europy, który stoi na straży praworządności. Tej samej, która nieraz miażdżyła posunięcia i projekty ziobristów i którą przywoływali obrońcy niezależności sądów za PiS. Prawnicy wskazują, że wersja Żurka w niedostatecznym stopniu indywidualizuje przypadki neosędziów. Stwierdzają, że co prawda mamy do czynienia z dyskusją teoretyczną, bo prezydent i tak ustawę zawetuje, ale dla dobra praworządności nie należy takich projektów zgłaszać, bo to psuje standardy konstytucyjne. Na co podniosły się głosy, że opinia Szweda i Nowickiego nie jest formalnie opinią HFPCz, lecz jedynie ich prywatnym poglądem, bo członkowie rady fundacji, na przykład konstytucjonalista profesor Wojciech Sadurski, uważają co innego. Popierają Żurka.

Krytyczny wobec propozycji Żurka jest natomiast rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek. „Powołania tych sędziów są obciążo-

ne wadami prawnymi, ale nie są przez to automatycznie nieważne” – napisał w opinii i dodał, że pomysł ministra spowoduje „pogłębienie kryzysu władzy sądowniczej, z jakim mamy obecnie do czynienia w Polsce, i kolejne spory o status polskich sędziów. Projekt, gdyby wszedł w życie, mógłby więc doprowadzić do skutku przeciwnego do założeń, jakie przyświecają projektodawcy”.

Z Wiąckiem, ze Szwedem i z Nowickim nie zgadza się prof. Ewa Łętowska, powszechnie szanowana sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku, była rzecznik praw obywatelskich. Jej zdaniem projekt spełnia wymogi Komisji Weneckiej. Komisja bowiem zalecała indywidualne podejście do neosędziów, ale dopuszczała dzielenie ich na grupy. Weźmy przypadek awansów do sądu wyższej instancji, które mają być cofnięte formalnie, ale w rzeczywistości nie będą, bo wszyscy pozostają tam, gdzie są przez następne dwa lata. A ostatecznie to legalna KRS stwierdzi w indywidualnych przypadkach, czy konkretne osoby będą nadal na swoich stanowiskach, czy nie. Chyba trudno znaleźć bardziej zindywidualizowaną procedurę.

Karol Nawrocki nie ma zamiaru podpisywać żadnej ustawy Żurka. Przejdą przez parlament tylko po to, by pokazać, że koalicja rządząca ma czyste ręce i dobre intencje

Ostra wymiana argumentów przeniosła się na platformy społecznościowe: zwolennicy i przeciwnicy Żurka nie szczędzą sobie złośliwości. Emocje więc buzują. Żurek na tym korzysta, bo wyborców nie obchodzą szczegóły, liczy się fakt, że prezentuje nieprzejednane stanowisko. Ale – tak jak wszyscy zgodnie uznali – dyskusja jest czysto teoretyczna.

Nie jest natomiast teoretyczna dyskusja na temat losowania sędziów do składów sądów drugiej instancji. I znów – niezależnie od merytorycznych argumentów jednej i drugiej strony sporów – Żurek zyskuje w oczach twardego antypisowskiego elektoratu: „Ziobrotek” został zreformowany.

Losowanie składów przewiduje ustawa, którą przevorsował minister Ziobro. Waldemar Żurek wydał właśnie rozporządzenie, które wprowadza nowe wyjątki od tej zasady – nowe, bo w rozporządzeniu Ziobry też były wyjątki, na przykład sędzia, który orzeka o aresztach, nie jest wylaniany w losowaniu, tu decyzję podejmuje ten, który ma akurat dyżur. Zgodnie z założeniem Żurka w sądach pierwszej instancji, gdzie w składzie jest jeden sędzia, losowanie pozostaje bez zmian. W sądach drugiej instancji w składach trójkowych losowany jest sędzia referent, natomiast w przypadku pozostałej dwójki można odstąpić od losowania, gdy trzeba poprawić „efektywność pracy wydziału”. I tę dwójkę może wskazać przewodniczący wydziału w danym sądzie na zasadach, które określi prezes danej sądu po zasięgnięciu opinii kolegium.

PiS oczywiście podniosło larum: wszystko jasne, Żurek najpierw obsadził sądy swoimi przesłanymi (Ziobro też to zrobił, ale wtedy PiS-owi to nie przeszkadzało), a teraz jego ludzie będą tak układać składy, aby orzekały po myśli Żurka, czyli po myśli Tuska. PiS już prognozuje, że tak będzie na przykład w przypadku polityka KO Stanisława Gawłowskiego, boha-

tera tak zwanej afery melioracyjnej dotyczącej przetargów na Pomorzu Zachodnim, który został skazany za korupcję w pierwszej instancji. No i teraz – prorokuje PiS – w drugiej instancji skład zostanie dobrany tak, aby Gawłowskiego uniewinnić.

Rzecz jasna na razie nie wiemy, jaki będzie skład akurat w tym przypadku, bo obrońcy senatora dopiero składają apelację.

Lecz rozporządzenie Żurka krytykował nie tylko PiS. Profesor Marcin Matczak – radca specjalizujący się w prawie konstytucyjnym i administracyjnym, wykładowca UW, publicysta, za PiS zaangażowany w obronę praworządności – stwierdził, że „likwidacja losowania całego składu sądu przez Ministerstwo Sprawiedliwości jest ruchem złym, zmniejszającym przejrzystość rozstrzygania spraw”. Podkreślił, że pełny losowy przydział jest gwarancją bezstronności i ochroną przed manipulacjami. A częściowe wyznaczenie ręczne otwiera drzwi do wpływów hierarchii sądowej – bo prezesi sądów mogą okazać się powoływani politycznie.

Z kolei szef Naczelnej Rady Adwokackiej Przemysław Rosati w rozmowie z Ewą Ivano-

wą, dziennikarką prawną „Wyborczej”, zwraca uwagę, że jeśli dwóch sędziów nie będzie wyłonionych w apelacji w sposób losowy, to strony procesów będą miały podstawę do zaskarżania wyroku. Ustawa bowiem zakłada, że sędziowie są wskazywani losowo. Rosati jednak dodaje, że każdy sąd może ustalić inne reguły uwzględniające w jakimś stopniu zasadę losowości wyboru tak, aby równomiernie rozkładać pracę i wtedy podstaw do zaskarżenia nie będzie. „Wiem z praktyki, że losowanie całych trójek paraliżowało pracę sądów – jeden sędzia był przypisany do kilkunastu składów, a obywatel czekał latami na wyrok. Dlatego zostaje losowanie referenta przez System Losowy Przydziału Spraw (SLPS), a reszta składu dobierana jest według jasnych i przejrzystych zasad ustalonych przez prezesa sądu i zaopiniowanych przez kolegium” – tłumaczył minister na platformie X. „Eliminujemy ryzyko wyroków wydawanych przez nielegalne składy, a obywatel zyskuje pewność, że jego sprawa będzie rozpoznana szybko i przez niezależny sąd”.

– Losowanie mogłoby pozostać regułą, ale faktem jest, iż nie zawsze jest to optymalny sposób ukształtowania składu orzekającego w danej sprawie. Należy bowiem uwzględnić na przykład specjalizację sędziów czy ich obciążenie sprawami – zgodził się w „Rzeczpospolitej” RPO Marcin Wiącek. Ale zastrzegł, że „niezależnie od tego, rozwiązania dotyczące kształtowania składów orzekających są na tyle istotne z punktu widzenia prawa człowieka do rzetelnego procesu, że powinny być zamieszczone w ustawach”.

Kontrargument zwolenników ministra jest też natury etyczno-precedensowej: Ziobro także w rozporządzeniu zamieszczał wyjątki od reguły losowania, więc i Żurek może.

A co na to praktycy?

Prezes Sądu Apelacyjnego w Krakowie Paweł Rygiel (powołany za czasów Bodnara) popiera zmianę rozporządzenia i twierdzi, że se-

dziowie sami się tego domagali. „Ziobrotek” w sądach apelacyjnych jego zdaniem destrukcyjnie wpłynął na pracę sądu. Nie sposób zgrać terminy wokand, bo członkowie trójkowego składu mają liczne sprawy i nie są w stanie uzgodnić terminów, które nie kolidowałyby z innymi procesami. Rygiel w „Dzienniku Gazecie Prawnej” twierdzi, że adwokaci, którzy będą kwestionować wyrok w apelacji z powodu braku losowania, a więc nieprawidłowego obsadzenia składu, nie mają szans na powodzenie, bo sam Ziobro zapisał w ustawie, że jest to niedopuszczalne. A te przepisy są nadal w obiegu prawnym. Wskazuje też, że owszem, ustawa mówi o przydzielaniu sprawy „losowo”, ale to nie znaczy, że musi się odbyć losowanie. „Losowość” i „losowanie” to dwa inne pojęcia. Profesor Ewa Łętowska, z którą o tym rozmawiałam, podziela zdanie prezesa Rygiela. Bo nie ma mowy o arbitralnych decyzjach, lecz jasnych regułach wskazujących na wyjątkowe sytuacje.

Wiele wskazuje na to, że z reguły losowanie będzie utrzymywane, ale w pewnej grupie sędziów, którzy na przykład mają najmniejsze obciążenie. I być może z losowania będą wykluczani sędziowie, którzy wielokrotnie nie przeszli testu niezawisłości. Taki test – sąd drugiej instancji sprawdza, czy sędzia z pierwszej instancji nie sprzeniewierzył się zasadzie niezawisłości i czy jest apolityczny – wprowadziła nowelizacja Andrzeja Dudy wtedy, gdy ówczesny prezydent miał nadzieję na porozumienie z Komisją Europejską. Prezesi zyskują pole manewru, aby lepiej zorganizować pracę sądu. Poza tym – zauważają prawnicy zgadzający się z Żurkiem – nie można zapominać, że strony mają prawo wnioskować o wyłączenie danego sędziego, jeżeli uważają, że nie jest on bezstronny akurat w tej sprawie.

Lecz Żurek popełnił poważny błąd – nie prawny, lecz wizerunkowy. Włożył zbyt mało wysiłku w obronę swojego rozporządzenia, bo ludzie nie zagłębiają się w szczegóły rozwiązania, a w sieci niesie się przekaz PiS: aha, zrezygnowali z losowania, to znaczy, że będą ręcznie dobierać sędziów pod daną sprawę.

Minister próbuje spokojnie wyjaśniać. Podczas ostatniej konferencji prasowej podkreślił, że dał wolną rękę sądom, ale niezależnie od tego element losowości przy wyborze składów i tak będzie nadal obowiązywał.

Co więc nas czeka w sądownictwie za kadencji Żurka? To trochę wrócenie z fusów, ale biorąc pod uwagę obecny układ polityczny, wszystko zmierza ku temu, by neosędziowie w sądach powszechnych pozostali, a jedynie w wyjątkowych sytuacjach – w ramach postępowań dyscyplinarnych – były usuwane osoby, które rażąco naruszyły zasady praworządności. Natomiast działania Żurka skoncentrują się na Sądzie Najwyższym, bo tam sytuacja wymaga natychmiastowej naprawy. Będzie próbował to porządkować za pomocą nowej Krajowej Rady Sądownictwa i rzeczników dyscyplinarnych.

Być może w porządkowaniu spraw pomoże odrodzony Trybunał Konstytucyjny, bo na początku 2027 r. członkowie TK wyłonieni w tej kadencji Sejmu będą mieli większość. A to otwiera furtkę do uchylenia immunitetu prezesa Bogdana Świączkowskiego – jednego z najbliższych ludzi Ziobry, prokuratora krajowego przez prawie cały czas rządów PiS – i do rozpoczęcia postępowania dyscyplinarnego. A wtedy TK będzie działał na innej zasadzie i może dokonać – już w sposób legalny – oceny przepisów dotyczących neosędziów w SN.

Ale niezależnie od tego, jak potoczą się losy praworządności, Waldemar Żurek może już ogłosić osobiste zwycięstwo: przyczynił się do tego, że upadło przekonanie, że PiS i Konfederacja po wyborach parlamentarnych w 2027 roku na pewno przejmą władzę. Piłka jest w grze i każdy scenariusz – włącznie z utrzymaniem władzy przez Donalda Tuska – jest możliwy. ●

Giertych mówi po łacinie

Jeżeli prezydent ignoruje swoje obowiązki, to istnieją w konstytucji odpowiednie tryby pociągnięcia go do odpowiedzialności, takie jak procedury Trybunału Stanu.



Marcin Matczak

Roman Giertych odkrył ostatnio nową, zdumiewającą koncepcję prawa ustrojowego: jeśli prezydent nie wykonuje swoich obowiązków, to *per facta concludentia* składa urząd. Ta idea jest jednocześnie prosta i zabójczo skuteczna: prezydent np. nie powołuje sędziów i tym samym w sposób dorozumiany przestaje być prezydentem. Nie trzeba żadnego oświadczenia, decyzji Trybunału Konstytucyjnego czy pisma marszałka Sejmu, nie trzeba żadnych przepisów.

Naprawdę? Łacińska formułka w wydaniu Giertycha jest jak zaklęcie, które Harry Potter mógłby znaleźć w dziale ksiąg zakazanych biblioteki Hogwartu: „*Per facta concludentia*! – sprawia, że funkcjonariusz publiczny sam z siebie znika!”. Rezygnacja z najwyższego urzędu w państwie dokonuje się tak samo jak transport pociągiem z peronu 9 i 3/4: wystarczy mocno chcieć i rozpedzić się w kierunku ściany. Tylko potem boli głowa.

Problem w tym, że to jest umyślne kreowanie publicznego zamieszania, i to w kwestiach konstytucji, w których PiS mieszał Polakom w głowach prawie przez dekadę.

Przecież gdy człowiek nie lubiący Nawrockiego, słyszy nagle od Giertycha, że prezydent de facto zrzekł się urzędu, to przez sekundę – krótką, lecz intensywną – pojawia się u niego nadzieja na to, że oto „problem Batyra” rozwiązał się sam.

A potem mijają godziny, dni, tygodnie. I nic. Prezydent stoi, jak stał. Nic nie znikło, nic się nie rozwiązało samo. Ale coś pozostało – emocja, klikalność, a na końcu frustracja. I obywatel się zastanawia, czy to prawo jest, czy go nie ma. Czy ktoś tu panuje nad procedurami, czy tylko szuka chwytliwych hasel? Taka narracja to pojęć inflacja – rozwadnia wartość prawa.

Orzecznictwo Trybunału jest jasne

Trzeba większej odpowiedzialności za słowo, żeby ono mogło jeszcze coś znaczyć. Gdy prawnicy i politycy uprawiają ustrojowe myślenie życzeniowe, a żadne z tych życzeń się nie spełnia, społeczeństwo dostaje sygnał, że albo nasze przepisy są z gumy, albo są martwe. Że każda strona może wybrać własne rozumienie konstytucji, byleby miało dla niego uzasadnienie w postaci zgrabnej łacińskiej formułki.

Ciekawe zresztą, że Giertych ogłasza zrzeczenie się urzędu przez kogoś, kto jego zdaniem nigdy go nie objął. Bo przecież głosy nie zostały policzone i nie ma prawdziwego Sądu Najwyższego, który mógłby potwierdzić ważność wyboru (o czym sam Giertych mówi w trzecim zdaniu po tym, gdy ogłosił wszem wobec, że prezydent zrezygnował). Nie powinno się tak robić, chyba że chce się wyjść na człowieka, który codziennie ogłasza koniec świata – aż do momentu, kiedy nawet najwierniejsi słuchacze przestają podnosić oczy znad kawy, gdy kolejny raz to robi.

Druga sprawa: Giertych powtarza logikę PiS. Jego zwolennicy ogłaszali przecież dokładnie to samo wobec sędziów. „Odmawiasz orzekania z neosędzią? To *per facta concludentia* sam zrzekasz się urzędu”. To było ulubione rozumowanie Dagmary Pawełczyk-Woickiej, koleżanki Zbigniewa Ziobry, członkini neo-KRS. To ona pisała do sędziów, że jeśli dalej będą protestować przeciwko nielegalnym kolegom, to zostanie to potraktowane jako odejście z zawodu. W tamtym czasie środowiska prawnicze były na alarm, że to gwałt na legalizmie, że urząd sędziego nie znika, kiedy ktoś w sądzie okręgowym pogrozi palcem. Ale teraz prezydent ma zniknąć, gdy palcem pogrozi mecenas w filmie na YouTube.

Karol Nawrocki naruszył konstytucję, odmawiając nominacji 46 sędziom, ale nie zrzekł się urzędu. Naruszył nie dlatego, że odmówił. Orzecznictwo TK jasno mówi, że prezydent może to w wyjątkowych sytuacjach zrobić. Naruszył konstytucję, bo odmówił masowo i w sposób, który jest szantażem wobec sędziów. Wysłał im komunikat, że jeśli nie przyjmą jego poglądu prawnego na status neosędziów, to sędziami nie będą. To jest niedopuszczalny w świetle konstytucji nacisk władzy wykonawczej na niezależną władzę sądowniczą.

To nie polityka, ale kabaret prawny

Prezydent może odmówić ze względu na zachowanie sędziów poza salą sądową – na przykład, jeśli ten ukradł kielbasę albo współpracuje z obcym wywiadem. Ale prezydent nie może wymagać od sędziego konkretnego poglądu prawnego, bo wtedy podział władz trafia szlag. Niech sobie zwolennik Nawrockiego wyobrazi, co by powiedział, gdyby kiedyś prezydentem został lewicowy Adrian Zandberg i uzależniał powołanie sędziów od tego, czy zgadzają się z jego wizją uznania za małżeństwo pary jednopłciowej.

Jeżeli prezydent ignoruje swoje obowiązki, to istnieją w konstytucji odpowiednie tryby pociągnięcia go do odpowiedzialności, takie jak procedury Trybunału Stanu. To, że są one nieosiągalne, nie uprawnia nikogo do uprawiania prawniczego science fiction. Jest jeszcze ocena polityczna w wyborach, i to na niej lepiej byłoby się skupić, a nie dawać swoim zwolennikom nadzieję, która nigdy się nie spełni.

Poza tym, jeżeli zaczniemy udawać, że prezydent abdykuje przez zaniechanie, to za chwilę ktoś powie, że premier odwołuje sam siebie przez brak woli współpracy, a marszałek Sejmu milcząc zrzeka się funkcji, bo nie odbiera telefonu. Jeszcze proboszcza odwołajmy *per facta concludentia*, bo zasnął na mszę o 7.00. To już nie jest polityka, ale kabaret prawny.

Rezygnacja nie może być czytana z zachowania. Byłoby to zresztą dla samego Giertycha i jego przyjaciół z Koalicji ryzykowne.

Według tej logiki posłowie – w tym sam Roman Giertych – którzy nie powołali sędziów do Trybunału Konstytucyjnego, choć powinni byli to zrobić, bo kadencje sędziów wygasły – *per facta concludentia* zrzekli się wykonywania mandatu. Bo skoro nie wykonali swojej podstawowej funkcji ustrojowej, to widocznie uznali, milcząc i nie głosując, że wcale nie chcą być posłami.

Jeśli chce się odbudować zaufanie do prawa po latach PiS-owskiego chaosu, nie można powtarzać ich trików. W przeciwnym razie wszyscy skończymy w rzeczywistości, w której prezydent abdykuje przez milczenie, sędzia traci urząd przez protest, a leniwy proboszcz traci plebanie. Ale na drugi dzień wszyscy są nadal tam, gdzie byli. I nikt już nie będzie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. ●

Wetoman przed wetomatem

„Wetoman” może się kojarzyć z Supermanem, sportsmanem, rockmanem. Właścicielom koszulek z napisem „Now Rocky” (czyt. „Nawrocki”) także z „Now Rockmanem” lub „Nawrockmanem”.



Michał Rusinek

Wyjechał człowiek na tydzień, żeby opowiadać za oceanem o pięknie naszego języka, a tuż po powrocie okazało się, że język wzbogacił się aż o dwa nowe słowa! Nie można ani na chwilę spuścić z oczu rodaków i rodaczek, bo coś nabroją. Ale i duma człowieka rozpiera, że więcej polszczyzna ma słów, a im język bogatszy, tym bardziej precyzyjny, finczyjny i piękniejszy.

Podobnie jak w przypadku jajka i kury, także nie sposób ustalić, które z nich było pierwsze. Czy „wetoman”, jako określenie znajdującego upodobanie w wetowaniu ustaw prezydenta Karola Nawrockiego, czy „wetomat”, czyli stworzona przez Koalicję Obywatelską strona internetowa, na której znaleźć można spis wszystkich ustaw zawetowanych przez prezydenta. Nie tylko zresztą spis, ale i opis, żeby obywatele mieli świadomość, czego one dotyczą.

Chodzi o to, żeby społeczeństwo poinformować i zarazem zawstydzić. A więc żeby w jednym miejscu sprawdzić, jak mogłoby być pięknie, gdybyśmy wybrali sobie innego prezydenta. A tymczasem mamy, co mamy i nie miejmy pretensji do rządu czy parlamentu, bo rząd rządzi, parlament uchwała ustawy, a prezydent – nic tylko wetuje. Czyli jest wetomanem.

Przyrostek „-man” znajduje się w takich słowach, jak „grafoman”, „narkoman”, „lekoman”, „piroman”, „meloman”, „kinoman”, „mitoman” czy „erotoman” i pochodzi od greckiego słowa „mania”, oznaczającego szaleństwo lub obłęd. Słowa te mają różne konotacje: od zdecydowanie negatywnego np. „narkomana”, po np. „melomana”, który jest właściwie komplementem.

W podobnie zbudowanych zapożyczeniach z języka niemieckiego (np. „fachman”) lub angielskiego (np. „barman”) przyrostek „-man” pochodzi od słowa „Mann” lub „man”, które oznaczają po prostu człowieka. Ale podobieństwo do nich powoduje, że „wetoman” może się kojarzyć z Supermanem, sportsmanem, rockmanem. Właścicielom koszulek z napisem „Now Rocky” (czyt. „Nawrocki”) także z „Now Rockmanem” lub „Nawrockmanem”. I choć to skojarzenie etymologicznie błędne, to poniekąd słuszne.

Większość wyrazów z przyrostkiem greckiej proveniencji wiąże się z jakimś uzależnieniem, rozumianym dosłownie, metaforycznie, a nawet hiperbolicznie. Wydaje się, że twórcom neologizmu „wetoman” chodziło o to, żeby nawiązać do uzależnienia Karola Nawrockiego od nikotyny. W Polsce prawie 30 proc. dorosłych jest uzależnionych od papierosów, a więc tradycyjnej nikotyny, za-

wartej w tytoniu. Ile osób jest uzależnionych od saszetek nikotynowych – nie wiadomo. Papierosów sprzedaje się u nas rocznie ok. 50 mld sztuk, saszetek – zaledwie 200 mln.

Karol Nawrocki jest nikotynistą nowoczesnym, używa owych saszetek, błędnie nazywanych snusem. Snus jest produktem tytoniowym, zakazany w Polsce, a saszetki nie zawierają tytoniu, tylko czystą nikotynę, sól i aromaty, i są w Polsce legalne. Tak czy owak, saszetki są rzadsze, a więc nieortodoksyjne, występują tylko w skandynawskich kryminalach – krótko mówiąc: uzależnienie od nich wydaje nieco egzotyczne, a sposób ich przyjmowania, czyli umieszczanie pod górną wargą, przypomina zażywanie jakiegoś narkotyku. Dorobiło się już nawet slangowego określenia: „dawać w dziąsło”, często używanego w kontekście Nawrockiego od czasu debat prezydenckich.

Gdyby go przyłapano na paleniu papierosa przed wejściem do studia – nie byłoby oskarżania go o narkomanię. Nie tylko bezpodstawnego, ale i przeciwnskutecznego, jak się okazało. Obawiam się, że z przydomkiem „wetoman” może być podobnie.

„Wetomat” jak „alkomat”, „biletomat”, „tempomat” czy „paczkomat” – pochodzi od słowa „automat”, z greckiego „autómatos”, czyli „samoczynny”. To połączenie „auto-” („samo-”) i „mátos” („siła”) – a połączenia łatwo rozłączyć i stworzyć wyrazy, które będą określały urzędnika służącego do czegoś konkretnego: badania poziomu alkoholu w wydychanym powietrzu, sprzedawania biletów, ustawienia prędkości czy wysyłania i odbierania przesyłek. Albo też, jak rozumiem, automatycznego wetowania ustaw.

„Wetomat” sugeruje, że prezydent nie podejmuje decyzji o wetach po wnikliwej analizie, ale robi to „z automatu”. Może rzucając monetą, może zakładając, że na każdych 70 ustaw zawetuje 13, żeby pokazać, że jest samodzielny i skoro konstytucja daje mu narzędzie w postaci wetowania, to powinien z niego korzystać. Niejako automatycznie.

Na stronie internetowej wetomat.pl jest obrazek (wygenerowany przez AI) automatu do gier zwanego „jednorękim bandytą”, który dobiera losowe konfiguracje różnych symboli, zwykle różnych owoców. W tym przypadku są tam wyłącznie napisy „weto”: bez względu na to, jak ułożą się pierścienie – i tak będziemy mieli do czynienia z wetem. To hiperbola, czyli przesada, bo Karol Nawrocki nie zawetował wszystkich ustaw, ale skojarzenie go z bandytą (nawet jednorękim) podprogowo przypomina nam o podejrzanych kontaktach z politykami dwurękami.

Wetoman przed wetomatem – to ponura wizja prezydentury. Władzy, która jest grą o to, by jak najdłużej w nią grać, oddając się w ręce (rękę) ślepego losu. Władzy, która polega na tym, by przypominać, że się ją ma, np. z automatu wetując ustawy. Władzy, która uzależnia jak hazard i narkotyki. Im dłużej trwa uzależnienie, tym większe dawki wet trzeba sobie, a właściwie nam, serwować.

Cóż, leksykografowie może i odczuwają radość z pojawienia się nowych słów w języku polskim. Podzielam ją, ale bardzo bym sobie życzył, żeby nie były one używane w zdaniach w czasie teraźniejszym ani przyszłym. Wyłącznie w czasie przeszłym i tylko w odniesieniu do pierwszych stu dni prezydentury Karola Nawrockiego. ●

Kamil Fejfer

Podczas podróży przez Teksas nie wyobrażałem sobie nie wejść do jednego z tamtejszych sklepów z bronią. Po przekroczeniu progu, nad którym wisiał okazałej wielkości szyld „GUNS”, przywitałem się, powiedziałem, że jestem z Polski. Właściciel, dobrze zbudowany mężczyzna przed czterdziestką, był niezwykle uprzejmy. Mówił z typowym południowym akcentem i niemal każdą wypowiedź kończył grzecznościowym „sir”.

Zapytałem, czy sam ma broń. „Of course, sir”. Powiedział, że ma kilkadziesiąt sztuk. Po co mu taki arsenał? Mówił, że do polowań, do obrony siebie i rodziny oraz że po prostu lubi broń. Stwierdził też, że bez niej czuje się trochę jak bez spodni. To była miła wymiana zdań, zetknięcie teksaskiej perspektywy z podejściem europejskiej klasy średniej.

Na południu Stanów widywaliśmy też ludzi z bronią w lokalnych barach. Zapadł mi w pamięć starszy, surowy, brodaty mężczyzna noszący się niczym kowboj. Broń miał w kaburze przy pasie i wyglądał jak wyjęty z filmu braci Coen. W San Francisco z kolei słyszeliśmy kilka razy coś, co przypominało strzały. To zresztą mogły być one – w dzielnicy Tenderloin, gdzie wynajęliśmy pokój, nie należą do rzadkości.

Sportowcy i kolekcjonerzy

Nie wiedziałem, kim jest Charlie Kirk do momentu jego zabójstwa. Zanim przeczytałem o całym zdarzeniu, natrafiłem w internecie na screen z czyjegoś konta na serwisie X ze zdaniem: „Guns save lives”. Autorem wpisu był Kirk. Ale może wszechobecność broni w USA naprawdę zapobiega części zgonów? W końcu ktoś promujący szczepienia również może umrzeć od wstrząsu anafilaktycznego, ekstremalnie rzadko występującego uczulenia na któryś ze składników medykamentu.

Czy istnieją dowody na poparcie tezy Kirka? Dlaczego w USA jest tak wiele strzelanin, a w Szwajcarii, gdzie podobna liczba gospodarstw domowych ma u siebie broń, zabójstwa za jej pomocą należą do rzadkości? Jak wygląda sytuacja w naszym kraju oraz czy są powody, żeby Polska liberalizowała prawo w tym zakresie?

Według statystyk policyjnych w 2024 roku w naszym kraju pozwolenia na broń miało ponad 367 tysięcy osób. A liczba zarejestrowanych sztuk broni wynosiła ponad 930 tysięcy. W ostatnich latach nastąpił znaczny wzrost zarówno osób z pozwoleniem, jak i samych sztuk broni. Jeszcze dekadę wcześniej tych pierwszych było niespełna 200 tysięcy, a broni – 381 tysięcy. Jak widać, w ciągu 10 lat liczba posiadanych pistoletów i strzelb wzrosła ponaddwukrotnie.

Gwałtowny wzrost nastąpił po ataku Rosji na Ukrainę – choć sensowność tej prywatnej taktyki obronnej jest względna – ale oznaki trendu było widać już wcześniej.

Zdecydowanie najczęstszym celem posiadania broni w naszym kraju wylistowanym przez policję jest łowiectwo. W 2024 roku 140 tysięcy osób posiadających pozwolenie na broń zaliczało się do tej właśnie kategorii. Ponad 93 tysiące osób ma broń w celach kolekcjonerskich, 85 tysięcy – sportowych, a niecałe 44 tysiące – do ochrony osobistej. Właśnie w tych ostatnich kategoriach nastąpił największy wzrost: „cel sportowy” – z niecałych 15 tysięcy, „kolekcjonerski” – z zaledwie półtora tysiąca.

Co ciekawe, wzrostu nie zanotowała kategoria „ochrony osobistej”, ale być może dlatego, że aby uzyskać broń w tym celu, należy udokumentować „stałe realne i ponadprzeciętne” zagrożenie życia, zdrowia lub mienia.

Przykładowo warunkiem posiadania broni kolekcjonerskiej jest członkostwo w stowarzyszeniu o takim charakterze. Każdy stara-



**W ciągu 10 lat liczba posiadanych przez nas
pistoletów i strzelb wzrosła ponaddwukrotnie.
Czy mamy powody, by się tak ekwipować?**

POLACY SIĘ ZB

jący się o broń musi ponadto mieć ukończone 21 lat (w przypadku przynależności do Polskiego Związku Łowieckiego lub stowarzyszenia obronnego wystarczy lat 18) oraz posiadać potwierdzoną orzeczeniami lekarskimi i psychologicznymi „zdolność fizyczną i psychiczną” do posługiwania się bronią. Należy również „przedstawić ważną przyczynę posiadania broni”. Pozwolenia nie dostanie osoba uzależniona od substancji psychoaktywnych ani z prawomocnym wyrokiem za popełnienie przestępstwa.

Polacy „rozbrojeni”

Choć się zbroimy, nie jesteśmy narodem przesadnie otwartym na liberalizację przepisów. Pytanie na ten temat zadał CBOS w sierpniu 2022 roku, a więc kilka miesięcy po ataku Rosji na Ukrainę.

Jedynie 23 procent osób było zdania, że obecne przepisy powinny zostać zliberalizowane. Kolejne 35 uważało, że są one „całkowicie wystarczające”. Tyle samo było zdania, że przepisy powinny być zaostrzone. Badanie uwzględniło też preferencje polityczne ankietowanych. Za liberalizacją była niemal połowa (49 procent) deklarujących poparcie dla Konfederacji, a jedynie sześć procent entuzjastów lewicy. Oni też najczęściej byli za zaostrzeniem przepisów.

Opinie na temat dostępu do broni w 2024 roku badała firma SW Research na zlecenie „Wprost”. Pytanie brzmiało: „Czy uważasz, że w Polsce powinien zostać wprowadzony dostęp do broni palnej bez zezwolenia?”. Znaczna większość (75 procent) respondentów była na „nie”. „Tak” odpowiedziało 16 procent badanych, a dziewięć procent nie miało zdania.

Polskie społeczeństwo zasadniczo i tak należy do jednych z najbardziej „rozbrojonych” na świecie. Według danych z 2017 roku specjalistycznego serwisu Small Arms Survey w naszym kraju na stu mieszkańców przypadają jedynie dwie i pół sztuki broni (jeżeli dokonamy wyliczenia na podstawie informacji policyjnych, w 2017 roku wyszłoby jeszcze mniej – 1,25 na stu mieszkańców).

Na górze tabeli znalazły się Stany Zjednoczone z liczbą 120 sztuk na 100 mieszkańców. W USA jest zatem więcej broni niż obywateli: 400 mln do 330 mln. Zresztą w rękach Amerykanów jest prawie połowa wszystkich prywatnych egzemplarzy, na świecie jest ich bowiem w sumie 860 mln (znów za Small Arms Survey).

Nie jest tak, że niemal każdy Amerykanin ma broń. Proszę przypomnieć sobie sprzedaw-



FOT. GRZEGORZ CELEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polacy i broń

W 2024 roku

367 tys. osób

miało w Polsce pozwolenie na broń

930 tys.

tyle zarejestrowano sztuk broni

W 2014 roku

200 tys. osób

miało pozwolenie na broń

381 tys.

tyle było zarejestrowanych sztuk broni

(DANE WG STATYSTYK POLICJI JNYCH)

Dlaczego teraz chcemy mieć broń

1. Bo jestem myśliwym

140 tys. osób

2. Bo jestem kolekcjonerem

ponad 93 tys. osób

3. W celach sportowych

85 tys.

(wzrost z z 1,5 tys. kilka lat wcześniej)

4. Dla ochrony osobistej

ok. 44 tys.

(wzrost z 15 tys. kilka lat wcześniej)

(DANE POLICJI JNE Z 2024 R.)

Czy Polsce dostęp do broni powinien być bez zezwolenia?

NIE

75 proc. badanych

TAK

16 proc. badanych

NIE MAM ZDANIA

9 proc. badanych

(BADANIE SW RESEARCH NA ZLECENIE „WPROST” Z 2024 R.)

mniej cztery osoby. W 2024 roku w USA, jak podaje CNN, były 503 takie przypadki. Prawdziwa plaga przypadła na lata covidowe – od 2020 do 2023 co roku było co najmniej 600 tego typu incydentów.

Czy to oznacza, że Amerykanie są za większą kontrolą do posiadania broni? Cóż, nie. Według Pew Research Center w 2023 roku 51 procent mieszkańców USA uważało, że ważniejsza jest ochrona prawa do posiadania broni niż bardziej restrykcyjna kontrola jej posiadania (48 procent).

Ale to nie był film

Charlie Kirk mówił, że akceptowalną ceną za powszechne posiadanie broni w USA – Stany to jedyny kraj, który konstytucyjnie gwarantuje obywatelom dostęp do broni palnej – jest to, że jej ofiarami raz na jakiś czas będą dzieci. Choć prawdopodobnie mało kto z Amerykanów byłby w stanie zgodzić się z tym twierdzeniem, to jest to oczywista konsekwencja tej kulturowej normy. W amerykańskiej kulturze powszechny dostęp do broni oznacza śmierć dzieci w wyniku postrzałów. Tak wygląda rzeczywistość. Każdy więc, kto opowiada się za powszechnym dostępem do broni, musi wiedzieć, że konsekwencją takiej postawy są nadliczbowe zgony najmłodszych.

A co ze wspomnianą na początku opinią Kirka, że „broń ratuje życie”? Co z opowieścią o „dobrym człowieku z bronią”, który staje oko w oko ze „złym człowiekiem z bronią”, powstrzymując go przed popełnieniem okrutnej zbrodni?

Jednej z najbardziej precyzyjnych operacjonalizacji tego poglądu dokonał zespół badaczy pod kierownictwem Charlesa Branasa. Wyniki opublikowali w prestiżowym czasopiśmie naukowym „The American Journal of Public Health”. Naukowcy analizowali przestępstwa dokonane na niemal 1400 osobach w Filadelfii w latach 2003-06. Połowa z nich miała broń w celach obronnych, a połowa nie – ci drudzy stanowili grupę kontrolną.

Okazało się, że osoby, które posiadały broń w momencie napaści, padały ofiarą postrzału prawie 4,5 razy częściej niż nieuzbrojone ofiary.

Dynamika incydentów z bronią jest zupełnie inna niż ta, którą znamy z filmów. W hollywoodzkich produkcjach wygląda to mniej więcej tak: „bad guy” zasada się na Bogu ducha winnego człowieka, ten dobywa broni i albo odstrasza intruza, albo robi to, co mężczyzna w takiej sytuacji musi zrobić. Tymczasem sytuacje w realnym życiu są znacznie bardziej skomplikowane – nierzadko górę biorą nerwy, sytuacja zaczyna eskalować, druga strona również może mieć broń. W momencie, kiedy osoba bez broni dąży do deeskalacji (na przykład po prostu oddając portfel), osoba z bronią zaczyna „pertraktować” z przestępcą, a ten z kolei jest bardziej skory do oddania strzału.

Naukowcy podkreślają, że broń daje potencjalnej ofierze większą pewność siebie, co z kolei może się skończyć bardzo źle. Do tego osoby uzbrojone mogą chętniej zapuszczać się do dzielnic, do których nie weszłyby bez broni. Badacze zauważają też, że osoby, które używają broni jako linii obrony, rzadko mają na prawdę dobre umiejętności strzeleckie. Broń więc nie ratuje życia, lecz zwiększa ryzyko bycia postrzelonym! Również wtedy, kiedy jest się uzbrojoną ofiarą.

Tak, to „ludzie zabijają ludzi”, ale...

Literatura przedmiotu pełna jest również analiz, które zestawiają powszechność występowania broni z podwyższonym ryzykiem śmierci. „Najwyższy wskaźnik zgonów w wyniku użycia broni palnej ma miejsce w południowych stanach i na zachodzie, gdzie obowiązują mniej restrykcyjne przepisy dotyczące broni, a liczba posiadaczy jest większa. Z kolei wskaźnik zgonów w wyniku użycia broni jest mniejszy na północnym wschodzie, gdzie obowiązują bardziej rygorystyczne przepisy” – czytamy w opracowaniu sporządzonym przez The

cę broni z Teksasu, posiadacza kilkudziesięciu pistoletów, karabinów i strzelb. Ważne jest, jaki odsetek gospodarstw domowych ma broń. Według danych portalu GunPolicy.org agregującego informacje na temat broni palnej w USA, około 40 procent rodzin posiada broń. Czy dzięki temu Amerykanie są bezpieczni?

No cóż... W Stanach Zjednoczonych w 2024 roku wskaźnik zabójstw na 100 tysięcy mieszkańców wynosił prawie 5,8. Nie jest to najbardziej zatrważająca statystyka na świecie, bo na Jamajce współczynnik ten dobija do 50, w Ekwadorze wynosi 46, a w Hondurasie 31,4. Jest to jednak zdecydowanie najwyższy wskaźnik, jeśli chodzi o kraje rozwinięte.

Dla porównania, w Niemczech i Austrii wskaźnik wynosi 0,9, w Szwecji i Wielkiej Brytanii – 1,1. W Polsce na 100 tysięcy mieszkańców dokonuje się 0,8 zabójstwa. W porówna-

niu z Polską w USA mamy więc ponad siedmiokrotnie wyższe ryzyko zostania zamordowanym...

Według Pew Research Center, jednego z najbardziej prestiżowych amerykańskich think tanków, w 2023 roku w USA w wyniku postrzałów zginęło prawie 47 tysięcy osób. 58 procent to były samobójstwa, 38 procent – morderstwa, na pozostałe złożyły się między innymi przypadkowe postrzelenia (463 przypadki) i postrzelenia przez policjantów (604). Dla porównania, w całym 2023 roku w Polsce doszło do 559 zabójstw.

Zgoda, Stany Zjednoczone mają populację dziewięciokrotnie większą od naszej, więc jeżeli Polska byłaby wielkości USA, to „powinniśmy mieć” nieco ponad 5 tysięcy zabójstw. Tymczasem jedynie z broni palnej za oceanem zabija się ponad trzy razy więcej osób!

Johns Hopkins Bloomberg School of Public Health będącego częścią Uniwersytetu Johna Hopkinsa.

Z kolei w artykule „Gun ownership and gun violence: A comparison of the United States and Switzerland Author links open overlay panel” badacze pod kierownictwem Wolfganga Stroebe podkreślają związek między łatwością dostępu do broni a występowaniem masowych strzelanin.

A co z często powtarzanym sloganem przez członków amerykańskiego National Rifle Association, organizacji pozarządowej promującej dostęp do broni palnej, który brzmi: „Guns don't kill people, people kill people” (To nie broń zabija ludzi, to ludzie zabijają ludzi)? Cóż, w amerykańskich realiach jest on, delikatnie mówiąc, mylący.

Prawdą jest oczywiście, że ktoś musi nacisnąć spust. Przypomnijmy jednak, że kilkaset osób rocznie ginie w USA tylko z tego powodu, że ktoś robi to przypadkiem. Po drugie, istotne jest pytanie o ryzyko, jakie niesie ze sobą użycie broni palnej w porównaniu z innymi narzędziami. Statystyki przytaczane przez Stroebe wskazują, że broń palna jest siedmiokrotnie bardziej śmiertelna w porównaniu z użyciem noża. Może być wszak użyta z większej odległości, a pocisk razi bardziej niż nóż. Tak, to „ludzie zabijają ludzi”, ale „ludzie z bronią palną zabijają ludzi znacznie skuteczniej”.

Ofiarami broni palnej najczęściej padają osoby z bliskiego otoczenia – rodzina, bliscy, znajomi. Według badań cytowanych przez przywołanego już Wolfganga Stroebe 78 procent zabójstw przy użyciu broni w USA w latach 1980-2003 dokonano na osobach, które sprawca znał. Zazwyczaj więc broń nie jest używana w celu obrony mienia, tylko podczas kłótni i w scenach chorobliwej zazdrości. Nie służy obronie rodziny, a raczej jej zagraża.

Think tank RAND Corporation od lat tworzy metaanalizy, w których zbiera dane na temat tego, w jaki sposób różne polityki związane z dostępnością do broni wpływają na ryzyko społeczne. Lektura opracowania przygotowanego przez grupę analityków pod kierownictwem Rosanny Smart prowadzi do kilku wniosków.

Po pierwsze, bardziej rygorystyczne przepisy dotyczące bezpiecznego przechowywania broni zmniejszają liczbę samookaleczeń oraz zabójstw dokonywanych przez młodzież. Po drugie, tak zwane prawo „Stand your ground”, które zezwala na użycie bro-

ni bez konieczności uprzedniego wycofania się i które liberalnie traktuje „proporcjonalność” środków obrony, podwyższa wskaźnik zabójstw. W takim reżimie prawnym ludzie po prostu chętniej wyciągają broń i strzelają. Wreszcie podniesienie wieku zezwalającego na wejście w posiadanie broni zmniejsza liczbę zabójstw.

Bo nam się nic nie stanie

Skąd zatem przekonanie, że „broń ratuje życie i „czyni rodziny bezpieczniejszymi”?

Ciekawych odpowiedzi udzielają Sara Gorman i Jack M. Gorman w swoim tekście „Why Do People Buy Guns?” na łamach „Psychology Today”. Pierwszą jest błędna percepcja zagrożeń. Większość z nas uważa, że „złe rzeczy, owszem, zdarzają się, ale nie nam”. „Postrzeganie ryzyka jest głębokim psychologicznym zjawiskiem, nierzadko całkowicie opornym na informacje statystyczne” – piszą eksperci. Ludzie zbyt często uważają, że mają całkowitą kontrolę nad tym, czy (lub do kogo) oddadzą strzał. Tymczasem, jak wyżej zostało wielokrotnie wskazane, sytuacje stresowe cechują się własną dynamiką, nierzadko ludzie robią w ich trakcie rzeczy, których nie zrobiliby, gdyby mieli całkowicie chłodne głowy.

Okazuje się również, że ludzie bardzo rzadko zmieniają zdanie pod wpływem nowych informacji. Jesteśmy poznawczymi konserwatystami, którzy mogą usłyszeć coś, co przeczy naszej wizji świata, a mimo to absolutnie jej nie skorygować. W celu obrony naszego stanowiska możemy albo aktywnie „zapomnieć” informacje, albo „przykryć je” innymi opowieściami. A jeżeli jeszcze na szali leży istotna część naszej tożsamości, to zmiana zdania staje się właściwie niemożliwa.

Według Pew w 55 procentach gospodarstw domowych osób deklarujących poparcie dla Partii Republikańskiej ktoś ma broń. W przypadku osób zbliżonych światopoglądowo do Demokratów odsetek ten wynosi 31 procent. I dalej: w 2024 roku 68 procent osób popierających Demokratów uważało, że przemoc z użyciem broni jest jednym z głównych problemów Stanów Zjednoczonych. Z takim stanowiskiem zgodziło się zaledwie 27 procent osób popierających Republikanów.

Dlaczego jednak, skoro dostęp do broni zwiększa ryzyko zabójstw, w europejskich krajach, gdzie wiele gospodarstw domowych posiada broń – w Finlandii czy Szwajcarii ponad 30 procent gospodarstw domowych wobec ponad 40 procent w USA – nie mamy do czynie-

nia z takimi kosztownymi statystykami? Mało tego, w Europie właściwie nie mamy do czynienia z takimi zjawiskami jak masowe strzelaniny.

Jak strzelają Szwajcarzy

I tu wracamy do artykułu Wolfganga Stroebe z zespołem. Badacze wzięli na tapet USA i Szwajcarię. Zaznaczają, że choć broń jest „konieczna” do tego, żeby kogoś zastrzelić, to nie jest „wystarczająca”. Trzeba przyznać, że sprawa zaczyna się komplikować, zwłaszcza w kontekście powyższego fragmentu o tym, że to „ludzie z bronią zabijają skuteczniej”...

Różnice między krajami można podzielić na instytucjonalne i kulturowe. Wśród tych pierwszych znajdują się odmienne przepisy. W Szwajcarii znacznie trudniej jest dostać broń niż w USA, gdzie w wielu stanach kupić ją mogą osoby, które, no cóż, nie powinny jej mieć. Chodzi o ludzi w kryzysie uzależnienia, bez odpowiedniego przeszkolenia, często z półświatka (co jest z kolei związane z tym, że w USA jest większa przestępczość).

W Szwajcarii istnieje też obowiązek służby wojskowej i szkoleń, które muszą przechodzić rekruci, co z kolei jest powiązane z możliwością uzyskania dostępu do broni. Częściej niż w USA mają do niej dostęp osoby, które są znacznie lepiej przygotowane. W Szwajcarii nie istnieje również prawo „Stand your ground”, które w Stanach podbija statystyki zabójstw. Innymi słowy, reżim prawny Szwajcarii „odsiewa” ryzyka związane ze związkiem broni i zabójstw. A co z kulturą?

Być może właśnie ten czynnik „więcej waży”. Jak wskazują badacze, ważne jest to, w jaki sposób kultura broni palnej rozwijała się w danym kraju. Szwajcarzy częściej kojarzą broń z obroną kraju i ze strzelectwem sportowym, Amerykanie od lat coraz częściej łączą ją z kwestiami osobistej ochrony. Szwajcarom taki pomysł na samoobronę rzadko przychodzi do głowy, bo ufają (całkiem słusznie zresztą), że obroni ich policja.

Poza tym część Amerykanów traktuje broń trochę jak zabawki.

W Szwajcarii byłoby nie do pomyślenia, żeby w swoim ogródku strzelać do puszek. W Stanach jest to dopuszczalny rodzaj rozrywki.

Ostatnia różnica to kwestia „zrośnięcia” broni i męskości w wyobrażeniach niektórych przynajmniej grup społecznych. To w połączeniu z kulturą honoru, czyli nadmiernym przeżuceniem męczyzn na swoim punkcie, które wymaga natychmiastowego zmycia pohańbie-

nia, nierzadko prowadzi do tragedii. W Polsce manifestację kultury honoru możemy pamiętać z biednych dzielnic lat dwutysięcznych, kiedy zbyt długie spojrzenie oznaczało kontrolne pytanie, czy aby „chce się wp...ć”.

Badacze zwracają też uwagę na pewne strukturalne problemy USA: duże obszary ubóstwa i wykluczenia krzyżujące się z tym zaburzenia struktury rodziny oraz problemy rasowe. USA są po prostu niebezpiecznym, kiepsko zarządzanym krajem z rozpadającymi się instytucjami społecznymi. Jeżeli dodamy do tego łatwy dostęp do broni, to mamy to, co mamy: największy odsetek zabójstw wśród krajów rozwiniętych, gdzie ogromna większość z nich jest dokonywana właśnie z użyciem broni palnej.

A czy w Polsce powinniśmy zwiększyć dostęp do broni?

Z jednej strony nie mamy wielu tych czynników, które podbijają ryzyko związane z bronią w Stanach Zjednoczonych. Wydaje się bardzo mało prawdopodobne, że liberalizacja prawa dostępu do broni będzie posunięta tak daleko, że każdy 18-latek będzie mógł sobie kupić karabin AR-15. Nie wydaje się również możliwe, żebyśmy inkorporowali odpowiednik prawa „Stand your ground”. Męskość w naszym społeczeństwie rzadko jest utożsamiana z bronią, większość z nas nie ma również potrzeby „samoobrony” za pomocą własnego glocka.

I tu jest druga część opowieści o Polsce – w wyniku procesów cywilizacyjnych oraz bogacenia się naszego społeczeństwa od lat przestępczość w naszym kraju spada. W 2023 roku współczynnik przestępczości był o blisko 20 procent niższy niż w połowie lat dziewięćdziesiątych i o blisko 45 procent niższy niż w latach 2002-04. Liczba podejrzanych o najpoważniejsze zbrodnie, czyli zabójstwa, jest obecnie o blisko 40 procent niższa niż w latach dziewięćdziesiątych XX wieku – to dane z najnowszego „Atlasu przestępczości” wydanego przez Instytut Wymiaru Sprawiedliwości.

Faktem jest, że mamy coraz więcej broni.

Na ten moment naszą energię wyładujemy jednak na strzelnicach; w statystykach wciąż nie widać rosnącego problemu z postrzałami i wypadkami śmiertelnymi z użyciem pistoletów. I nadal jesteśmy też przeciwni liberalizacji prawa do posiadania broni.

Może lepiej nie testować naszej kultury pod kątem tego, czy nowo wprowadzone rozwiązania zadziałałyby tak jak w Szwajcarii, czy raczej tak jak w USA? ●

REKLAMA

Kraj/34399090

SAMI DBAMY O EDUKACJĘ ZDROWOTNĄ NASZYCH DZIECI

IDZCIE SIĘ MYĆ!

Na każdy temat z każdej strony
tokfm

JANEK KOZŁOWSKI

PRZEWAGA UCZUĆ NAD FAKTAMI

Sami Palestyńczycy nazwali Franka Sterczewskiego i Gretę Thunberg
selfieaktywistami



• Barcelona, 31 sierpnia br. Aktywistka Greta Thunberg (druga z lewej) na jednym z 20 statków Floty Global Sumud, które wypływają w kierunku Strefy Gazy FOT. BURAK AKBULUT / ANADOLU VIA AFP

Dominika Tworek

Flotylla Sumud, zapowiadana jako pokojowa misja humanitarna, od początku budziła kontrowersje. Brało w niej udział 500 osób, też z Polski: poseł Franciszek Sterczewski, dziennikarka Ewa Jasiewicz oraz aktywiści Omar Faris i Nina Ptak. Pomoc nie dotarła do Gazy, przedsięwzięcie spotkało się z ostrą krytyką – też ze strony palestyńskich środowisk. Pojawiło się pytanie, czy współczesny aktywizm wciąż ma moc zmieniania świata.

Ahmed Alkhatib, palestyńsko-amerykański działacz, szef projektu Realign for Palestine, nazwał uczestników wyprawą „selfieaktywistami”, którzy marnują czas na egocentryczne interwencje, odwracając uwagę od faktycznych problemów.

„Nie zwiększacie świadomości na temat czegoś, o czym cały świat już wie” – pisał na X. Według niego zachodni aktywiści nie ro-

zumieją realiów tej wojny. Gdyby naprawdę chcieli skutecznie pomagać, mogliby rozważyć transport przez port w Aszdodzie lub El-Arish, współpracując z Egiptem i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi.

Podobnie myśli John Aziz, palestyńsko-brytyjski aktywista i analityk Bliskiego Wschodu. Jego zdaniem załoga Flotylli prowadziła teatralne, symboliczne działania, które przyciągają uwagę, ale nie przynoszą realnej pomocy. Kompletnie ignorując przy tym okrucieństwa Hamasu, który cierpienie ludności cywilnej traktuje jako polityczną broń.

„Współczesny aktywizm opiera się na przekonaniu, że emocje są dowodem cnoty – że im silniejsze uczucie, tym prawdziwsza sprawa. Oburzenie jest wykorzystywane jako dowód moralności, a współczucie jako rodzaj performatywnej sztuki” – napisał na portalu Quillette.

Krytyczny głos zabiera również dr Kamil Kijek, socjolog i historyk z Katedry Judaistki Uniwersytetu Wrocławskiego: – Gdy prze-

chwycono Flotyllę, media mówiły głównie o niej, a nie o tym, że właśnie trwały negocjacje zawieszenia broni. Tego dnia zginęło stu cywilów, ale media transmitowały selfie posła Sterczewskiego.

Na tym tle Flotylla przestaje być jedynie historią o pomocy humanitarnej – stając się symbolem współczesnych gestów sprzeciwu. Czy faktycznie żyjemy w świecie, w którym „teatr emocji” cieszy się większą popularnością niż złożony dyskurs? I czy w takiej rzeczywistości aktywizm wciąż może być skutecznym narzędziem społecznej zmiany?

Medialny szum

Nina Ptak jest prezeską Stowarzyszenia Nomada, działającego na rzecz uchodźców i migrantów. Wcześniej pracowała w lokalnych i międzynarodowych organizacjach, zajmując się wykluczeniem czy przemocą ze względu na płeć.

Aktywistka globalnie patrzy na problemy: – Będąc osobą w spektrum autyzmu, trochę inaczej łączę kropki. Odnoszę się do kapitali-

zmu, imperializmu i kolonializmu jako sedna problemów, z którego wynikają różne inne.

We Flotylli uczestniczyła jako wolontariuszka Polsko-Palestyńskiej Inicjatywy na Rzecz Sprawiedliwości Kaktus, która zajmowała się ewakuacjami Palestyńczyków ze Strefy Gazy – w tym rannych i chorych dzieci. Pomimo wielomiesięcznych starań, nie udało się przekonać do tego polskiego rządu. Flotylla stała się dla niej ostatnią szansą na działanie.

Chodziło m.in. o zmianę dyskursu publicznego w Polsce: – Przez ostatnie dwa lata w mediach głównego nurtu panowała na ten temat absolutna cisza. A jeśli pojawiały się jakieś wzmianki, to raczej w linii tego, co mówi polski proizraelski rząd. Tymczasem izraelska machina propagandowa jest jedną z najbardziej rozwiniętych na świecie.

W opinii aktywistki milczenie mediów wynika też z rasizmu i islamofobii – Palestyńczycy nie są dziś postrzegani jako równi innym.

Po powrocie Flotylli na lotnisku roilo się od dziennikarzy, co według Ptak było dużym suk-

cesem. Mimo że w centrum uwagi znalazły się przede wszystkim twarze aktywistów – jak twierdzi – rykoszetem udało się dotrzeć także do tych, którzy wcześniej w ogóle nie wiedzieli, co dzieje się w Gazie.

Choć aktywiści byli świadomi blokady korytarza humanitarnego przez Izrael, mieli nadzieję na dostarczenie pomocy, głównie ze względu na skalę akcji. Płynęło tam ponad czterdzieści łodzi.

– Opinia publiczna była już tak bardzo odwrócona od Izraela, że myśleliśmy, iż być może wpuszczą Flotyllę, żeby pokazać jakąś dobrą wolę. Albo że chociaż kilku ludziom uda się przebić. Oczywiście nasza pomoc była symboliczna. Za akcją stał jednak konkretny plan: w razie przełamania blokady inne organizacje humanitarne były gotowe natychmiast wpłynąć ze statkami pełnymi realnej pomocy – tłumaczy Ptak.

Co udało się osiągnąć Flotylli? Aktywistka wymienia, że gdy Izrael koncentrował uwagę na nich, liczba bombardowań w Gazie spadała. Sam atak na łodzie i późniejsze zatrzymania stały się kolejnymi dowodami łamania prawa międzynarodowego. W Polsce zaczęto głośniej mówić o ludobójstwie, a propalestyńskie protesty zyskały na sile – jak podaje policja, w jednym z marszów w Warszawie wzięło udział blisko 1,5 tysiąca osób.

W czasie wyprawy, Hiszpania wprowadziła embargo na handel bronią z Izraelem, a we Włoszech odbył się strajk generalny. Jednak dla Ptak najważniejsze są głosy z samej Gazy – to, że Palestyńczycy mieli poczucie, iż obywatele z drugiego końca świata okazują im solidarność.

Aktywizm w epoce spektaklu

Jeśli chodzi o „aktywizm spektaklu”, Ptak wyjaśnia, że wśród ok. tysiąca osób mogły znaleźć się i takie, które chciały zrobić sobie fejm. Ale to absolutna mniejszość, a intencje wielu uczestników wyprawy zweryfikowały się po drodze. Na miejsce dotarło dwa razy mniej osób, niż początkowo zakładano:

– Nikt z nas nie był pewny, co się wydarzy, jeśli Izrael nas porwie, bo to mordercy i psychopaci. Oczywiście, zakładaliśmy, że nie stanie nam się nic porównywalnego z tym, co Izrael robi w Palestynie. Jednak to zagrożenie istniało.

Performatywność towarzyszy ruchom społecznym od zawsze. Symboliczna ekspresja łączy ludzi, wzmacniając poczucie wspólnoty i podkreślając znaczenie ich działań. Czy zarzuty o teatralność i „narcyzm” są w tym kontekście uzasadnione? – pytam dr. Przemysław Plucińskiego, badacza ruchów społecznych z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

– To nie decyzja samych aktywistów, lecz efekt sposobu, w jaki media konstruują przekaz. Badania pokazują, że to one przedstawiają dziś aktywizm jako spektakl. Ich celem nie jest obiektywna rejestracja rzeczywistości, lecz skupienie się na tym, co dramatyczne i kontrowersyjne, bo to się sprzedaje – odpowiada.

W praktyce oznacza to, że nawet sensowne działania mogą uchodzić za pusty performance. Media społecznościowe tylko potęgują ten efekt: platformy, które teoretycznie pozwalają aktywistom kreować własny wizerunek, w praktyce premiują wzmożone emocje i „sławę” liderów. Być może dziś aktywiści są na z góry przegranej pozycji – ich działania są narażone na odbiór, który nie jest spójny z intencjami. Bo albo działamy zgodnie z logiką algorytmów, albo znikamy z pola widzenia. Nie sposób jednak pominąć tu kwestie ego.

– Psychologowie zajmujący się tym zagadnieniem twierdzą, że współczesnych aktywistów napędzają zarówno motywacje autoprezentacyjne, jak i autentyczne, głęboko moralne pobudki. Oceny sprowadzające działania wyłącznie do autoprezentacji mogą być próbą deprecjonowania aktywistów – tłumaczy dr Pluciński.

Dużym wyzwaniem dla współczesnych działaczy jest pokazywanie solidarności sieci,



• Lotnisko Chopina w Warszawie, 8 października br. Polacy z Flotylli Sumud: poseł KO Franciszek Sterczewski i prezesa Stowarzyszenia Nomada Nina Ptak - wracają do kraju po pobycie w izraelskim więzieniu i deportacji do Aten FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mierzymy się z polikryzysem: wojnami, inflacją, kryzysem energetycznym i ekologicznym. Tymczasem ktoś wychodzi na ulicę, płynie do Gazy, oblewa farbą i mówi: „zróbcie coś”

a nie tylko gwiazd, którą w Polsce był Franciszek Sterczewski. Bo przecież żaden ruch społeczny nie powinien prezentować się jako celebryckie show.

Absolutny kat, absolutna ofiara

Czy aktywizm Flotylli – mimo kierowania się humanitaryzmem – może przynosić więcej szkody niż pożytku? – pytam dr. Kijkę.

– Niezależnie od intencji czy światopoglądu, jeśli działania aktywistów pokrywają się z działaniami radykałów, którzy uważają, że kluczem do rozwiązania problemów Bliskiego Wschodu jest zniszczenie państwa żydowskiego, są one szkodliwe – mówi – Niektórzy uczestnicy Flotylli prezentują przy tym jawne antyizraelskie poglądy.

Widać to choćby w słowach brytyjskiej aktywistki Sarah Wilkinson, która po deportacji do Turcji oświadczyła: „Izraelczycy nie są ludźmi. Mają ręce, mają twarze, ale nie są jednymi z nas. To potwory”. Również Nina Ptak stwierdziła w naszej rozmowie, że armia Izraela wraz z jego społeczeństwem są spersonifikowanym złem. Co ilustruje, że nawet intencjonalnie humanitarne akcje mogą przyjąć formę wykluczającą drugą stronę.

Historyk stawia pytania: Czy działania aktywistów wzmacniają siły, którym bliskie są wartości demokratyczne, równościowe, oparte na odrzuceniu przemocy? Czy efektem tych inicjatyw nie jest raczej pogłębianie polaryzacji, sprzyjającej ugrupowaniom radykalnym – po obu stronach konfliktu?

– Mówimy o społeczeństwach tak samo podzielonych i pełnych dylematów jak nasze. Tymczasem z jednej strony czyni się absolutną ofiarę, z drugiej – absolutnego kata. Taka postawa prowadzi do odmawiania Izraelczykom ludzkiej twarzy. Co paradoksalnie jest właśnie kolonialne, bo czyni miliony uwikłanych w ten konflikt symbolami z naszych własnych wyobrażeń, a nie żywymi ludźmi z całym ich skomplikowaniem – tłumaczy dr Kijkę.

O ile tego rodzaju skrajne emocje są zrozumiałe wśród osób bezpośrednio doświadczających konfliktu, czy aktywizm prowadzony z bezpiecznego dystansu nie powinien wyglądać jednak zgoła inaczej? Opierać się na porządki wobec rzeczywistości, głębokiej wiedzy i świadomości skutków własnych działań?

– Jeśli aktywizm abstrahuje od rzeczywistych przyczyn konfliktu i konkretnych rozwiązań, a zamiast tego utrzuca uproszczony obraz sytuacji, jego skutki mogą być wręcz przeciwnie do zamierzonych – konstatuje naukowiec.

Nie ma innej przestrzeni wolności

Kaja Kędziol jest doktorantką kulturoznawstwa. Unika określenia „aktywistka”, uznając je za mocno tożsamościowe. Skupia się na działaniach na rzecz Palestyny, prawach migrantów i antyracyzmu: – Nie wyobrażam sobie siedzieć biernie w obliczu ludobójstwa. Rzeczywistość, w której godzimy się na świat pełen opresji i przemocy oraz nihilistycznie topimy się w tej beznadzie, byłaby dla mnie nie do zniesienia.

25-latkę przyznaje, że nieraz padają w jej stronę oskarżenia o bycie „prohamasową” czy pochwalanie terroryzmu: – Warto zauważyć, że ludobójcza kampania Izraela nie skończyła się unicestwieniem Hamasu, a zamiast tego zamordowano ogromną liczbę cywilów. Niektóre źródła mówią nawet o setkach tysięcy. Postawienie się po stronie ludzi, na których spadają bomby, wcale nie oznacza jednoznacznie wsparcia dla zbrojnego ramienia walczącego o niepodległość.

Jej zdaniem tę łatkę osób „proterrorystycznych” przykleja się aktywistom ze względu na istniejącą arabofobię. Bo w osobie arabskiego pochodzenia widzimy po prostu terrorystę.

W czerwcu Kędziol zorganizowała pokojową okupację Uniwersytetu Wrocławskiego. Studenci domagali się, by rektor potępił ataki na Strefę Gazy i zerwał współpracę z izraelskimi uczelniami. Po pół roku podpisano porozumienie: UWz zaoferował 20 miejsc dla pale-

styńskich studentów, powołał komisję ds. etyki współpracy międzynarodowej i wydał oświadczenie w sprawie Palestyny. Partnerstwa jednak nie zerwał.

Z taką formą protestu nie zgadza się część naukowców, w tym dr Kijkę: – Nasi studenci chcą po prostu studiować, a aktywiści zmuszają ich do zajmowania politycznego stanowiska wobec sytuacji na Bliskim Wschodzie. Ci, którzy nie rozumieją badań nad kulturą żydowską, pouczają badaczy, kogo bojkotować i jak mają wyglądać studia żydowskie. Według niego aktywizm, który wchodzi na uczelnię w ten sposób, szkodzi nauce.

Historyk studiował także na uniwersytetach w Jerozolimie, Tel Awiwie i Hajfie. Twierdzi, że jest to jedno z najbardziej demokratycznych środowisk w Izraelu, którego wielu przedstawicieli jest zaangażowanych w inicjatywy dążące do pokojowego współżycia dwóch narodów. Także w obronę praw Palestyńczyków na terytoriach okupowanych przez Izrael i w różne działania na rzecz pełnego i realnego równouprawnienia przedstawicieli mniejszości arabskiej w samym Izraelu.

– Oczywiście są tam również prawicowcy, w tym skrajni nacjonaliści, ale pod względem przestrzeni wolności izraelskie uniwersytety pozostają wyjątkowe, nie tylko w skali kraju, ale i całego regionu – podkreśla naukowiec. To 1,3 tys. naukowców z izraelskich uczelni w maju wezwowało do zakończenia wojny, stawiając czoła zarzutom, że wspierają w ten sposób Hamas, śmiertelnego wroga swojego narodu. A rektorzy pięciu – w większości najważniejszych – uniwersytetów zaprotestowali w lipcu przeciw sposobowi prowadzenia wojny w Gazie.

Kilka miesięcy temu w Izraelu grożono instytucjom, które chciały u siebie pokazywać oscarowy dokument „No Other Land”, stworzony wspólnie przez Palestyńczyków i izraelskich Żydów. Jednym z miejsc, w których ten film pokazano, były uczelnie.

– Kogo wzmacniamy, bojkotując je? Tą część ich studentów, którzy szukają dialogu, czy tych, którzy im grożą? – pyta dr Kijkę.

Pułapka odpowiedzialności zbiorowej

Dziś ci, którzy protestują przeciwko Netanjahu, trafiają do jednego worka z jego zwolennikami. W opinii prof. Piotra Foreckiego, politologa z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, na fali moralnego wzmożenia formułuje się postulaty oparte wyłącznie na emocjach – ślepe na kontekst i w efekcie kontrproduktywne:

– Wyobraźmy sobie, że europejska społeczność wzywa do bojkotu polskich uczelni i wszystkiego, co polskie z powodu zaostreżenia ustawy aborcyjnej, przeciwko czemu ulicami polskich miast rozlewa się fala protestów. Oczywiście porównujemy zupełnie inne porządki, ale mechanizm jest ten sam. Bardziej zrozumiałym byłby bojkot konkretnych osób, które nawołują do eskalacji przemocy.

Czyż nie większy sens miałoby wspieranie prodemokratycznych środowisk i budowanie wspólnej sieci kontaktów? Przecież akademie w swej istocie powinny być przestrzenią apolityczną. Zadaniem uniwersytetów jest prowadzenie badań naukowych, a nie podporządkowywanie nauki bieżącej ideologii.

Do tych wątpliwości odnosi się Kaja Kędziol: – Podczas protestu nawiązaliśmy kontakt z organizacją „Academia for Equality”, zrzeszającą palestyńskich i izraelskich naukowców sprzeciwiających się okupacji. Izraelska akademicka, prof. Anat Matar, apelowała o instytucjonalny bojkot, czyli nielegitymizowanie działalności izraelskiej akademii. Większość uczelni działa tam pod dyktando rządu. Tylko nieliczni profesorowie otwarcie sprzeciwiają się tym instytucjom, za co niejednokrotnie są represjonowani.

W jej ocenie izraelskie uniwersytety są współodpowiedzialne za sytuację w Gazie – część funkcjonuje na terenach okupowanych, inne prowadzą badania lub opracowują narzędzia – w tym algorytmny AI – wykorzystywane przez polityków i wojsko. Podkreśla też,

że protesty w Izraelu nie są stricte związane z sytuacją w Gazie.

– One dotyczyły wojny jako takiej, losu izraelskich zakładników czy reform Netanjahu. Izraelski dziennik Haaretz przeprowadził badanie i okazało się, że 82 proc. społeczeństwa izraelskiego wyznającego judaizm popiera tę czystkę etniczną.

Czy zaangażowani w krytykę rządu akademicy powinni być traktowani hurtem i ponosić zbiorową odpowiedzialność w ramach postulowanego bojkotu? Zostawiam to pytanie otwarte.

Greta Thunberg wrzuca zdjęcie na instagram

Wróćmy jednak do Flotyli. Jej twarzą stała się Greta Thunberg, dotąd kojarzona głównie z walką o klimat. Aktywistka od lat budzi skrajne emocje – od entuzjazmu po pogardę. W prawicowych mediach bywa przedstawiana jako uosobienie „ideologicznej młodzieży Zachodu”, staje się obiektem kpin i hejtu.

Część bardziej rzeczowych krytyków wskazuje jednak na niespójność jej działań: z jednej strony wzywa do ograniczenia emisji, z drugiej podróżuje jachtem na szczyt klimatyczny. Choć większość społeczeństwa nie może pozwolić sobie na podobny gest ekologicznej czystości.

Obecnie media eksponowały Thunberg głównie w kontekście doniesień o jej „torturowaniu” przez Izrael, podczas gdy prawdziwe ofiary wojny pozostawały w jej cieniu. Co więcej, podczas tego rejsu aktywistka wrzuciła na Instagram zdjęcie izraelskiego zakładnika, Evyatara Davida – jednego z porwanych przez Hamas. Do fotografii dodała komentarz o złym traktowaniu palestyńskich więźniów.

W świecie błyskawicznej, emocjonalnej komunikacji taki lapsus mógłby uchodzić za drobny błąd. Pytanie, czy w przedsięwzięciu tak mocno opartym na medialnym przekazie, nie staje się on błędem kardynalnym.

W tym geście – zapewne niezamierzonym, lecz znamienym – możemy dostrzec symptomy szerszego problemu – dominacji uczuć nad faktami. Emocje są jednak fundamentem i paliwem aktywizmu. Ruchy społeczne zapewniają ludziom poczucie wspólnoty i mobilizacji. Kontestując razem coś, co uważamy moralnie lub politycznie za szkodliwe, możemy wręcz doznać uczucia katharsis. Jednocześnie emocjonalność może prowadzić do przyjmowania bardzo zawężonej perspektywy, opartej na empatii wyłącznie dla jednej ze stron.

Kolejne fronty wojny kulturowej

Coraz częściej obserwujemy, jak różne sprawy społeczne i polityczne, łączone są ze sobą w jeden lewicowo-liberalny „pakiet”. Mieszczą – i mieszają – się w nim zarówno postulaty klimatyczne, ruch Wolnej Palestyny, Black Lives Matter, a także feminizm i kwestie genderowe. Greta Thunberg postawiła sprawę jasno: „Jeśli jako aktywista klimatyczny nie walczysz również o wolną Palestynę, koniec kolonializmu i ucisku na całym świecie, nie powinieneś nazywać się aktywistą klimatycznym”.

Zdaniem dr Karoliny Królikowskiej, przyrodniczki z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, specjalizującej się w ochronie środowiska i konfliktach ekologicznych, takie ideologiczne łączenie sfer szkodzi ochronie przyrody i klimatu:

– Mówimy o dobru wspólnym, ważnym dla wszystkich, niezależnie od poglądów politycznych. Jeśli ktoś stawia warunek, że nie można chronić przyrody bez walki z kapitalizmem lub militarystką, wyklucza część potencjalnych sojuszników. To zaprzecza inkluzywności, którą ci aktywiści tak często podkreślają.

Problem polega też na tym, że gdy jedna strona polityczna zawłaszcza temat, druga – w ramach logiki polaryzacji – automatycznie staje w opozycji. W takiej sytuacji możemy zapomnieć o konsensusie, ponieważ konflikty wartości są przecież bardzo często nierozwiązywalne. W ten sposób idea ochrony śro-

dowiska staje się tylko kolejnym frontem wojny kulturowej.

Dr Królikowska w młodości sama była aktywistką. Dobrze pamięta emocje tamtego czasu – poczucie, że świat jest zły oraz trzeba obalić patriarchy i kapitalizm.

– Tyle że kiedyś dorośli tłumaczyli nam: „to dobrze, że wam zależy, ale nic nie jest czarno-białe”. Dziś i media, i wielu dorosłych – często „spóźnionych rewolucjonistów” – tylko wzmacniają polaryzację. Brakuje nacisku na wyważenie, na dostrzeganie złożoności problemów. Jeżeli taki jednostronny, czarno-biały aktywizm dominuje debatę publiczną, wtedy wszyscy tracimy tę kompleksowość.

Czy współczesny aktywizm coraz częściej ogranicza się wyłącznie do walki symbolicznej – sprzeciwu wobec zastanego porządku świata? Według Andrzeja Gąsiorowskiego, aktywisty i prezesa Fundacji FOTA4Climate, przykładem takiej tendencji może być właśnie Flotylla:

– Dla mnie ruch klimatyczny Greta Thunberg był zawsze dyskusyjny, bo nie oferował żadnych realnych rozwiązań problemu. To emblematyczne, że Thunberg koncentruje się dziś na wspieraniu Palestyny. Przedstawia ją jako mityczny raj zagrożony nie tylko przez Izrael, ale też przez kapitalizm, patriarchy i całą współczesną cywilizację.

A może to ton moralnej wyższości sprawia, że działacze tracą kontakt z resztą społeczeństwa?

Ci sami aktywiści, którzy jeszcze niedawno skandowali „Just Stop Oil”, dziś wołają „Free Palestine”.

Koktajle mołotowa i rave pod ambasadą

Tymczasem skutki propalestyńskiego aktywizmu mogą wykraczać daleko poza Bliski Wschód, rozpalając w Europie antysemickie nastroje. Z raportu Federalnego Biura Policji Kryminalnej wynika, że od pamiętnego 7 października zagrożenie wobec Żydów w Niemczech znacząco wzrosło. Liczba zgłoszeń do poradni ds. przemocy i dyskryminacji na tle antysemickim podwoiła się, a instytucja działa dziś w trybie kryzysowym. W Berlinie obrzucono koktajlami Mołotowa synagogę, a na budynkach wspólnot żydowskich pojawiły się gwiazdy Dawida i napisy „Fuck Israel”.

Co się dzieje w Polsce? W październiku festiwal teatralny Cricoteka miał gościć niemiecką noblistkę Hertę Müller. Spotkanie odwołano po fali agresywnych komentarzy w sieci. Jak pisał „Die Welt”, decyzja była reakcją na kontrowersje wokół wcześniejszych wypowiedzi pisarki, która potępiła atak Hamasu na Izrael i ostrzegała przed rosnącym antysemityzmem w Europie. Organizatorzy tłumaczyli się względami bezpieczeństwa, a Müller uznała tę decyzję za atak na wolność słowa.

Z kolei w maju grupa osób z palestyńskimi flagami wtargnęła do siedziby bielskiej gminy żydowskiej w trakcie koncertu z okazji 77. rocznicy powstania Izraela. Uczestnicy w nim starsi członkowie społeczności, w tym ocalali z Zagłady. Uroczystość została brutalnie przerwana. To tylko jeden z przykładów, jak napięcia wokół Bliskiego Wschodu wpływają na życie polskich Żydów. Propalestyńskie protesty przybierają przy tym coraz bardziej kuriozalne formy jak „rave”, czyli głośna, taneczna impreza z muzyką elektroniczną – o ósmej rano pod domem ambasadora Izraela.

– Jeśli na propalestyńskich marszach pojawiają się hasła typu „syjoniści, wypierdalać

do siebie – czyli nigdzie”, to mamy do czynienia z antysemityzmem, niezależnie od intencji – mówi dr Kijek. Podkreśla jednak, że negatywna ocena polityki Izraela nie jest automatycznie antysemityzmem; nazywanie tak każdej krytyki przez żydowską prawicę przyczyniło się do rozmycia tego pojęcia.

Z kolei prof. Daniel Platek, badacz protestów społecznych z Polskiej Akademii Nauk, zaznacza, że na protestach propalestyńskich kapitał polityczny zbija także skrajna prawica: – Ona jest jawnie antysemicka, a nie wyłącznie antysyjonistyczna, jak działacze lewicowi. Pamiętne są antysemickie i propalestyńskie wystąpienia skinheadów w latach 90. To pokłosie roku 1968 i narodowego komunizmu Moczara. Nurt ten jest dziś już nieco zapomniany, niemniej Braun i podobni wciąż odwołują się do tych emocji.

Z braunizmu do Mickiewicza

Raport Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Powrót zabobonu”. Antysemityzm w Polsce z 2017 roku pokazuje, że antyżydowskie stereotypy wciąż pozostają żywe. 43 proc. badanych uważa, że „Żydzidążą do panowania nad światem”, a 44 proc. – że „osiągają swoje cele dzięki tajnym porozumieniom”. Prawie połowa z nich zdecydowanie zgadza się z tymi stwierdzeniami.

– Łączenie krytyki rządu państwa, które jest ideologicznym projektem syjonistycznym, z uprzedzeniami wobec całej grupy religijnej to głęboka manipulacja – mówi Nina Ptak. Zauważa, że nie tylko antysemityzm, ale również islamofobia, wciąż mają się w naszym kraju dobrze. – Pytanie brzmi jednak: co naprawdę jest dziś większym problemem – pojawiające się głosy antysemickie czy fakt, że Izrael dokonuje ludobójstwa na narodzie palestyńskim? Kolejnym skutkiem ubocznym, który widać na polskim podwórku, jest polityzacja badań historycznych. Dziś historia coraz częściej staje się narzędziem ideologicznym. Przykładem może być sposób, w jaki część środowisk aktywistycznych definiuje syjonizm.

– Jeśli konstruujemy go jedynie jako imperializm, kolonializm i rasizm, uznając że to kwintesencja zła, unieważniamy np. dużą część historii Żydów polskich ostatnich 150 lat – twierdzi dr Kijek. Syjonizm, jak każda tożsamość narodowa, ma wiele odcieni – od skrajnej prawicy po skrajną lewicę, obejmuje wymiar religijny i świecki. – Sprowadzanie go do jednego, negatywnego i przemocowego wymiaru oznacza zafalszowanie historii. Również historię ziem polskich w latach 1939-1970 można sprowadzić wyłącznie do czystki etnicznej, w której uczestniczyli różni przedstawiciele polskiego społeczeństwa. To nadużycie i uproszczenie, które niczego nie tłumaczy.

Można odnieść wrażenie, że to przypomina sytuację, w której polskość definiujemy przez pryzmat braunizmu i w ten sposób interpretujemy Mickiewicza. Co pokazuje, że aktywizm, z pozoru pokojowy i symboliczny, może utrudniać uprawianie nauki.

Polacy zaskakująco neutralni

Choć nie przeprowadzono jeszcze badań dotyczących odbioru Flotyli w Polsce, prof. Platek przypuszcza, że nie przekonała ona Polaków do wyraźnego poparcia strony palestyńskiej: – Polska opinia publiczna wydaje się być zaskakująco neutralna w tym konflikcie. Jest on w pew-

nym sensie zobiektywizowany, bo znajduje się daleko stąd. Mówimy o dwóch stronach, które się biją, i żadna nie wygra. Sympatia dla którejś z nich pozostaje marginesem politycznym.

Badania z listopada 2023 roku dla CBOS-u potwierdzają tę obserwację. Aż 43 proc. Polaków nie miało zdania, za którą stroną się opowiada, kolejne 33 proc. deklarowało wsparcie dla obu stron jednocześnie. Tylko kilkanaście procent wskazywało wyraźną sympatię dla jednej ze stron. Postawa propalestyńska najczęściej pojawiała się wśród wyborców lewicowych, ale nawet w tej grupie większość pozostawała przychylna obu stronom konfliktu. Z kolei najnowsze badania think tanku More in Common Polska pokazują, że choć aż 70 proc. Polaków zarzuca Izraelowi ludobójstwo, nie przekłada się to na realne poparcie dla Palestyny. Większość badanych nadal uni-ka jednoznacznego stanowiska.

Dlaczego Polacy są tak obojętni? Być może jednym z powodów jest istota współczesnego aktywizmu, który – jak zauważa Andrzej Gąsiorowski – coraz częściej zatrzymuje się na poziomie gestu, nie oferując realnych, systemowych rozwiązań: – Dziś mierzymy się z polikryzysem: wojnami, inflacją, kryzysem energetycznym i ekologicznym. Tymczasem ktoś wychodzi na ulicę, płynie do Gazy, oblewa farbą i mówi: „zróbcie coś”. Sygnalizowanie o problemach w sytuacji, gdy „wszyscy już widzą, że się pali”, prowadzi do dysocjacji debaty publicznej. Takie ekscentryczne zachowania nie tylko nie przybliżają do zmiany, ale wręcz ją utrudniają i zniechęcają do aktywizmu przeciętnych uczestników życia społecznego.

Warto zadać pytanie: czy polskie media rzeczywiście nie relacjonowały sytuacji na Bliskim Wschodzie? Tylko w sierpniu – miesiącu poprzedzającym wyprawę Flotyli – w Gazecie Wyborczej pod hasłem „Strefa Gazy” ukazało się blisko pięćdziesiąt artykułów. Wśród nich teksty zatytułowane: „Marsz przeciw ludobójstwu w Gazie i wstrząsający film o śmierci małej Palestynki” czy „Izrael zabija Gazę głodem. Widziałam, jak izraelskie wojsko wyrzucało mleko w proszku dla dzieci”. Zastanawiające jest również dlaczego zaangażowanie aktywistów nie obejmuje innych tragedii regionu – choćby Syrii, gdzie w wyniku wojny zginęło już ponad pół miliona Syryjczyków, a ONZ apeluje o pomoc humanitarną dla 16,5 mln ludzi?

Mit okropnego aktywisty

O negatywną percepcję aktywizmu pytam Kają Kędziol. Działaczka uważa, że dziś kojarzy się on głównie z tzw. radykalnym skrzydłem, które rzuca butelki, rozlewa farby, przerywa występy: – Ich akcje są niezwykle istotne i bez nich nasze skrzydło nie byłoby w żaden sposób rozpoznawalne. Ten mit „okropnego aktywisty” może być nakręcany przez narrację neoliberalizmu – po to, żeby do żadnych zmian społecznych nie dochodziło.

A może to ton moralnej wyższości sprawia, że działacze tracą kontakt z resztą społeczeństwa? Dr Pluciński tłumaczy, że skuteczny aktywizm wymaga pokory i inkluzywności: – Ludzie nie lubią być pouczeni. Ruchy nie mogą narzucać swoich racji ani stawiać się w pozycji moralnej wyższości, bo automatycznie wywołują silny sprzeciw. Aby aktywizm był skuteczny, musi łączyć komponent moralny z pragmatyzmem. W opozycji do spolaryzowanych podziałów „my-oni”, powinien być otwarty na różne perspektywy.

W ciągu ostatnich dwóch dekad liczba protestów na całym świecie gwałtownie wzrosła. Przyczyniły się do tego także demonstracje propalestyńskie. W Polsce społeczeństwo obywatelskie również przybiera na sile. To dobry moment, by zastanowić się, jaki rodzaj aktywizmu – w epoce polaryzacji i mediów społecznościowych – ma sens. Flotylla z całą pewnością odniosła medialny sukces, symbolicznie sprzeciwiając się opresji. Ale czy moralny komunikat wystarczy, by zmienić świat na lepsze? ●

WIELKI MUR WIDAĆ Z KOSMOSU. A WARSZAWĘ?

Mały rynek, który szczeka, jak Amerykanie każą
– myślą chińskie elity o Polsce. O ile w ogóle o niej myślą

Z DR ALICJĄ BACHULSKĄ
ROZMAWIA MATEUSZ MAZZINI

Czy z Pekinu widać Warszawę?
– Nie widać.

Nie widać, bo Warszawa jest za mała, czy dlatego, że Pekin nie patrzy?

– Patrzy, ale wyłącznie przez pryzmat szerszych relacji z Unią Europejską i w kontekście zmieniającej się sytuacji międzynarodowej.

W tej chwili chińska polityka zagraniczna, w tym przemysłowa i eksportowa, jest prowadzona w całości pod kątem rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi. W konsekwencji cała Europa, nawet największe państwa, jak Francja czy Niemcy, teraz nie są postrzegane jako kluczowi partnerzy strategiczni. W takim układzie Polska, czyli relatywnie małe państwo w Europie Środkowo-Wschodniej, nie oferuje Chinom niczego, co zwróciłoby ich uwagę. No i wbrew temu, co często się na nasz temat słyszy, nie jesteśmy żadną bramą do Europy dla Chin – bo Chiny w tej Europie już są, i to od dawna.

Strategia Chin wobec Polski opiera się na wykorzystaniu naszego niezdecydowania względem Pekinu. My w ostatnich latach generalnie siedzieliśmy okrakiem na barykadzie w kwestii chińskiej. Z jednej strony dostrzegamy pewne elementy ich polityki, pewne zachowania, które są dla nas jednoznacznie niekorzystne, jak cała relacja chińsko-rosyjska w kontekście wojny w Ukrainie. Z drugiej strony, nie mamy woli politycznej, żeby podjąć decyzję – jakkolwiek – która mogłaby zmienić wektor naszej polityki wobec Chin albo stać się kołem zamachowym dla zmiany takiej polityki na szczeblu unijnym.

A kto ma taką wolę w Europie?

– Jeśli jest jakiś polityk lub polityczka, która ją ma, to Ursula von der Leyen. A poprzez nią jej instytucja, czyli Komisja Europejska.

Naprawdę musimy zejść na poziom indywidualnych polityków? Nie możemy rozmawiać o strategiach całych państw europejskich?

– Akurat mówienie o państwach bardziej zaciemnia, niż rozjaśnia ocenę sytuacji, ponieważ w każdym europejskim kraju istnieją różne, rywalizujące ośrodki decyzyjne, grupy lobbystyczne czy po prostu agenci wpływu. Są ludzie, którzy patrzą na Chiny wyłącznie przez pryzmat krótkoterminowych zysków ekonomicznych – tu dobrym przykładem jest lobby sektora motoryzacyjnego w Niemczech. Niemieccy producenci aut nie mają teraz łatwo na rynku chińskim, więc zależy im przede wszystkim na takiej polityce, która pozwoli szybko wyjść z dolka. Tak naprawdę oni są w takim momencie, w którym już nie mogą liczyć na dalszą ekspansję w Chinach, prędzej będą się związać – niemniej wiele osób cały czas ludzi się, że to tylko chwilowe załamanie. Trochę jakby paradygmat „z Chinami trzeba robić interesy” był świętością nie do ruszenia.

W Polsce wiele osób też w to wierzy, nawet jeśli coraz bardziej zauważamy niepokojące elementy takiej relacji, na przykład – dominującą rolę Chin w globalnym łańcuchu dostaw i wykorzystanie chińskich produktów w wojnie w Ukrainie. Zresztą, nie trzeba daleko szukać, spójrz za okno [rozmawiamy w biurze ECFR przy ul. Marszałkowskiej 107 w Warszawie] – jaka gigantyczna reklama BYD. Czyli chińskiego producenta samochodów elektrycznych.

Przespaliśmy pewien moment w najnowszej historii Chin, a przez to – całego świata.



To znaczy?

– Wpuszczając Chiny do Światowej Organizacji Handlu, zgodziliśmy się na współpracę na bardzo nierównych zasadach. Łudziliśmy się, że oni będą grać fair, przestrzegać międzynarodowych norm handlowych – i okazaliśmy się bardzo naiwni. Chiny to świetnie wykorzystały, także dzięki specyfice swojego scentralizowanego systemu politycznego. Nastąpił olbrzymi transfer technologii do nich, co w połączeniu z ich wielkimi państwowymi subsydiami dla konkretnych firm czy całych sektorów gospodarki, interwencjonizmem na rynku wewnętrznym oraz zaplanowaną przez państwo polityką eksportową doprowadziło do sytuacji, w której Chiny produkują całą masę rzeczy innowacyjnych i taniach jednocześnie.

To stało się możliwe nie dlatego, że Chińczycy stworzyli sobie dziki kapitalizm i niewyobrażalną wolnorynkową konkurencję. Wręcz przeciwnie – to skutek centralnie planowanej, bardzo świadomej polityki przemysłowej w wybranych dziedzinach, zidentyfikowanych

Chiny interesowało przejmowanie nowych technologii i całych marek, a Polska ich nie miała. My oczekiwaliśmy inwestycji zagranicznych, co z kolei w ogóle nie interesowało Pekinu



przez chińskie władze jako kluczowe dla osiągnięcia dominacji w światowych łańcuchach dostaw.

Dobra, tylko ja mam wrażenie, że cały świat przespał ten moment. O tym, że wpuszczenie Chin do WTO było błędem, minister Sikorski powiedział nawet niedawno w rozmowie z magazynem „Foreign Affairs”. I czy Polska miała, tak realnie, szanse zrobić cokolwiek innego w kwestii polityki chińskiej – skoro wszyscy dali się nabrać, a teraz wszyscy są od nich uzależnieni?

– Absolutnie nie chcę obwiniać Polski, w ogóle nie o to chodzi w tej dyskusji. Zresztą wiadomo, z perspektywy 15 lat łatwo oceniać i weryfikować błędy. A Polska przez te 15 lat była na etapie nadganiań zaległości w stosunku do Europy Zachodniej, jeśli chodzi o relacje chińsko-europejskie. Bo nasze władze Chin na poziomie państwowym zauważyły dopiero w okolicach 2008 roku.

Czemu wtedy? I czemu tak późno?

– Na Zachodzie trwał wielki kryzys finansowy i polskie elity polityczne i biznesowe zaczęły się zastanawiać, czy nie byłoby dobrze dywersyfikować rynków zbytu. Poza tym to był inny moment historyczny. Nie rządził jeszcze Xi Jinping, wektory polityki gospodarczej i wewnętrznej nie były skierowane tam, gdzie teraz. W 2008 roku spokojnie można było mieć nadzieję, że ustrojowo czy politycznie Chiny pójdą w zupełnie innym kierunku.

Zresztą, kiedy Xi objął władzę, też wszystko wyglądało optymistycznie. W pierwszych latach rządów sporo się interesował naszym regionem, przyjechał nawet do Polski w 2016 roku. Powstawały formaty współpracy dyplomatycznej, 16+1, 17+1, obecnie 14+1 – co oznacza

▲ **Port Qingdao, w prowincji Szantung. Czwarty największy port w Chinach (20.10.2025)**

FOT. CHINA DAILY
VIA REUTERS



Dr Alicja Bachulska

• jest analityczką w warszawskim biurze Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (ECFR). Bada relacje Chin z Unią Europejską, krajami Europy Środkowej i Wschodniej, stosunki chińsko-rosyjskie i wpływy Pekinu za granicą. Współpracowała z Mercator Institute for China Studies, Center for European Policy Analysis, Association for International Affairs i ważnym amerykańskim think tankiem Freedom House. Z Markiem Leonardem i Janką Oertel jest współautorką książki „The Idea of China” opartej na ponad 100 wywiadach z chińskimi intelektualistami, opublikowanej przez ECFR w 2024 roku.

liczbę państw europejskich rozmawiających z Chinami – a inicjatywa Pasa i Szlaku, potocznie nazywana Nowym Jedwabnym Szlakiem, miała dość szerokie poparcie. Po naszej stronie była więc wola polityczna, żeby ją jakąś współpracę budować.

Problem w tym, że Chiny – o czym nie wiedzieliśmy – miały inne interesy i inne cele, bo dla nich najważniejsze było przejmowanie nowych technologii i całych marek rynkowych, a Polska takich technologii i takich marek nie miała. My oczekiwaliśmy inwestycji zagranicznych, co z kolei w ogóle nie interesowało Pekinu. W rezultacie nie spotkaliśmy się z Chińczykami we wspólnym punkcie, choć sytuacja geopolityczna była znacznie łatwiejsza niż teraz.

A teraz Chiny nie są w ogóle zainteresowane współpracą z Europą na warunkach partnerskich. Istnieje między nami ogromna asymetria potencjału. Oni mają potężne moce produkcyjne, subsydiowane sektory gospodarki, przewagę względem wszystkich państw Unii Europejskiej razem wziętych. To sprawia, że już

nie możemy myśleć tymi kategoriami, co 15 lat temu. I jeśli idzie o diagnozy, to już nie myślimy – mówimy o naiwności globalizacji, o błędzie, jakim było wejście Chin do WTO, wchodzenie w spółki z ich producentami i udostępnianie im technologii. Tyle że w ogóle nie jesteśmy w stanie w Europie wyjść poza te frazesy. Już wiemy, że poprzednia strategia była zła, ale nie umiemy znaleźć remedium na nasze problemy.

To wynika z braku woli politycznej?

– Chiny są już wszechobecne, jeśli chodzi o technologie przyszłości. Do tego stopnia, że jakkolwiek próba obrony choćby części naszego europejskiego rynku i przemysłu, czyli na przykład tych branż, w których jeszcze jesteśmy konkurencyjni, jak sektor farmaceutyczny lub lotniczy, wymagałaby skoordynowanej reakcji całej Unii Europejskiej. I tutaj rzeczywiście brakuje woli politycznej, bo mamy w Unii tak wiele problemów jednocześnie i jesteśmy tak podzieleni, że ciężko jest komukolwiek podjąć decyzję i zbudować ujednoliconą politykę. Tym bardziej że Chiny wciąż dla wielu osób są problemem bardzo odległym, zwłaszcza w porównaniu na przykład z wojną w Ukrainie.

W porządku, ale znowu wracam do punktu wyjścia – bo przecież Chiny mają swój udział w tej wojnie. Wszyscy wiemy, że zależność gospodarcza i importowa Moskwy jest tak wielka, że Rosjanie nie zdołaliby kontynuować walki bez pomocy Chin. Czy Unia próbuje w ogóle coś z tym zrobić?

– Na poziomie unijnym były już nakładane pewne sankcje na poszczególne chińskie podmioty, ale miały charakter kosmetyczny, były raczej symboliczne. Chodziło o to, żeby Pekinowi pokazać, że my wiemy, co się dzieje

na froncie. Niestety europejska klasa polityczna, różni decydenci w różnych krajach mają dość subiektywne poczucie, że chińskie zaangażowanie w wojnę w Ukrainie można zepchnąć na boczny tor. Nie uznają tego za kwestię priorytetową. Jestem w stanie nawet zrozumieć, z czego to wynika – mamy naprawdę trudny moment, jesteśmy w momencie ogromnych zmian geopolitycznych, administracje są przebudzowane, a chaos informacyjny jest gigantyczny. Niemniej powinniśmy zdobyć się na wysiłek i jako Europa testować działania, które pokazałyby Chinom, że rozumiemy sytuację na świecie i próbujemy coś realnie w niej zmienić.

Ale co najwyżej pojawiają się jakieś fantazje, jak to amerykańskie gadanie o „odwróconym Nixonie” czy „odwróconym Kissingerze”, czyli o oderwaniu Rosji od Chin. W Polsce to niestety pada na podatny grunt. Chociażby dlatego, że są u nas środowiska, które wracają do życzeniowego spojrzenia na Chiny z czasów PRL, kiedy panowało przekonanie, że to Mao w 1956 roku nacisnął Moskwę i udaremnił wjazd sowieckich czołgów do Warszawy.

Chyba żartujesz.

– Naprawdę słyszę czasami takie argumenty. W debacie publicznej, na przykład w niektórych pravicowych portalach czy na blogach, pojawiają się takie ahistoryczne tezy, które mają zakorzenienie w starszych pokoleniach – a prowadzą do przekonania, że skoro Chiny dawniej rywalizowały z Rosją sowiecką, to nie jako z definicji są dobrym, przyjaznym Polsce graczem, a Xi Jinping będzie skracał lejce Putinowi. Tyle tylko, że wtedy zaczynał się rozłam chińsko-radziecki i Mao miał bardzo konkretny powód, żeby dać prztyczka w nos Moskwie. Dzisiaj ta relacja wygląda zupełnie inaczej.

Jak?

– Na Zachodzie dominuje przekonanie, że porozumienie Putina z Xi to małżeństwo z rozsądku, jakaś forma współpracy korzystnej dla obu stron, ale czysto pragmatycznej. Tymczasem jeśli się wczytać w chińskie źródła albo porozmawiać z chińskimi analitykami, ekspertami – czy po prostu przyjąć chińską perspektywę – to widać od razu, poczynając od dyskursu Chińskiej Partii Komunistycznej, że to dużo, dużo więcej niż tylko pragmatyzm.

Moskwa i Pekin tak samo diagnozują główne zagrożenie egzystencjalne dla ich reżimów, czyli Stany Zjednoczone. W obu ośrodkach niechęć do Stanów Zjednoczonych jest bardzo głęboka. Jest jak klej, który łączy Putina i Xi. Może Donald Trump jest czynnikiem, który zaburza im ten ogląd, ale jeśli nawet, to w kwestiach doraźnych. Bo nie ufają mu ani Putin, ani Xi, więc nie ma co wierzyć, że nagle Trump dogada się z jednym lub z drugim, zaproponuje któremuś jakiś wielki, planetarny deal i szachownica zostanie wywrócona do góry nogami. Możliwe, że w dalszej przyszłości, przy trwałej zmianie układu geopolitycznego, chińsko-rosyjskie relacje nie będą aż takie bliskie, ale krótkoterminowo najwyższa pora pozbyć się jakichkolwiek iluzji. Nie jesteśmy w stanie odciągnąć Chin od Rosji ani Rosji od Chin, to nierealistyczne i bardzo niebezpieczne myślenie. Pocięszamy się, jako Europejczycy, że „coś wymyślimy” – ale nie umiemy wskazać niczego, co moglibyśmy Chinom zaproponować, by porzuciły najbliższego partnera.

Rozumiem perspektywę unijną, ale jest jeszcze NATO i nasze bezpieczeństwo. Czy cokolwiek, co robimy jako Polska w kwestii obronności, jest zauważane w Pekinie? Jesteśmy jednym z najszybciej zbrojących się krajów, jeszcze niedawno była u nas mowa o parasolu nuklearnym. Chin to nie martwi?
– Z chińskiego punktu widzenia rozmowa o konsekwencjach rosyjskiej inwazji na Ukrainę to trochę wrócenie z fusów. W chińskiej debacie, w środowiskach analitycznych są różne kierunki, nie ma konsensusu, czy oni tego chcieli, czy nie. Ale mamy publiczną deklarację Putina i Xi z 4 lutego 2022 roku, czyli



• **Premiera nowej chińskiej marki aut elektrycznych BYD (Build Your Dream) na rynku czeskim, Praga, 1 kwietnia br. Chiński gigant motoryzacyjny ogłosił, że chce sprzedawać za granicą ok. 800 tys. pojazdów rocznie. Na zdj. silnik hybrydowego modelu Seal U DM-i**

FOT. PAP/CTK PHOTO/VIT
SIMANEK

tuż sprzed inwazji – w niej zaś jednoznacznie napisane, że obaj przywódcy przeciwstawiają się ekspansji NATO. A wcześniej Putin wielokrotnie mówił, że sprzeciwia się rozmaitym amerykańskim inicjatywom w regionie indopacyficznym – a Xi krytykował pomysły rozwoju NATO w Europie Środkowo-Wschodniej.

Ale co mu tak to NATO tutaj przeszkadza?

– Z powodu identycznej diagnozy zagrożeń. I Xi, i Putin są przekonani, że Stany Zjednoczone są zafiksowane na ograniczaniu Rosji i Chin. Oraz dlatego, że NATO jest dla Chin najbardziej jaskrawym i konkretnym przykładem amerykańskiej hegemonii.

Na przykładzie Sojuszu łatwo zrozumieć, jak rozumują chińskie elity intelektualne: w ich mniemaniu kraje Europy Środkowo-Wschodniej, jak Polska, nie miały nic do powiedzenia przy wejściu do NATO w latach 90. To nie była nasza wola i nasz pomysł. My nie mieliśmy żadnej sprawczości – według Chin nas do członkostwa w NATO Amerykanie po prostu zmusili.

To już brzmi jak kalka z Michaela Antona, byłego urzędnika Departamentu Stanu, który peroruje o naturalnych, wynikających z geografii strefach wpływów wielkich mocarstw. Czyli między wierszami dla Chin jesteśmy po prostu rosyjską bliską zagranicą i niepotrzebne się tu Amerykanie wypychali? A jak Sikorski w ONZ macha retoryczną szabelką w stronę Rosji, to ich to irytuje?
– Myślę, że Pekin tego machania nawet nie zauważa. Zwłaszcza że pogląd wielu osób na Polskę jest tam mocno krytyczny. Otóż w Chinach jest całkiem spore grono komentatorów i autorów ultranacjonalistów, którzy odgrywają specyficzną rolę w debacie – mówią rzeczy, których dyplomatom, oficjelowi nie wypada po-

wiedzieć. A oni niemal jednogłośnie uznają Polskę za kraj pozbawiony sprawczości i suwerenności w polityce zagranicznej. W ich wypowiedziach masz bardzo wprost zaserwowane stwierdzenie, że Polska jest amerykańskim psem łańcuchowym. My nie możemy niczego zrobić sami, czekamy tak, jak nam Amerykanie każą. Co za tym idzie, jeśli dojdzie do jakiegoś zderzenia, gwałtownej konfrontacji – z góry wiadomo, po której stronie staniemy.

W Chinach nie jesteśmy uznawani za równoważnego partnera, zresztą tak samo, jak wszystkie inne kraje europejskie. Kiedy tam jeżdżę, nieustannie słyszę, że Europa nie ma żadnego przywództwa strategicznego. Zostaliśmy już całkowicie uznani za rynek zbytu, w dodatku podzielony.

Ta konstatacja dla Chińczyków jest jednocześnie dowodem sukcesu strategii partii, która przez ostatnie 30 lat opierała się na paradygmacie „dziel i rządź”. Pekin preferował umowy bilateralne, dawał rozmaite koncesje Francji, Niemcom, Włochom czy Hiszpanii – żeby Unii nigdy nie udało się stworzyć zjednoczonego frontu. Więc jeśli oni mają takiego rodzaju doświadczenia z Europą, po co niby mieliby to zmieniać? Dlaczego nagle mieliby uznać nasze racje za pełnoprawne?

Ale chyba mamy jakieś instrumenty naciśku, prawda? W końcu, jeśli jesteśmy rynkiem zbytu, to możemy go zamknąć? Kiedy Polska zablokowała granicę z Białorusią, kolejki na zwrotnicach kolejowych były aż w Kazachstanie. Ja wiem, że wolumen handlowy koleją wynosi tylko 25 miliardów dolarów, ale ktoś to przecież odczuł.

– Nie wiem, czy Chiny to w ogóle zauważyły. Oczywiście strona polska bardzo chciała, żeby ten ruch został dostrzeżony w Pekinie, rozumiem logikę polityczną takich działań, ale wokół tego wydarzenia powstało bardzo dużo dezinformacji, która przeszacowuje naszą sprawczość. A to sprawia, że zamiast skupić się na rzeczywistych działaniach, które mogłyby w końcu wykrystalizować jakąś strategię polskiej polityki zagranicznej, czy to wobec Indo-Pacyfiku, czy Chin we współpracy z europejskimi partnerami, my zajmujemy się takimi właśnie drobnymi posunięciami taktycznymi. Które dają dużo szumu medialnego i pozwalają lepiej się poczuć, ale bardzo mało znaczą w praktyce.

Nadal nie rozumiem, dlaczego my jesteśmy tacy bierni. Mam wrażenie, choć może to ocena laika, że inne kraje Europy Środkowej i Wschodniej coś próbują w tym zakresie robić. Litwa mocno wspiera Tajwan, narażając się Pekinowi, w czeskiej debacie publicznej też jest sporo sceptycyzmu

wobec Chin. U nas cisza, jakby na szczelbu rządowym nikt się tym nie interesował.

– Z tymi krajami naszej części świata to różnie bywa, bo znajdują się w niej również Węgry i Słowacja, które wobec Chin mają inną politykę, bardziej szkodliwą dla Europy. Robert Fico pojechał do Pekinu na tamtejsze obchody rocznicy zakończenia II wojny światowej. A na Węgrzech Viktor Orbán chciał przyciągnąć ogromne inwestycje w sektorach infrastruktury krytycznej jak energetyka, transport, elektromobilność, nawet w sektorze bankowym. Ale tak, to, o czym mówisz, dowodzi, jak mało ważnym tematem w naszej polityce zagranicznej są Chiny.

Zostaniemy przy tych Węgrach na chwilę, bo to ciekawy przypadek. Orbán bardzo chciał, żeby Chińczycy u niego inwestowali – i niewiele z tego wyszło. To może jednak Pekinowi wcale nie zależy, żeby tu coś osiągnąć, tylko żeby stwarzać pozory?

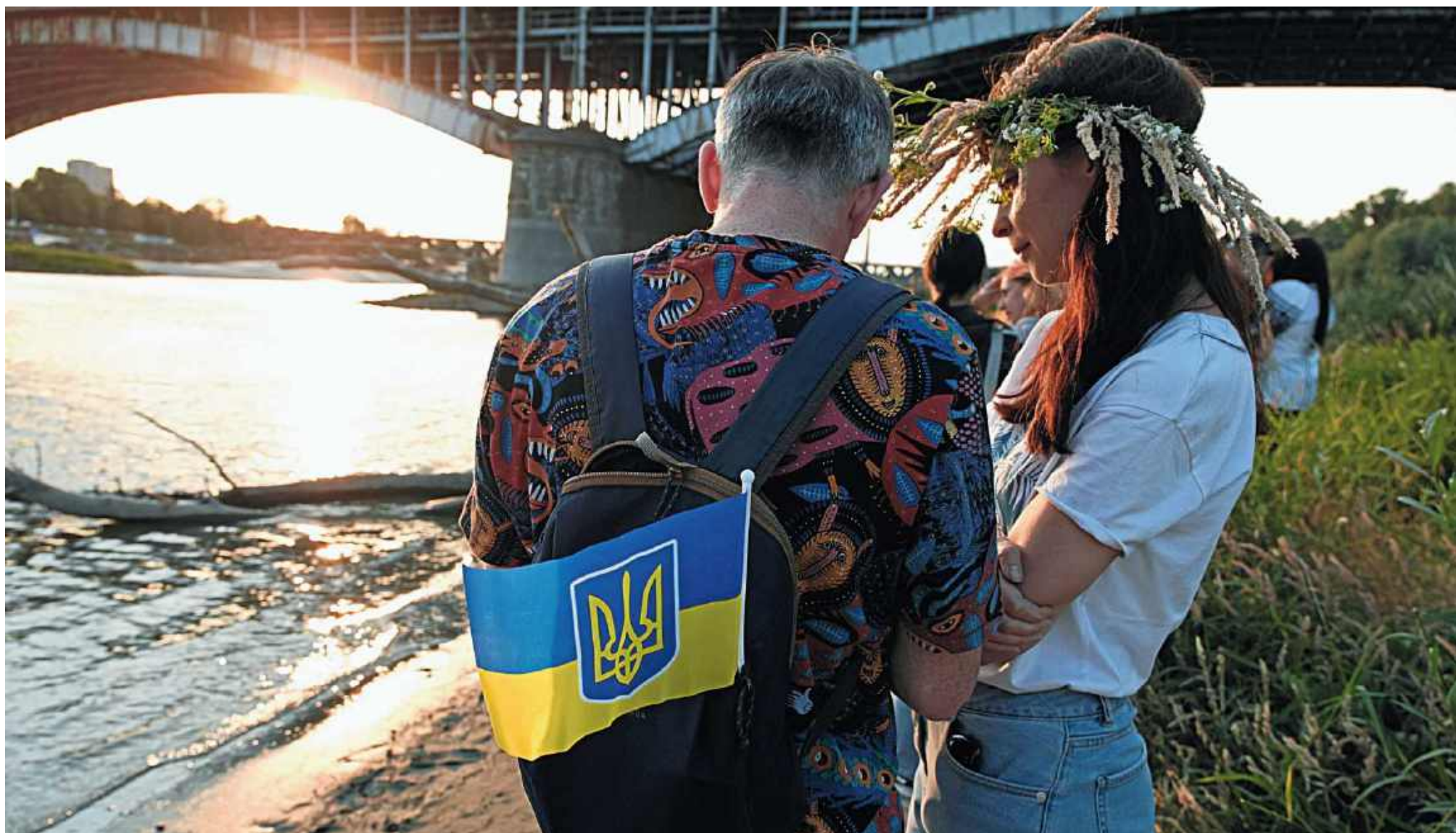
– Ale to jest właśnie to, o czym mówiłam! I polityka unijna, i dwustronne relacje państw członkowskich z Chinami opierają się o wyobrażeniu, czym są Chiny, niekoniecznie o fakty. Natomiast Orbán to specyficzny przypadek, bo wykorzystał narrację o Chinach jako o kraju, do którego należy przyszłość, w celach czysto politycznych. Pokazywał je jako atrakcyjną przeciwwagę do słabnącej Unii Europejskiej. Mało kto sprawdza liczby i dane, więc niewiele osób wie, że Chiny nic Węgrom nie dały, więc stworzono wrażenie, że istnieje alternatywa dla liberalnej Brukseli – a jednocześnie otrzymano lewar przydatny w rozmowach z Unią. Co z kolei prowadzi do jeszcze większej fragmentacji – i jesteśmy w punkcie wyjścia.

Z tego punktu da się w ogóle ruszyć? Jesteśmy w stanie zrobić coś z tą chińską pogardą i coraz bardziej zalewającą nas dotowaną nadprodukcją przemysłową?

– Chciałabym, żeby Europa, w tym Polska, wykorzystała ten moment, aby zdać sobie sprawę z własnych możliwości. Jesteśmy w stanie zbudować politykę opartą o naszą własną interpretację sytuacji na świecie – ale do tego potrzebujemy nowej kalkulacji własnego interesu. Nie powinniśmy teraz patrzeć na Stany i zastanawiać się, czy Trump minie, kto będzie po nim i czy relacje transatlantyckie wrócą do dawnego kształtu.

Musimy uświadomić sobie, że tam doszło do potężnego przewartościowania i Trump jest symptomem większego trendu – nie tylko w nastrojach społecznych, ale w myśleniu Amerykanów o świecie – który się nie odwróci. Jeśli nie znajdziemy własnej odpowiedzi na te zmiany, skazemy się na niebyt gospodarczy i polityczną impotencję. ●

Na Zachodzie dominuje przekonanie, że porozumienie Putina z Xi to małżeństwo z rozsądku, jakaś forma współpracy korzystnej dla obu stron. Tymczasem jeśli się wczytać w chińskie źródła albo porozmawiać z chińskimi analitykami, ekspertami, widać od razu, że to dużo, dużo więcej niż tylko pragmatyzm



• Warszawa, 21.06.2025. Plaża Poniatówka. Ukraińcy świętują nad Wisłą Noc Kupały – czas letniego przesilenia. W tradycji ukraińskiej to jedno z najbarwniejszych i najstarszych świąt słowiańskich – pełne rytuałów związanych ze słońcem, wodą i ogniem. FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

SĄSIAD W KOŃCU SIĘ WKURZY

Robimy wszystko, żeby Ukraińcy w Polsce naprawdę poczuli się banderowcami

Klaus Bachmann

Ta historia zawsze wygląda tak samo. Zaczyna się jak bajka, a kończy jak koszmar.

Na początku udaje się nam – dzięki ogromnym wysiłkom, rozlewowi krwi, wyrzeczeniom i wyjątkowym przywódcom – stworzyć własne państwo narodowe. Obejmuje ono również mniejszości, ale są one pokorne, pokojowo nastawione i dostosowują się do sytuacji. Zatrudniamy ich jako rolników, robotników czy służących i chociaż nie mają żadnej władzy politycznej, są zadowoleni ze swojego losu. Mają swoje tradycje, wiarę, kulturę i dobrze im się powodzi.

Tak jest w każdym razie w przypadku większości ludzi i mogłoby tak pozostać, gdyby nie pojawili się podżegacze. Kierowani i opłacani z zagranicy podburzili naszych grzecznych, pokojowo nastawionych współobywateli przeciwko nam, wmawiając im, że są wyzyskiwani i uciskani, że mają prawo współdecydować i współrządzić, że to, co należy do nas, należy również do nich, i wezmą to sobie siłą, jeśli nie damy im tego dobrowolnie. A przecież każdy

wie, że nie byłoby w stanie samodzielnie się rządzić i wykonywać tych samych odpowiedzialnych zadań, co my. Po prostu nie są jeszcze gotowi. Jeśli nie nauczymy ich tego stopniowo, tylko sobie zaszkodzą. Ale ci podżegacze podburzyli ich do demonstracji, protestów, strajków, wystawiania własnych kandydatów do parlamentu, a nawet gromadzenia broni. A kiedy nasza policja interweniuje, opowiadają, że są represjonowani. Jakby państwo mogło funkcjonować bez prawa i porządku. Oczywiście musimy interweniować, ale tylko przeciwko podżegaczom, ponieważ wiemy, że większość naszych współmieszkańców jest zadowolona ze swojego losu i wdzięczna nam.

Łatwo przewidzieć, jak potoczy się ta historia: przemoc policyjna, opór i kolejni radykalizujący się nasi współmieszkańcy innego wyznania lub pochodzenia.

Taką historię opowiadali Niemcy wypędzeni ze Wschodu aż do lat 90. o swoich relacjach z Polakami w Prusach Wschodnich i Zachodnich. Taką historię opowiadali niemieccy kolonialisci o „swoich Murzynach” w Namibii i Tanzanii, a ja słyszałem ją od Francuzów o dekolonizacji Indochin i Afryki Zachodniej i od białych farmerów w RPA o „naszych czarnych”. Dzisiaj prawie nikt w Niemczech już nie mó-

wi w ten sposób o „naszych Polakach” lub „naszych czarnych”. Są jednak Niemcy, którzy mówią tak o Palestyńczykach, którzy również nie są gotowi na własne państwo i żyli w pokoju z Żydami, dopóki nie zradykalizowali ich terroryści (to współczesna nazwa dla podżegaczy).

Aby uniknąć nieporozumień, należy dodać, że ta paternalistyczna narracja obowiązywała do lat 90. również w RPA, gdzie niewielka mniejszość biała była przekonana, że musi wychowywać dużą większość czarną, która tylko sobie zaszkodzi, jeśli da się podburzyć „komunistycznym terrorystom” działającym z zagranicy. Do lat 50. takie było wyjaśnienie, dlaczego w Rwandzie i Burundi mniejszość Tutsi pod kierunkiem Belgów musiała wychowywać większość Hutu: ponieważ po pierwsze, była predestynowana do bycia rządzoną, a po drugie – inaczej mogła zostać podburzona przez komunistów, a po trzecie – ci, którzy mieli władzę, po prostu potrafili ją lepiej sprawować. A rządzonym, o ile nie byli podburzani, wystarczało skromne życie. To również historia, którą dziesiątki razy słyszałem od Polaków, którzy pod koniec II wojny światowej musieli opuścić Małopolskę Wschodnią i Wołyń, ponieważ zostali brutalnie i zupełnie niespodziewanie zaatakowani, zamordowani i wypędzeni przez

ukraińskich podżegaczy (dziś nazwalibyśmy ich terrorystami). Do tego czasu wszystko było spokojne, a Ukraińcy (niektórzy mówią: „nasi Rusini”) byli zadowoleni ze swojego losu. Aż pojawili się ci radykalni podżegacze i wywrócili ich świat do góry nogami.

I podobnie jak wszędzie indziej na świecie, doświadczenie to zostało zmitologizowane, stało się opowieścią o końcu świata i czymś wyjątkowym, nieporównywalnym z niczym innym, polską *nakbą*, nie-niemieckim wysiedleniem ze Wschodu, rodzajem nie-żydowskiej shoah, katastrofą bez precedensu, o której nie wolno zapomnieć i która zasługuje na uznanie przez inne narody za ludobójstwo.

Nie ma znaczenia, czy te wydarzenia spełniają kryteria prawne ludobójstwa. Termin już dawno stał się synonimem zła jako takiego, matką wszystkich zbrodni, której ofiarom niemal automatycznie przysługuje uznanie, szacunek i współczucie osób postronnych. Umożliwia to również stawianie im żądań, ponieważ nie zapobiegły tej tragedii. To apogeum współczesnego nacjonalistycznego dyskursu ofiar i każdego zbiorowego wyścigu ofiar: ten, kto w sposób przekonujący może się ubiegać o status ofiary ludobójstwa – wygrywa. Niemal automatycznie ma prawo należeć do grona do-

brych i być autorytetem moralnym. Bo kto dziś odważyłby się powiedzieć ofiarom, że nie mają racji lub są złymi ludźmi? To coś, co w języku angielskim nazywa się „the moral highground”, a Agnieszka Osiecka nazwałaby Himalajami moralności.

Od początku ubiegłego wieku opis ten doskonale pasuje do postrzegania Ukrainy w Polsce: obie strony – „Polacy” i „Ukraińcy” – wydają się jednorodnymi grupami, między którymi dominują konflikty i spory, z których jedna grupa ma swoje państwo, a druga status mniejszości, jedni wiedzą, jak rządzić, a drudzy muszą być rządzeni i są z tego zadowoleni, dopóki nie są podburzani przez radykalnych podżegaczy i nie wyrządzają sobie krzywdy. Podżegacze nazywali się wcześniej nacjonalistami, potem, aby odróżnić ich od polskich nacjonalistów, „integralnymi nacjonalistami”, a dziś nazywają się banderowcami, a ich ideologia to „banderyzm”.

Oba terminy – „integralny nacjonalizm” i „banderyzm” – to terminy sztuczne, które udają naukowość, ale nie odgrywają żadnej roli w badaniach nad nacjonalizmem. Służą jako semantyczny dowód na to, że ukraiński nacjonalizm był brutalniejszy, bardziej bezwzględny, radykalniejszy i bardziej krwawy niż polski.

Aby uniknąć nieporozumień: celowo używam terminu „nacjonalizm”. W mediach i debacie politycznej w Polsce przyjęło się nazywać polskich nacjonalistów nie nacjonalistami, lecz „narodowcami”. Natomiast termin „ukraińscy narodowcy” można w Polsce znaleźć tylko przy pomocy lupy – Ukraińcy są nacjonalistami, a nie „narodowcami”. Czasem w publikacjach naukowych pojęcie „narodowcy” w kontekście ukraińskim odnosi się do jednego z odłamów ruchu ukraińskiego w Galicji Wschodniej przed pierwszą wojną światową. Używam terminu „nacjonalisci” nie tylko po to, aby zniwelować tę różnicę, ale także dlatego, że uważam „nacjonalizm” – tak jak ma to miejsce w języku anglosaskim – za neutralne określenie ideologii, która z dzisiejszego punktu widzenia ma swoje dobre i złe strony: nacjonalizm spowodował rozpad Związku Radzieckiego i pomógł wielu narodom w osiągnięciu samostanowienia, ale też rozbił Jugosławię i wywołał tam krwawą wojnę; jest pomocny w tworzeniu państw narodowych dla uciskanych mniejszości, lecz często staje się destrukcyjny, gdy te państwa narodowe uciskają mniejszości na swoim terytorium.

Właściwie wszystko to jest już nieistotne. Polska i Ukraina mają obecnie swoje państwa narodowe i dawno przeszły wewnętrzną transformację z defensywnego nacjonalizmu ofiar na model, w którym bohaterstwo, podboje i wygrane bitwy są ważniejsze niż status zbiorowej ofiary. W Polsce był to proces stopniowy, na Ukrainie nastąpił nagle wraz z wybuchem wojny z Rosją. Od tego czasu polegli ukraińscy żołnierze nie są ofiarami Rosji, ale wojownikami sprawy ukraińskiej.

W Polsce ta ewolucja nie była tak nagła i wymuszona z zewnątrz, lecz powolna i oddolna, a zaczęła się długo przed dojściem PiS do władzy. Wskutek odkrywania lokalnej historii mieszkańcy zaborów zaczęli się interesować nie-polską przeszłością swojej małej ojczyzny: kulturą i wydarzeniami związanymi z dawnymi mieszkańcami żydowskimi, ukraińskimi, rusińskimi, lemkowskimi, białoruskimi, litewskimi, niemieckimi, śląskimi, a tam, gdzie przeszłość była mało etniczna, nawet osadnictwem niemieckim, holenderskim i protestanckim. Liczne zardzewiałe tablice wokół dawnych cmentarzy protestanckich w „obwarzanku warszawskim” o tym świadczą do dziś.

Przy okazji odkryli też los ugrupowań, których członkowie po samorozwiązaniu Armii Krajowej nie złożyli broni, nie skorzystali z amnestii i często zginęli potem w walce z Armią Czerwoną, NKWD i Ludowym Wojskiem Polskim. Przemiłczano ich w PRL, w latach pięćdziesiątych stali się ofiarami komunizmu,

a na początku nowego milenium bohaterami. Włożono ich wszystkich – antykomunistów, zwykłych przestępców, nacjonalistów, przeciwników władzy komunistycznej i ludzi, którzy chcieli się mścić za zbrodnie okupacji sowieckiej albo wziąć odwet na Żydach i mniejszościach narodowych – do jednego worka. Tak powstał mit „żołnierzy wyklętych”.

Ważne tu nie jest, kim byli „naprawdę” – w każdym przypadku było trochę inaczej – ale to, że cały ten zbiór ludzi przekształcono w odbiór publicznym z ofiar w bohaterów. To nie jest przypadek. W tym samym czasie powstały też inne mity: mit Jana Karskiego, śmiałego kuriera, który poinformował Zachód o Zagładzie, czy mit „cudu nad Wisłą”, któremu minister Gliniński chciał postawić pomnik. I Pilsudski, i „cud” mają już swoje muzea, a Karski ma fundację i instytut. W tym samym czasie cywilne ofiary Niemców w powstaniu warszawskim stały się powoli bohaterami o wolność Polski.

Za PiS ta narracja miała podwójne oblicze. Rząd bogoojczyńskiej prawicy wprowadził w kraju kult bohaterów, a na zewnątrz, w stosunku do Ukrainy i Niemiec, kult ofiar. Gdyż bohaterowie nie żądają od innych reparacji ani nie uchwalają ustaw zakazujących kwestionowania ich statusu ofiar, jak w przypadku ustawy o IPN. Bohaterowie z definicji nie są ofiarami, można nawet powiedzieć, że są ich przeciwieństwem.

Polska już nie jest ani krajem emigracyjnym, ani krajem etnicznie lub religijnie jednolitym. Polska jest krajem imigracyjnym. Więc podstawowym dylematem nie jest już to, czy Polska tego chce, ale jakie wyciąga się z tego konsekwencje

Jest jeszcze jeden powód, dla którego pryzmat narodowy w stosunkach polsko-ukraińskich staje się przestarzały: utrudnia on współzycie w Polsce.

Celowo piszę o „pryzmacie narodowym” lub paradygmacie narodowym, ponieważ jest to coś, co łączy nacjonalistów i antynacjonalistów. Obie strony postrzegają narody jako podmioty w stosunkach międzynarodowych, obie żyją bardziej przeszłością niż teraźniejszością, przywiązują ogromną wagę do symboliki i podziеляją praktycznie wszystkie stereotypy, które wymieniliśmy na początku. Jest tylko jedna różnica: nacjonałisci zakładają, że ich naród jest wspaniały, nie wolno go krytykować i racja jest zawsze po jego stronie, podczas gdy antynacjonałisci zakładają, że ich naród jest w błędzie i druga strona ma rację. Dla nich żdziebło we własnym oku jest ważniejsze niż belka w oku Ukraińców.

Artykuł Jarosława Kurskiego i Mirosława Czecha z „Wyborczej” doskonale ilustruje ten sposób myślenia: analizuje polsko-ukraińską przeszłość nie tylko pod kątem tego, co Ukraina zrobiła Polsce i Polacy Ukrainie, ale także tego, co Polska zrobiła Ukrainie, a Polacy Ukrainie. Po prostu odwraca logikę nacjonalistyczną, potwierdzając, że zarówno dla nacjonalistów, jak i antynacjonalistów naród, narodowość i przynależność etniczna są decydującymi pojęciami, na których się opierają. To zabieg całkowicie zrozumiały w kraju, który tak długo był państwem narodowym opartym na zasadach etnicznych. Obywatele polscy są etnicznymi Polakami, jeszcze kilkanaście lat temu mniej niż pięć procent obywateli polskich miało inną niż polską przynależność etniczną, mniejszości religijne były niewielkie, a imigranci byli właśnie

tym – imigrantami, którzy przyjeżdżali do pracy i wyjeżdżali.

To już dawno minęło. W międzyczasie prawie dwa miliony Polaków wyemigrowało i tylko część wróciła, często jednak z zagranicznymi małżonkami i dziećmi. Ponad milion Ukraińców pracuje i mieszka tu na stałe. Do tego dochodzą uchodźcy z Białorusi, studenci z Afryki i Ameryki Łacińskiej, migranci zarobkowi z Bangladeszu, Indii i nieznana liczba obcokrajowców z Unii Europejskiej. Niektórzy mają prawo stałego pobytu, są zameldowani i pojawiają się w statystykach, podczas gdy inni mieszkają tu bez rejestracji, korzystając z prawa do swobodnego osiedlania się w Unii.

Niezależnie od wiarygodności statystyk, jest pewne, że Polska już nie jest ani krajem emigracyjnym, ani krajem etnicznie lub religijnie jednolitym. Polska jest krajem imigracyjnym. Więc podstawowym dylematem nie jest już to, czy Polska tego chce, ale jakie wyciąga się z tego konsekwencje. Jeśli spojrzeć na państwa, które wcześniej przeszły tę transformację, staje się jasne, że może to wywołać problemy, ale też może niektóre problemy rozwiązać.

Kraje imigracyjne mają wybór: mogą stać się wielokulturowe (lub przynajmniej udawać, że są) albo wielonarodowe. Nie ma to nic wspólnego z „multikult”, które w zależności od

ją to, czy Palestyńczycy są narodem, czy tylko „Arabami, którzy mieszkają w Palestynie”. Mówią to Polacy, Izraelczycy i Żydzi, którzy oczywiście narodami są. Natomiast w społeczeństwie indywidualistycznym tożsamość jest częścią sfery prywatnej, w którą państwo nie ingeruje. Nie decyduje, kto do jakiej mniejszości może należeć i czy ona istnieje „naprawdę”.

Obie koncepcje umożliwiają nadużycia. W społeczeństwie wielokulturowym mniejszości mogą się w ten sposób izolować od reszty – tworzyć getta – a jednostki dowolnie zmieniać swoją tożsamość. W Niemczech pokazał to właśnie Sven Liebich, prawicowy ekstremista, który – dostarczając przy okazji argumentu „a nie mówiliśmy” ludziom nazywanym transfobami i konserwatystom – ogłosił się kobietą, aby dostać się do więzienia dla kobiet. Wtedy problem ma państwo. Nadużycia w społeczeństwie wielonarodowym wyglądają inaczej: państwo może odmówić uznania mniejszości i poddać ją przymusowej asymilacji. Wtedy problem mają obywatele.

W państwie wielokulturowym właściwie nie ma już mniejszości, są tylko obywatele i grupy interesów, do których mogą się przyłączyć. To oczywiście ideał: takie społeczeństwo nie istnieje, choć są społeczeństwa bardziej wielokulturowe niż inne (Holandia bardziej niż Niemcy) i społeczeństwa bardziej wielonarodowe niż inne (Polska bardziej niż Ukra-

nastrojów „się nie sprawdziło” albo jest idealizowane. Ma za to wiele wspólnego ze społeczną indywidualizacją.

Spółczesność zindywidualizowana skupiają się na jednostce. Jednostka ma prawa oraz obowiązki i jest dumna z tego, co sama osiągnęła. Społeczeństwa nieindywidualizowane kładą większy nacisk na całość: jednostka ma prawa i obowiązki, ponieważ należy do większej grupy – do Kościoła, wielopokoleniowej rodziny, klanu, związku zawodowego lub partii. Jest dumna z przodków, a to, co sama osiągnęła, nie jest tak ważne. W takim społeczeństwie – nazwijmy je kolektywistycznym – rodzice mogą wymusić nauczanie dzieci w szkole w języku mniejszościowym, ponieważ sami należą do mniejszości, a państwo uznaje tę mniejszość. Aby podać aktualny przykład: w szkołach w Wilamowicach można nauczać języka wilamowskiego, jeśli państwo uznaje Wilamowian za mniejszość, a rodzice tych dzieci należą do niej. W społeczeństwie indywidualistycznym koreańska para mieszkająca w Warszawie może wymusić nauczanie języka wilamowskiego, ponieważ tego pragnie i wystarczająca liczba innych rodziców podziela to pragnienie. Państwo nie definiuje, kim oni są, oni sami to robią. Nikt nie bada, czy Koreańczycy mogą być Wilamowami, czy Koreańczycy są mniejszością narodową w Polsce ani czy język wilamowski jest językiem regionalnym i czy w ogóle istnieje.

Kwestionowanie tożsamości innych grup niż własnej jest typowym zabiegiem nacjonalistycznym: Ukraińcy nie są narodem, bo nie mieli swojej szlachty, są „Rusinami” i „Łemkami”, mawiali Polacy, którzy oczywiście należeli do istniejącego narodu. Dziś można w polskim internecie znaleźć autorów, którzy kwestionu-

ina). Jedne szybko nadają obywatelstwo, tak jak Ukraina w 1991 roku wszystkim przebywającym na jej terytorium bez względu na pochodzenie etniczne i wyznanie. Inne nadają obywatelstwo powoli, sprawdzając, czy dana osoba jest „jednym z nas”, czy ma polskich rodziców i polskie pochodzenie, czy mówi po polsku i „pasuje do nas”.

W każdym kraju toczą się o tym gorące dyskusje, ale niesłusznie, ponieważ efekt jest podobny. Jeśli imigracja jest wystarczająco duża, imigranci po pewnym czasie i tak otrzymują obywatelstwo, ponieważ zawierają małżeństwa z mieszkańcami lub okazuje się, że ich naturalizacja leży w interesie niektórych wpływowych mieszkańców. Obywatelstwo zmniejsza biurokrację dla przedsiębiorstw, które zatrudniają przybyszów, zwiększa szanse polityków i partii, które je – a tym samym prawo wyborcze – przyznają, zmniejsza nakłady administracyjne – nie trzeba ciągle wydawać lub odmawiać nowych zezwoleń na pobyt. Po pewnym czasie wynik jest taki sam, i to niezależnie od tego, czy imigranci przybyli do społeczeństwa wielokulturowego, czy wielonarodowego: stają się obywatelami.

Decydujące znaczenie ma coś innego: sposób, w jaki państwo ich integruje.

Gdy imigranci trafiają do społeczeństwa wielokulturowego, dostosowują się do niego. Świetnym przykładem są Polacy i Niemcy pochodzenia polskiego w Niemczech: doskonale zintegrowani, szanowani współobywatele, którzy znacznie liczniej uczestniczą w niemieckich wyborach niż ich polscy sąsiedzi w wyborach do Sejmu lub prezydenckich. Głosują na niemieckie partie i kandydatów, a jeśli zostaną wy-

brani, reprezentują platformy ideologiczne zamiast narodowych interesów Polski – gdyby zależało to od Polaków w Niemczech, którzy mają prawo głosu w Polsce, Rafał Trzaskowski zostałby wybrany na prezydenta z ponad 70-procentowym poparciem, a w Sejmie znalazłaby się silna frakcja lewicowa. W Bundestagu i parlamentach krajowych zasiadają politycy pochodzenia polskiego, których tylko nazwisko lub CV zdradzają powiązania z Polską. Reprezentują oni wszystkie partie, od Lewicy po AfD. Nie jest więc prawdą, że „Polacy” nie są reprezentowani w niemieckim parlamencie – tyle że nie są reprezentowani jako mniejszość polska, ale jako obywatele niemieccy.

W dość monoetnicznej Polsce po 1989 roku mniejszości miały przywileje wyborcze, a ta niemiecka również przedstawiciele w Sejmie, ponieważ byli wybierani z listy mniejszości, której nie dotyczył próg wyborczy. Byli więc przedstawicielami niemieckich interesów narodowych albo, parafrazując Dmowskiego, uważali, że jako Niemcy mają „obowiązki niemieckie”, co nieustannie prowadziło do konfliktów z polską opinią publiczną, która myślała w tych samych kategoriach – tylko odwrotnie.

Niemiecki nacjonalizm ofiar spotkał się z polskim nacjonalizmem ofiar. Było to nieuniknione. Gdyby wówczas zniesiono przywileje mniejszości, przedstawiciele niemieckiej mniejszości byłiby zmuszeni startować z list innych partii. Wynikiem byłiby politycy mniejszościowi i większościowi chodzący na kompromisy. Dzięki temu nacjonalistyczni Niemcy staliby się szybko obywatelami polskimi pochodzenia niemieckiego. Pod jednym warunkiem: że druga strona, Polacy, akceptowałaby ich w takiej roli. Wtedy na Śląsku Opolskim starliby się obywatele polscy różnego pochodzenia należący do różnych partii, a nie „lista niemiecka” z „listą polską”. Uniknęlibyśmy zderzenia polskiego i niemieckiego nacjonalizmu.

Nikt nie wyciągnął wniosków z tej starej historii. Świadczy o tym sposób traktowania Ukraińców w Polsce.

Przed pełnoskalową rosyjską inwazją na ich ojczyznę Ukraińcy nigdy nie korzystali wskutek rozproszenia z przywileju wyborczego ani nie mieli jednolitej reprezentacji, ich kandydaci często startowali z list różnych polskich partii. Obecnie stary i nowy rząd, rzekomo proukraiński stary i dość antyukraiński nowy prezydent, wtłaczają z wielką siłą ich wszystkich – mniejszość ukraińską w Polsce, migrantów ekonomicznych i uchodźców wojennych z Ukrainy – w narodowy gorset, który niemal nieuchronnie czyni z nich nacjonalistów.

W opinii wielu Polaków Ukraińcy są nacjonalistami od zawsze – więc nic strasznego się przez to nie dzieje. Jednak pogląd ten mówi przede wszystkim coś o tych, którzy go podzielają. Nie mówi nic o Ukraińcach. Oni w ogóle się tu nie liczą. O tym, że w Polsce nie dyskutujemy o Ukraińcach, którzy są w Polsce, lecz jedynie konfabulujemy o naszych wyobrażeniach o nich, świadczą liczne przykłady z ostatnich lat.

Ukraińcy, którzy przyjechali do Polski w latach 90., najczęściej byli, jak niektórzy badacze migracji to nazywają, „bocianami”: przyjeżdżali na krótko, aby szybko wracać. Handlowali, przemycali, pracowali legalnie i na czarno – podobnie jak Polacy przed wejściem Polski do Unii. Potem przyszły kijowski, proeuropejski Majdan, aneksja Krymu i rosyjska okupacja Donbasu, ukraińska waluta straciła na wartości i praca za granicą stała się jeszcze bardziej opłacalna niż przedtem. Przyjeżdżali Ukraińcy ze wschodu, zachodu i południa, prawosławni, greckokatolicy, bezwyznaniowi, rosyjskojęzyczni i ukraińskojęzyczni.

To się dramatycznie zmieniło po inwazji Rosji w 2022 roku. Zajęte części Donbasu, Cherso-nia i Zaporozża to rosyjskojęzyczne tereny, gdzie młodzież nauczyła się co prawda ukraińskiego w szkole, ale na co dzień i z rodzicami mówi po rosyjsku. To również tereny, jakie w polskim dyskursie o Ukrainie zawsze były uważane za

prorosyjskie, „głęboko sowietyzowane” i antyzachodnie. Mimo to nasi politycy, komentatorzy i publicyści blisko cztery lata temu witali ich z otwartymi rękoma, podkreślając, że są to „prawdziwi uchodźcy”, kulturowo bliscy Polakom, co miało oznaczać: nie tacy dziwni, groźni ludzie jak ci „hybrydowi wojownicy Łukaszenki” z Iraku, Etiopii i Afganistanu. Minęły trzy lata i nagle się okazuje, że z tą „bliskością kulturową” to nie było na poważnie. Teraz Ukraińcy są „niewdzięczni”, „bezczelni”, „leniwi”, „roszczeniowi”, nie pracują, a 800 plus i tak dostają, a do tego – o zgrozo – są nacjonalistyczni do tego stopnia, że trzeba ich (jak żąda prezydent Nawrocki) „de-banderyzować”.

Jak wspomniałem, samo to określenie jest absurdem: w międzynarodowym dyskursie naukowym nie ma czegoś takiego jak „banderyzm”, jest natomiast nacjonalizm, w tym ukraiński. Jego główny ideolog (podobny do Romana Dmowskiego) to Dmytro Doncow, nie Stepan Bandera. Ale ważniejsze jest coś innego: olbrzymia większość ukraińskich uchodźców w Polsce pochodzi z terenów, których ludność wspierała podczas drugiej wojny światowej Armię Czerwoną, czerwoną partyzantkę i mniejsze ugrupowania anarchistyczne i która wobec tradycji UPA, OUN, działalności Bandery, Kono-walca i Melnyka była wrogo nastawiona.

Próba „de-banderyzacji” uchodźców z Donbasu jest tak samo absurdałna jak próba de-rusyfikacji Polaków z zaboru pruskiego. Co nie oznacza, że nie będzie miała skutków.

Od czasu badań Stanleya Cohena, angielskiego socjologa i twórcy pojęcia „panika moralna”, wiemy, że stygmatyzowani ludzie, których opinia publiczna rzuca do jednego worka, często przystosowują się do tego. Rozproszeni młodzi ludzie, którzy jeżdżą na motocyklach i noszą długie włosy, sami zaczynają się określić jako „rockers” i „bandits” oraz zachowują się tak, jak opinia publiczna im to przypisuje. Organizują się, izolują od społeczeństwa, tworzą własną subkulturę. Na końcu tej drogi opinia publiczna dostaje to, co – bojąc się właśnie tego – sama stworzyła: agresywnie, roszczeniowe mniejszości z własną subkulturą.

Przenosząc to na Ukraińców w Polsce: wystarczy jeszcze kilka takich prób ich „de-banderyzacji” jak za pomocą niedosłej ustawy o IPN zrównującej „zbrodnie nacjonalistów ukraińskich” z komunistycznymi i nazistowskimi, projektu prezydenta Nawrockiego chcącego odbierać niepracującym ukraińskim rodzicom 800 plus, kilka widowiskowych prób stosowania odpowiedzialności zbiorowej i demonstracyjnych deportacji, w tym nastolatków, jak po (nader banalnych) przepychankach na Stadionie Narodowym podczas (rosyjskojęzycznego!) koncertu Maksa Korzha – i prawosławni, apolityczni, rosyjskojęzyczni Ukraińcy w Polsce faktycznie staną się „banderowcami”, którymi nigdy nie byli, tak jak „rockers” i „bandits” stali się subkulturami młodzieżowymi w Anglii.

Szczegół, który każdemu powinien dać do myślenia: w tej chwili na świecie są tylko dwaj prezydenci, którzy uważają, że Ukraina jest opętana ideologią faszystowską i wymaga oczyszczenia i rozliczenia: to Putin, który chce ją „denazyfikować”, oraz Karol Nawrocki, który chce Ukraińców „de-banderyzować”.

Gdzieś pomiędzy tkwi zagubiony rząd Donalda Tuska, którego polityka migracyjna odbija od ściany do ściany. Wyolbrzymia „presję migracyjną” z Białorusi i Niemiec, ukrócił rekrutację pracowników z kierunków, z których PiS ściągnął pracowników, ale żadnej alternatywy nie przedstawił.

Wina PiS polega nie na tym, że demonizując imigrację, potajemnie ściągnął do Polski setki tysięcy imigrantów. To tylko hipokryzja. Polega na tym, że partia Jarosława Kaczyńskiego robiła to w sposób nielegalny, wysoce korupcyjny i niekontrolowany. Samo wypuszczenie, a wręcz zapraszanie zagranicznych pracowników na starzejący się, wygłodzony polski rynek pracy było konieczne, pożyteczne i korzystne. Wystarczą więc uporządkowanie procedur

i większa kontrola, nie potrzeba ksenofobicznych kampanii, przykręcania śruby i zahamowania imigracji. Gdzie jest rząd, który powie Polakom prawdę, że alternatywa jest prosta? Albo pozwolimy, aby Ukraińcy, Hindusi, Turcy czy Banglijczycy pracowali u nas i opiekowali się – jak paternalistycznie mawiał Mateusz Morawiecki – „naszymi seniorami”, by Polska rozwijała się i wyrównała deficyty finansowe ZUS czy służby zdrowia. Albo decydujemy się żyć w stagnacji, zaprzepaścić poświęcenia ostatnich 40 lat, przestać gonić Europę Zachodnią i umrzeć odpowiednio wcześniej i bez opieki.

Obecnie wygląda na to, że wszystkie partie, które mają szanse rządzić krajem, zawarły cichą ugodę co do tej drugiej opcji. Natomiast w kwestiach geopolitycznie najbardziej wrażliwych mamy rodzaj cichej koalicji PO-PiS: od wielu lat uchwały Sejmu na temat „Wołynia” różnią się tylko tym, że za PiS te wydarzenia były określane „ludobójstwem”, a za PO „czystkami etnicznymi o znamionach ludobójstwa”.

Żeby uniknąć nieporozumień. Sam uważam, że wydarzenia te przy dokładniejszej analizie prawnej spełniają znamiona definicji ludobójstwa (która w 1944 roku jeszcze nie istniała). Ale dyplomacja nie polega na tym, aby rokrocznie konfrontować sojuszników z „prawdą” i domagać się jej uznania.

Pomóż z nami Ukrainie

• Jako dziennikarze „Wyborczej” od początku rosyjskiej inwazji z 2022 r. pomagamy Ukrainie i osobiście zawożymy daleko na wschód pomoc humanitarną. Byliśmy wiele razy w Chersoniu, Mikołajowie, Zaporozu, Słowiańsku, Izjum, Kupiańsku, Charkowie czy Sumach. I będziemy nadal pomagać i jeździć.

• Już wkrótce wyruszymy na kolejną wyprawę. Możesz wspomóc naszą akcję, wpłacając pieniądze w serwisie zrzutka.pl, nasza zbiórka to: „Wyborcza”: Pomoc dla Ukrainy” (adres: zrzutka.pl/n2fj3m, można tam dokonać wpłat elektro-nicznych). Numer konta do przelewów: **39 1750 1312 6883 8774 8180 4583**.

Koalicja PiS i PO trzyma się mocno też w innej sprawie. 80 procent obywateli ukraińskich w Polsce ma pracę, płaci podatki i składki na ZUS. To jeden z najwyższych wskaźników w Europie i powód do dumy: integracja Ukraińców w Polsce działa! Zamiast to obwieścić światu, prezydent i rząd wspólnie pracują nad pozbawieniem pozostałych, niepracujących Ukraińców – z których wielu nie może pracować, bo opiekuje się dziećmi – 800 plus.

• Kiedyś „realizm” był domeną polskiej prawicy: już za czasów Dmowskiego pretendowała do tego, aby „widzieć świat, jaki jest” (a nie jakim chcemy go mieć), i do tego, aby prowadzić politykę zagraniczną, która uwzględnia układ sił bez względu na prawo, moralność i marzenia. Można się spierać, czy antyżydowskie fobie Dmowskiego były „realistyczne” i czy jego „realizm” nie przysporzył Polsce zbędnych wrogów wśród mniejszości narodowych, ale na kontekście międzynarodowym on się znał.

Dziś Polska ma jednego wroga: Rosja, która napadła na Ukrainę z zamiarem przebudowy całego systemu bezpieczeństwa w Europie tak, aby Rosja była otoczona krajami rządzonymi przez prorosyjskie elity, by NATO wycofało się do granic z zimnej wojny, a Amerykanie z Europy.

W takim systemie bezpieczeństwa miejsce Polski jest tam, gdzie obecnie południowej Osetii. Po drugiej stronie tego równania mamy sojuszników: Francja, Wielka Brytania,

Stany Zjednoczone i Niemcy, a na wschodzie Ukraina i kraje bałtyckie. Szkopuł w tym, że z nich wszystkich Polska na zachodzie granicy tylko z Niemcami, a na wschodzie jej największy sąsiad to Ukraina. To ona przez ostatnie lata dbała, aby wojna Rosji z Zachodem toczyła się tylko na jej, czyli ukraińskim, terenie. To nie patos, to realia – spokoju polskich miast bronią baterie ziemia-powietrze i samoloty bojowe obsługiwane przez Ukraińców w Ukrainie.

Oraz przez Niemców w Polsce, a sprzęt w tej obronie pomagający pochodzi w dużej mierze albo z Niemiec bezpośrednio, albo pośrednio, jak czołgi Leopard, które Polska mogła przekazać Ukraińcom, bo sama je w latach dziewięćdziesiątych dostała od Niemców. Jeśli kiedykolwiek Rosja zaatakuje Polskę, posiłki muszą nadejść z Niemiec, obojętnie, czy będą niemieckie, amerykańskie, brytyjskie, czy francuskie. Gdyby Dmowski żył dziś, to wskazałby, że Niemcy pomagają bronić Polski przed Rosją, natomiast Polska Niemiec bronić nie musi.

Bowiem Putin nigdy nie wykazał chęci podporządkowania sobie Niemiec, zmiany ich granic albo dążenia do ustanowienia tam zależnego od Kremla rządu. Nie tylko niemiecka opinia publiczna i duża część elit darzy – nadal – Rosję dużym szacunkiem, tak samo jest w drugą stronę. Putin nie zmierza do podporządkowania sobie Niemiec, on dąży do tego, aby sobie podporządkować Polskę razem z Niemcami albo za zgodą Niemiec. Jak na to reaguje prawica? W jej publikacjach roi się od antyniemieckich fobii, jej publicyści piszą o wojnie, którą Niemcy prowadzą przeciwko Polsce, o niemieckim agencie, którym „Berlin” obsadził fotel premiera w Polsce, że „rząd 13 grudnia” idzie na pasku Niemiec. I o tym, że po ponownej wygranej prawicy trzeba będzie nie tylko de-banderyzować Ukraińców, ale też de-germanizować polskie elity.

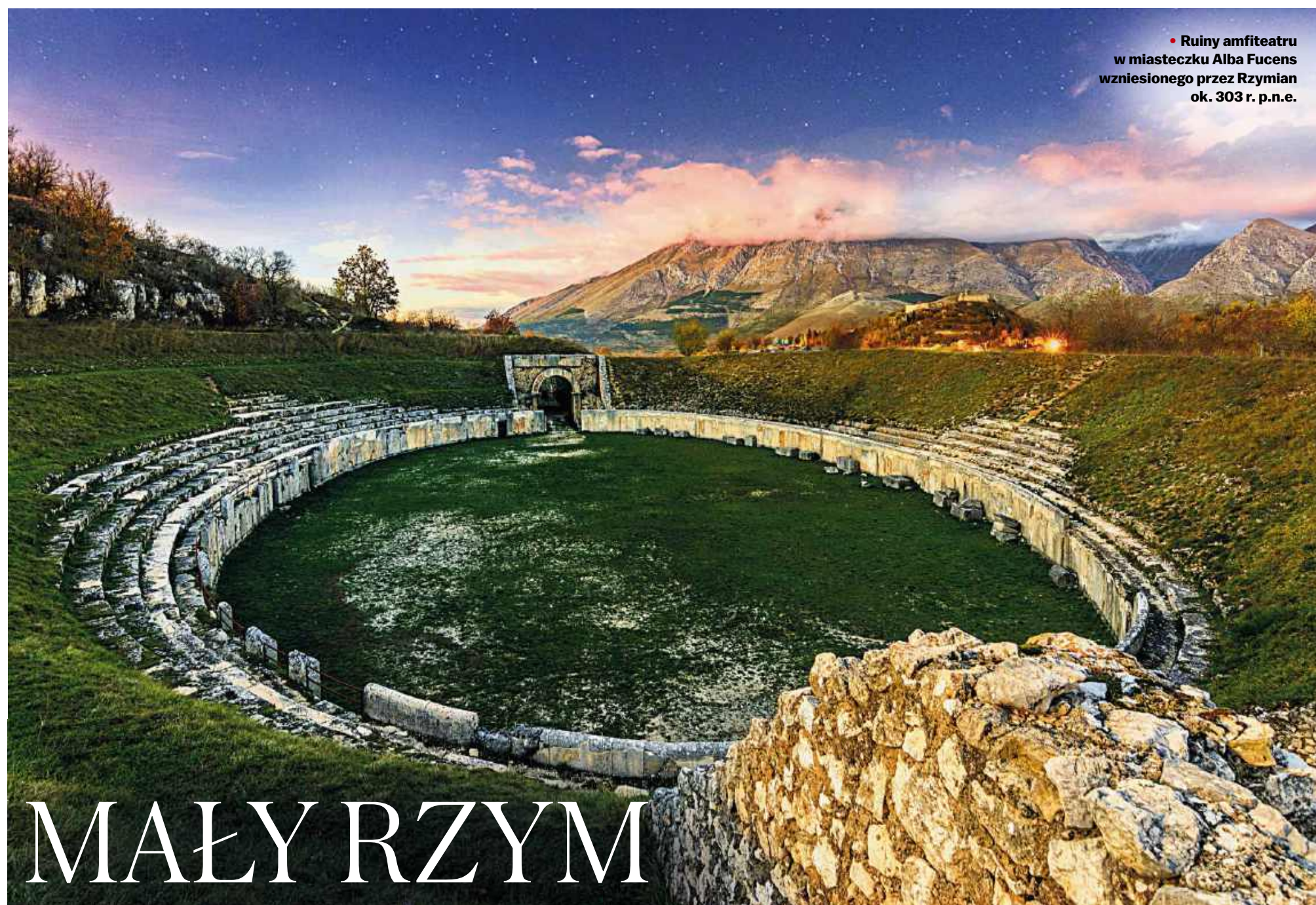
• Prawicowi politycy i komentatorzy chwalą te partie w Europie, które opowiadają się za wycofaniem swojego kraju z Unii i NATO oraz za przerwaniem wsparcia Ukraińców, a jedyny prawicowy członek egzekutywy w Polsce, prezydent Nawrocki, demonstruje maksymalny dystans do Ukrainy.

Pytana przez dziennikarzy o stosunek jej partii do Bundeswehry przewodnicząca AfD Alice Weidel odpowiedziała, że jest za wprowadzeniem powszechnego obowiązku obrony, „ale tylko pod naszymi rządami i podczas pokoju”. Bundeswehra obecnie (na bardzo ciche prośby rządów PiS) strzeże największego portu przerzutowego broni do Ukrainy w Zamościu i Rzeszowie swoimi bateriami Patriot.

Teraz pytanie do polityków PiS i profesora Andrzeja Nowaka w szczególności: Czy będzie to dalej robić pod rządami kanclerz Weidel? Dlaczego Weidel opowiada się za dobrojeniem Bundeswehry, skoro nie chce pomóc Ukrainie, uważa, że „to nie jest nasza wojna”, chce zastąpić NATO europejskim sojuszem i wyjść z Unii? Do czego jej silniejsza Bundeswehra? Czy może to mieć coś wspólnego z gloryfikacją Trzeciej Rzeszy przez polityków AfD i z roszczeniami terytorialnymi, jakie niektórzy z nich mają na wschód od Niemiec (natomiast nie mają na zachodzie)? Sławetna w Polsce (a w Niemczech mało znana) Erika Steinbach, hałaśliwa przewodnicząca Związku Wypędzonych, w 2017 roku opuściła chadecję, by pięć lat później, trzy tygodnie przed inwazją Rosji na Ukrainę, przystąpić do AfD.

Zapatrzeni w przeszłość polscy prawicowcy powinni jeszcze pamiętać ten rodzaj realizmu. W Drugiej Rzeczypospolitej narodowi radykalni ideolodzy dyskutowali o tym, że dojsię Hitlera do władzy może być korzystne dla Polski, bo on też jest antysemitą i pomoże rozwiązać „problem żydowski” w Polsce. Znaczna ich część później próbowała nieudolnie kolaborować, a kończyła żywot w masowych egzekucjach w Puszczy Kampinoskiej w 1940 roku. ●

• Ruiny amfiteatru
w miasteczku Alba Fucens
wzniesionego przez Rzymian
ok. 303 r. p.n.e.



MAŁY RZYM W ABRUZYJSKICH GÓRACH

**„Turystów jest tutaj ciągle jak na lekarstwo.
Można oddychać najczystszy w Włoszech
powietrzem i cieszyć się samotnością.
To niemożliwe na przykład w Dolomitach”.**

Piotr Kępiński*

Lino, znajomy grafik komputerowy, jako nastolatek regularnie jeździł z rodzinnego Avezzano do Alba Fucens, żeby grać w piłkę nożną. W piątki albo w soboty zwoływał kolegów i wielką gromadą na skuterach ruszali przed siebie. Podróż zajmowała im kilkanaście minut. Obie abruzyjskie miejscowości dzieli niespełna 10 kilometrów.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że Alba Fucens to ruiny starożytnego miasteczka wzniesionego przez Rzymian najprawdopodobniej w 303 r. p.n.e. Do dzisiaj można oglądać tutaj mury świątyni, fragmenty rynku i akweduktu, a także fundamenty domów patrycjuszów.

Lino z rozbawieniem wspomina, jak kopał futbolówkę w zachwaszczonym amfiteatrze i na kamiennych uliczkach pamiętających czasy drugiej wojny punickiej. Historię nie zawierał sobie wtedy specjalnie głowy. Interesował go tylko i wyłącznie sport.

Obecnie dzieje miasteczka zna na wyrywki. I ciągle tam wraca choćby na weekendowe spacerunki z rodziną. Mówi: – Turystów jest tutaj ciągle jak na lekarstwo. Można oddychać najczystszy w Włoszech powietrzem i cieszyć się samotnością. To niemożliwe na przykład w Dolomitach.

Ślub północno-południowy

Kilka tygodni temu przyjechałem tutaj na ślub przyjaciółki, która wpadła na pomysł, żeby główną ceremonię zorganizować w ruinach zamku Orsinich (bardzo znanego średnio-wiecznego i renesansowego arystokratycznego rodu, którego członkami było m.in. trzech papieży: Celestyn III, Mikołaj III i Benedykt XIII). Ruiny znajdują się na wzniesieniu, z którego można podziwiać Alba Fucens, a tak-

że okoliczne góry, w tym najwyższy szczyt masywu Sirente-Velino, czyli Monte Velino (2487 metrów nad poziomem morza) – opisany przez Ignazia Silonego w jego słynnej powieści „Fontamara” (wydanej w 1933 roku).

Był początek października. W Abruzji była już wtedy szaro, zimno i deszczowo, prawie tak samo jak w Warszawie czy w Poznaniu. Drzewa gubią liście. I cała okolica pachnie przyjemną jesienną zgnilizną.

Tym razem pogoda była jednak łaskawa dla nowożeńców. Temperatura sięgała 20 stopni, świeciło ostre słońce, zaproszeni goście nie wzięli ze sobą nawet lekkich kurtek.

Ślub był północno-południowy. Pan młody pochodził z północy Italii, z Trydentu, stolicy autonomicznej prowincji Trydent-Górna Adyga. Panna młoda urodziła się zaś i wychowała w miasteczku położonym kilka kilometrów od Alba Fucens (Abruzja przez wielu Włochów uważana jest za region południowy).

Na niewielkim zamkowym terenie zmieściła się ponad setka uczestników

ceremonii. Przypadkowo spotkani miejscowi mówili, że tak wielkiej imprezy nigdy chyba tutaj nie było. W powietrzu wibrował szeleszczący dialekt abruzyjski, bardzo podobny do neapolitańskiego i twardy (nieco niemiecki) zaśpiew, z którym mówią Włosi w Trydencie.

Pierwsze pytanie Włocha

Sluchając tej przeplatanej mowy, miałem wrażenie pełnej włoskiej harmonii. Bo te dwa różniące się od siebie dialekty przekraczały lingwistyczne granice i stawały się jednym językiem. Słowa nakładały się na słowa, które, nawet jeżeli znaczyły coś innego, budowały fundament porozumienia.

Tego dnia w tym północno-południowym tygłu nic nie iskrzyło.

Jak tłumaczy mi Chiara z Trydentu, znająca pana młodego, to wszystko dlatego, że Włosi tak naprawdę lubią szukać wspólnych mianowników. Stereotypy, owszem, istnieją. Niechęć ludzi z Północy do mieszkańców Południa ciągle jest żywa. Niemniej, większość trydenczyków czy mediolańczyków uwielbia poznawać nieznaną im lokalną zwyczajność i nasłuchiwać, jak brzmią dialekty.

Podkreśla: – Jesteśmy ciekawi na przykład, z jakim akcentem mówią ludzie siedzący obok nas w restauracji. Jedno z pierwszych pytań, jakie Włoch zadaje nieznanemu Włochowi, brzmi: Skąd jesteś?

Kiedy impreza na zamku dobiegała końca, goście z Północy zaczęli indagować Abruzj-



• Fragment reliefu z Alba Fucens, I wiek n.e. Ekspozycja Muzeum Archeologicznego Abruzji w Chieti

Abruzja. Starożytne Alba Fucens



MAPA: TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL



▲ **Dekoracje na zewnątrz absydy kościoła Świętego Piotra (San Pietro in Alba). Kościół stoi na wzgórzu San Pietro – jednym z trzech wzgórz otaczających starożytne Alba Fucens**

FOT. DEAGOSTINI/GETTY IMAGES (3), FOT. SHUTTERSTOCK (3)

POZNAJMY
NASZĄ
EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



▲ **Kościół San Pietro wybudowano w XIII w. na fundamentach rzymskiej świątyni Apollina**

◀ **San Pietro to perła architektury abruzyjskiej wypełniona artefaktami z czasów rzymskich**

► **Posąg atlety. Zbiory Muzeum Archeologicznego Abruzzi w Chieti**



czyków o ich kuchnię i historię. Okazało się, że o regionie mieli mgliste pojęcie. Podobnie jak o Alba Fucens, gdzie miała odbyć się dalsza, mniej oficjalna część imprezy.

Abruzja, teren nieznan

Podczas spaceru do Alby zapytałem Antonellę, archeologkę z Rzymu, skąd ta niewiedza. Starożytne miasteczko jest przecież przepiękne, dobrze odrestaurowane, obfotografowane, opisane w podręcznikach historii i przewodnikach.

Odpowiedziała, że sprawa jest prosta: – Po pierwsze, Abruzja nawet dla Włochów ciągle jest terenem nieznanym. Po drugie, kraj od Alp po Sycylię nasycany jest stanowiskami archeologicznymi. Oznacza to, że mniejsze i mniej znane osady bywają zdominowane przez te, o których pisze świat. Fantastyczne Tivoli cierpi z powodu Rzymu. A losy Alba Fucens dzielą inne, nie mniej interesujące – Aquino, Palestrina czy Gabii.

Alba faktycznie jest mikroskopijna. Liczy zaledwie kilkanaście uliczek. Całą osadę można obejść w pół godziny. Warto jednak spędzić trochę więcej czasu w okolicach i odwiedzić także kościół Świętego Piotra (San Pietro in Alba) wybudowany w XIII wieku na fundamentach świątyni Apolla. To perła architektury abruzyjskiej wypełniona artefaktami z czasów rzymskich.

Więzienie Perseusza

Przechadzka do Alba Fucens trochę się przeciągnęła. Górę zamkową od miasteczka dzieli prawie sześć kilometrów, zatem godzina zeszła. W momencie, w którym zza drzew i krzewów wyłoniło się położone w niewielkiej dolinie starożytne miasteczko, jeden z gości krzyknął: To przecież małe Pompeje.

Nie do końca. Alba nie została zalana lawą z wulkanu. Osady w ogóle nie dotknął żaden

wielki kataklizm. Położona trochę na uboczu była co prawda świadkiem kilku bitew, ale jej rola polityczna i społeczna nie była tak duża jak Pompejów.

W przeciwieństwie do miasta zniszczonego przez Wezuwiusza w momencie największego rozkwitu mieszkało tutaj około sześciu tysięcy ludzi. W Pompejach w roku 79 p.n.e., kiedy doszło do erupcji wulkanu, według różnych szacunków – od 20 do 30 tysięcy.

Pompeje są też znacznie starsze niż Alba Fucens – powstały już w VIII wieku p.n.e.

Alba początkowo była kolonią rzymską. Podczas drugiej wojny punickiej (218-201 p.n.e.) aktywnie wspierała Rzym i wysłała na pomoc stolicy broniącej się przed napaścią Hannibala aż dwa tysiące wojowników. Po czym, jak podają źródła, współpracy odmówiła prawdopodobnie dlatego, że nie miała już odpowiednich środków finansowych, nie chciała się też pozbywać własnych żołnierzy.

W ten sposób władcy miasta przypieczętowali jego powolny koniec. Rzym, zamiast przysyłać pieniądze i wspierać lokalnych szefów, wysyłał już tylko więźniów politycznych i państwowych. Jednym z najsłynniejszych osadzonych był Perseusz Antygonida, zbuntowany król Macedonii (z II wieku p.n.e.), który przegrał bitwę pod Pydną. Zdetronizowanego władcę Rzymianie zesłali do Alby, gdzie koniec końców zmarł. Jego domniemany grobowiec można dzisiaj oglądać na rogatkach miasteczka Magliano de'Marsi położonego osiem kilometrów od Alby.

Belgowie na szkoleniu w Alba

Z czasem, jak wiele miast antycznych, także Alba Fucens zaczęła zarastać trawą i mchem. Nikt się nią nie interesował. Do momentu, kiedy w roku 1830 irlandzki pisarz, malarz i archeolog amator Edward

Dodwell wykopał tutaj starożytny kanał ściekowy, co skrupulatnie odnotował w swoim pamiętniku. Jego odkrycie dało impuls innym poszukiwaczom, którzy na początku XX wieku częściowo odkryli fragmenty ulic, świątyń i placów. Niestety, w roku 1915 wszystkie odrestaurowane części osady zostały zniszczone przez wielkie trzęsienie ziemi, podczas którego zginęło ponad 30 tysięcy mieszkańców Abruzzi.

Dopiero cztery lata po drugiej wojnie światowej Alba Fucens została pieczołowicie odtworzona (i opisana) przez naukowców z Katolickiego Uniwersytetu w Leuven, w Belgii. Pracami kierował znany historyk i prawnik Fernand De Visscher.

Dlaczego to Belgowie, a nie Włosi zajęli się pracami wykopaliskowymi? Według Antonelli Italia nigdy nie była w stanie zapanować nad skarbami ukrytymi w ziemi, dlatego władze już od końca XIX wieku chętnie zezwalały obcokrajowcom na poszukiwania. – W ten sposób oszczędzaliśmy własne środki a Anglicy, Francuzi czy Belgowie zyskiwali doświadczenie w przeprowadzaniu takich eksploracji. Każdy na tym zyskiwał.

Trening w amfiteatrze za 4 złote

W amfiteatrze Antonella pokazała mi marmurową tablicę, która upamiętnia pracę Fernanda De Visschera.

Lino zna ją doskonale. Bardzo często służyła mu bowiem za cel w „kopaniu precyzyjnym”. Potrafi nawet z pamięci wyrecytować wyryte na niej zdanie. Czytał i kopał. Kopał i czytał. Aż zapamiętał. „Siano qui ricordati il nome e l'opera di Fernand De Visscher...” [Niech będą zapamiętane imię i dzieło Fernanda De Visschera...].

Opowiada: – Amfiteatr był rajem dla futbolisty amatora. Można było tutaj zarówno treno-

wać, jak i rozgrywać mecze. Wtedy [w latach 80. i 90.] teren osady nie był jeszcze otoczony kamiennym murkiem jak teraz. Ale i tak o zgodę na wejście trzeba było pytać dozorcę, który był jednocześnie właścicielem baru w uliczce przylegającej do wykopalisk. Nazywaliśmy go Semplice (Prosty). Za dwa tysiące lirów [czyli za równowartość czterech złotych] pozwalał nam wchodzić do Alby. A jak go dobrze poprosiliśmy, nie robił problemów i otwierał bramę do amfiteatru. A tam mogliśmy robić, co tylko chcieliśmy. Bo po prawdzie oprócz grania piliśmy też piwo i paliliśmy papierosy. To było nie-samowite uczucie, bo na tym całym sporym przeciwie terenie byliśmy zupełnie sami. Nikt nas nie upominał, że jesteśmy za głośno. Nikt nie kazał wracać do odrabiania lekcji. A Semplice prosił tylko o jedno, żeby oddać mu klucze przed zamknięciem baru. Tyle tylko, że bar zamykał, kiedy chciał. Ale dziwnym trafem intuicyjnie wyczuwaliśmy ten czas.

Lino i znajomi jak trochę podrośli zaczęli na terenie amfiteatru organizować prywatne imprezy z muzyką i jedzeniem. Przywozili wtedy do Alby specjalne rożna nazywane, zależnie od regionu Abruzji albo *furnacelle* albo *canaline*, i piekły na nich ulubione w regionie *arrosticini*, czyli szaszłyki z drobno pokrojonego mięsa baraniego (lub jagnięcego) nadziewanego na szpikulce z drewna lub metalu. Regularnie przyjeżdżali tutaj też na *pasquette*, czyli Poniedziałek Wielkanocny, który Włosi świętują z reguły na piknikach poza miastami – w górach, parkach, nad morzem.

Tradycyjne imprezowanie w ruinach

Claudia, nauczycielka mieszkająca w Magliano de'Marsi (jej dziadek pomagał belgijskim archeologom wykopywać z ziemi fragmenty rzeźb, murów i domowych sprzętów), mówi, że słyszała o tym, że chłopcy z okolic zrobili kiedyś z amfiteatru boisko sportowe i pijalnię piwa. Czy w ich zachowaniu widziała coś niewłaściwego? – Absolutnie! Dzięki nim te zabytki ożywały.

Podobnie myśli Antonella. – Dla pokolenia naszych pradziadków starożytne obeliski, roztrzaskane kawałki marmuru leżące gdzieś na łące albo porzucone fragmenty rzeźb były tak naturalne i banalne jak drzewa i kwiaty. Stanowiły część krajobrazu. Dlatego nikogo we Włoszech nie dziwi fakt, że ktoś jeszcze na początku XX wieku bawił się w chowanego na Forum Romanum. Co więcej, przecież jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nastolatki grały w piłkę nożną na placu Świętego Piotra w Rzymie.

A na prowincji to już każdy robił, co chciał. O ile niczego nie demolował, miał społeczne przyzwolenie. Grodzenie terenów archeologicznych jest w Italii zjawiskiem stosunkowo nowym. Płoty, mury i opłaty pojawiły się wtedy, kiedy wybuchła masowa turystyka, w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Inwestycja w zabytki z nadzieją

Chęć zarabiania pieniędzy na turystach z całego świata wymagała jednak od miast i gmin częstszej konserwacji zabytków, nakładów na dodatkowe badania naukowe, a także na budowę lepszej infrastruktury dojazdowej czy gastronomicznej. Żeby sprostać tym wymaganiom, w wielu miastach włoskich w starożytnych zabytkach (między innymi w Termach Karakalli w Rzymie czy w Teatrze Antycznym w Taorminie) zaczęto organizować masowe koncerty ku zadowoleniu niektórych i wściekłości wielu miłośników architektury i sztuki.

Obecnie w Rzymie trwają wielkie spory związane z pomysłem Simone Quilicio, nowego dyrektora Parku Archeologicznego Koloseum, który w amfiteatrze Flawiuszów chce organizować regularne koncerty rockowe „z wyższej półki”, żeby zabytek „ożył” i znów stał się częścią miasta. Zapraszając Stinga, Petera Gabriela czy Paula McCartneya, Quilici chciałby też przyciągnąć do stolicy jeszcze więcej turystów. Żeby tak się stało, miasto musiałoby sporo zainwestować, chociażby w budo-



• W 1915 r. kościół św. Piotra zniszczyło trzęsienie ziemi. W latach 1955-1957 został odbudowany. Wykorzystano oryginalne fragmenty i przywrócono mu romański charakter

wę nowej sceny, w naprawę dróg i unowocześnienie komunikacji.

Kiedy mówię o sprawie Achillemu, kierowcy, który kursuje codziennie między lotniskiem Fiumicino a centrum stolicy, śmieje się: „Ja na tym trochę zarobię, ale czy miasto będzie z tego coś miało? Wątpię. Turyści przyjadą, ale do brych dróg nie doczekamy się nigdy”.

Schwarzenegger na arenie

W Abruzji drogi natomiast są bardzo dobre. Uważa się je za najlepsze w Italii. Dojazd do Alby nie stanowi problemu. Szosa wiodąca do amfiteatru jest co prawda wąska, ale wygodna i równa jak stół.

Zapewne także z tego powodu od czasu do czasu organizuje się tutaj spore koncerty. Oczywiście, na scenie nie pojawiają się gwiazdy światowego formatu, ale ogólnowołoskiego już tak – jak chociażby Max Gazzè, autor takich przebojów jak „La vita com'è”, „Sotto casa” czy „Vento d'estate”.

Niemniej raz na abruzyjskiej arenie zagłosili celebryci znani na całym świecie. Było to w roku 1984. Wtedy to Dino de Laurentis, producent filmu fantasy „Czerwona Sonja”, wpadł na pomysł, żeby część plenerowych zdjęć nakręcić w Alba Fucens. Niektórzy z mieszkańców pamiętają do dzisiaj, że po raz pierwszy

dokładnie ogrodzono wtedy cały teren starożytnej osady, a sam amfiteatr nieco zmodyfikowano. Nad głównym wejściem przez kilkanaście dni dominowała wielka figura wojownika z kartonu i gipsu z dwoma skrzyżowanymi mieczami. Mury otaczające arenę zakryto czarnymi ekranami.

Na planie pojawili się Arnold Schwarzenegger i Brigitte Nielsen. Nie wiadomo, jak długo byli w Abruzji. Niektórzy świadkowie twierdzą, że tylko parę dni i ani razu nie wyprawili się do pobliskiego Avezzano – na zdjęcia dojeżdżali z L'Aquila (stolicy Abruzji), gdzie są lepsze hotele. Inni przekonują, że spędzili tutaj aż kilka tygodni, a Schwarzenegger nie dość, że był w Avezzano, to w jednej z restauracji raczył się genzianą, lokalnym mocnym likierem produkowanym z goryczki.

Do dzisiaj po Abruzji krążą żarty, że po pierwszym dniu na planie popularny aktor wypił piętnaście litrów tego 30-procentowego trunku, po czym nago wspinał się na okoliczne szczyty.

Mustang ze złomowiska

Lino mi mówi, że niedaleko amfiteatru przez dziesięciolecia działało złomowisko samochodów, na które często zaglądał. Mógł tam podziwiać rzadkie modele aut, w tym mustanga bossa 302. Większość maszyn była ze-psuta, skorodowana, ale mustang wydawał się na chodzie.

Pewnego razu jakiś znajomy powiedział mu, że złomowisko stało się niebezpieczne, bo właściciel powędrował do więzienia za malwersacje. Lino zdecydował więc, że odpali mustanga i przejedzie się po okolicy. Miał pecha. Akurat tego dnia, kiedy majstrował przy aucie, zza krat wrócił właściciel, który z wrzaskiem zaczął go gonić.

– I wiem, gdzie uciekłem? – pyta mnie Lino.

– Do starego dobrego amfiteatru, który znałem jak własną kieszeń. Schowałem się za sklepieniem drugiego głównego wejścia na arenę, od strony doliny. Za kamiennym łukiem jest mały załom, w którym przykucnąłem. To zresztą niesamowite miejsce. Kiedy graliśmy z chłopakami w piłkę, a było to z reguły po południu, chodziliśmy tam, żeby oglądać zachody słońca. Obserwowaliśmy całą dolinę, którą dawniej wypełniało jezioro Fucino [do roku 1878, w którym zostało osuszone; było to trzecie największe jezioro Włoch po jeziorach Garda i Maggiore]. Mieliśmy wrażenie, że z tego miejsca widać cały świat. Nasz świat.

Testament Makrona

Przy tym wejściu wszyscy goście weselni robili sobie zdjęcia. I żartowali, że Kwintus Sutoriusz Makron (znany rzymski polityk i żołnierz żyjący w latach 21-38 p.n.e.), który zainicjował budowę amfiteatru, nie zdawał sobie sprawy, ile

frajdy sprawił następnym pokoleniom żyjącym w tych okolicach.

Bo na budowę areny wybrał miejsce wprost idealne, harmonijne.

Makron musiał lubić piękną architekturę, rozmach i wystawne życie. Bo chociaż urodził w Alba Fucens, prawdziwą karierę zrobił w Rzymie. Nie był prowincjonalnym politykiem. Od najmłodszych lat uczestniczył w wielkiej polityce. Przyjaźnił się z cesarzem Tyberiuszem i Kaligulą. Był prefektem gwardii pretoriańskiej. Odegrał ważną rolę w zamordowaniu Sejana, zaufanego cesarza Tyberiusza, który przygotowywał zamach stanu.

Ukoronowaniem kariery Makrona, już za czasów Kaliguli, miało być ważne stanowisko prefekta Egiptu. Niestety, cesarz, bojąc się jego rosnących wpływów, polecił, by ten popełnił samobójstwo wraz z żoną i dziećmi. Decyzja Klaudiusza była okrutna, ale Makron wykonał rozkaz. Dzięki temu (zgodnie z prawem rzymskim) reszta jego rodziny mogła żyć w swoich pałacach i majątkach, które inaczej zostałyby skonfiskowane, a Kaligula musiałby zarządzić egzekucję.

Makron w testamentie polecił wybudować amfiteatr w Alba Fucens. I jego prośba została spełniona. Prawdopodobnie kilkadziesiąt lat po śmierci.

Domowe tortellini z ricottą

Z amfiteatru i miasteczka nie widać autostrady, która przebiega bardzo blisko. To jedna z piękniejszych włoskich tras, prowadzi z Rzymu do Pescary. Kierowcy nie stoją tutaj w korkach. Zatem do Alba Fucens nie dobiega nawet szum silników. Cisza, jaka panuje w amfiteatrze i w przylegającym do niego miasteczku, aż dzwięczy w uszach.

Po skończonej imprezie chciałem pójść do baru, którego właścicielem był Semplice, opiekun amfiteatru. Okazało się jednak, że już od dawna nie działa. Został zamieniony w bed & breakfast. Dawny właściciel jest na emeryturze. A jedyna niewielka restauracja znajduje się w rynku, na przeciwko kościoła. Kuchnia, jaką oferuje, jest w stu procentach abruzyjska, a więc można zjeść *agnello*, czyli jagnięcinę, *arrosticini*, czy też miejscową *salsiccià* (kielbasę).

Lino powiedział mi, że warto spróbować też *tortelloni* z *ricottą* w sosie pomidorowym. Zamówiłem. I nie pożałowałem. Smakowało jak w domu. Może nawet lepiej.

Przed odjazdem do Rzymu rozmawiałem jeszcze z Claudią. Powiedziałem jej, że przed chwilą usłyszałem, jak ktoś nazwał Alba Fucens Pompejami. Uśmiechnęła się tylko i opowiedziała, jak przed wieloma laty przywiozła tutaj swoją koleżankę z Barcelony, obecnie dosyć znaną historyczkę. Przez godzinę przybliżała jej dzieje regionu i miasteczka. Kończąc, szukała, głośno myśląc, nazwy miasta, z którym mogłaby Albę porównać, ale bez powodzenia. Wtedy Hiszpanka bez zastanowienia rzuciła krótko: „Przecież to mały Rzym zagubiony wśród gór”.

– Trafiła w dziesiątkę – mówi Claudia. – Nigdy wcześniej na to nie wpadłam. Dla mnie Alba była tylko Albą. Po tej wizycie została, chyba już na zawsze, „małym Rzymem”. ●

• W cyklu **Poznajmy naszą Europę** opublikowaliśmy już cztery opowieści niemieckie i pięć włoskich. Wszystkie teksty – na **Wyborcza.pl**.

Za tydzień przeniesiemy się do Finlandii



***Piotr Kępiński**

• poeta, krytyk literacki, eseista, autor wielu książek o Włoszech. Ostatnio opublikował „Neapol słodki jak sól”. Mieszka w Rzymie.

Niechęć ludzi z Północy do mieszkańców Południa ciągle jest żywa. Niemniej, większość trydentyków czy mediolańczyków uwielbia poznawać nieznane im lokalne zwyczaje i nasłuchiwać, jak brzmią dialekty

Podcast Poznajmy naszą Europę

• Alicja Dąbrowska wieloletnia redaktorka działu zagranicznego i podróżniczego w podcaście **Poznajmy naszą Europę** odwiedza ze swoimi gośćmi wszystkie kraje Unii Europejskiej. Przygląda się kulturze i obyczajom stroniąc od polityki i utartych opinii.

Znajdziecie go na **Wyborcza.pl/podcast** i **platformach streamingowych**.

Nowy odcinek to rozmowa z Piotrem Kępińskim o wyjątkowości Neapolu i urokach Abruzji

EUROPA STAWIA NA PROGRAMY BOOKSTARTOWE

Polska realizuje największy z nich

Bezpłatne wyprawki czytelnicze, wydarzenia okołoksiążkowe organizowane w całym kraju, szkolenia i kampania społeczna. Liczby robią wrażenie, a jeszcze ciekawsze są wskaźniki jakościowe.

Czesi mają „S knížkou do života” („W życie z książką”), Niemcy „Lesestart” („Start czytania”), a Brytyjczycy „Bookstart” („Książkowy start”). My mamy program „Mała książka – wielki człowiek”, rozwijany od 2017 roku przez Instytut Książki. Program, który działa.

Bookstart, czyli dać książkę niemowlakowi

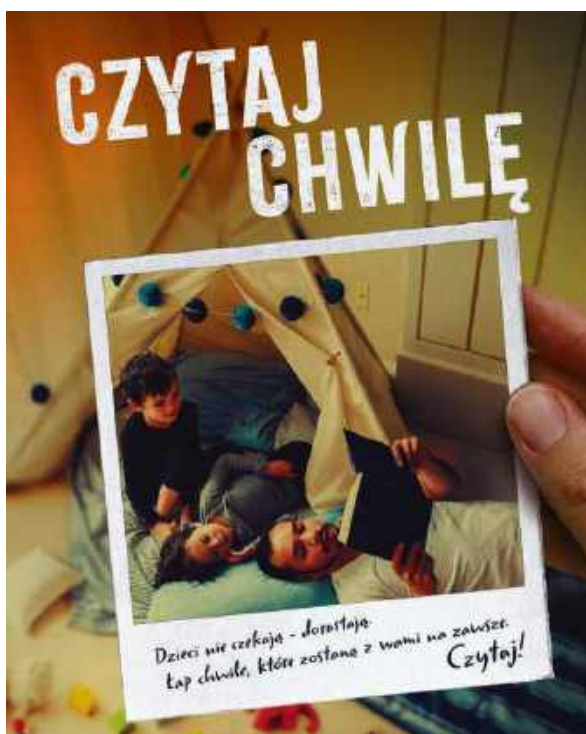
Pierwszy europejski program bookstartowy, czyli promocję czytelnictwa wśród najmłodszych – bo już niemowląt – oraz ich rodziców i opiekunów, uruchomili w 1992 roku Anglicy. Twórcy „Bookstartu”, profesorka Wendy Cooling i organizacja proczytelnicza BookTrust, postanowili zapewnić dzieciom książki już na oddziałach położniczych. Chcieli także zachęcić rodziców do czytania swoim pociechom codziennie od dnia narodzin. Organizatorzy przedsięwzięcia planowali sprawdzić, czy podarowanie książki rodzicom noworodka może wpłynąć na jego rozwój edukacyjny i językowy.

Okazało się, że tak. W ciągu trzyletniego pilotażu dzieci z 300 objętych programem rodzin w Birmingham lepiej rozwinęły mowę i koncentrację językową niż ich nieobjęci programem rówieśnicy, liczba kart bibliotecznych założonych przez rodziny z kilkulatkami wzrosła trzykrotnie, a 91 proc. rodziców zadeklarowało, że zaczęło regularnie czytać książki swoim dzieciom. Program przyczynił się też do rozwoju proczytelniczych inicjatyw w ponad 30 krajach świata.

Czytam, ale czy rozumiem?

Czemu to służy? Przede wszystkim chodzi o rozwój dziecka. Czytanie od kołyski to nie tylko marzenie wydawców, ale też – co potwierdzają liczne badania – najlepsza inwestycja w przyszłość. Dlatego zwiększenie dostępu do książek postrzegane jest dziś jako sposób na wyrównywanie szans i działanie na rzecz sprawiedliwości społecznej.

Innym ważnym powodem, dla którego europejskie kraje inwestują we wczesną promocję czytelnictwa miliony euro, jest... powrót analfabetyzmu. Nie w sensie dosłownym, szacuje się bowiem, że osoby nieumiejące pisać i czytać stanowią mniej niż 1 proc. Europejczyków. Jednak wysoka alfabetyzacja nie idzie w parze z praktyczną kompetencją. Mówiąc wprost: wiele osób nie wie, co czyta. To tzw. analfabetyzm funkcjonalny: człowiek teoretycznie czyta, ale nie rozumie sensu tekstu, nie potrafi wyciągnąć z niego wniosków czy ocenić jego wiarygodności. Czytanie i pisanie zaliczają się do trzech podstawowych umiejętności radzenia sobie we współczesnym świecie i są mierzone według skali PIAAC (ang. *Programme for International Assessment of Adult Competencies*, Międzynarodowe Badanie Umiejętności Dorosłych). Z badań wynika, że 26 proc. dorosłych w Europie czyta na poziomie 1 lub niższym, czyli rozumie tylko bardzo proste zdania (w Polsce,



Plakat kampanii społecznej realizowanej w ramach programu „Mała książka – wielki człowiek”.

Hiszpanii, Słowacji czy Włoszech to przeszło 30 proc.), zaś spory odsetek piętnastolatków nie rozumie dłuższych tekstów i nie potrafi odróżnić faktów od opinii.

Trzy etapy, trzy razy więcej książek

Wróćmy do Polski. Choć ze swoim programem wystartowaliśmy dużo później niż Wielka Brytania czy Niemcy, dziś nie sposób nie zauważyć naszych działań.

*Program Instytutu Książki
„Mała książka – wielki człowiek”
jest obecnie największym
programem bookstartowym
w Europie, a jego siła tkwi
w ciągłości i konsekwencji działań*

Program obejmuje cały kraj, jest rozpisany na lata i dokładnie przemyślany. Instytut od lat wyposaża dzieci i ich opiekunów w bezpłatne pakiety z książką, przekazywane w 90 proc. szpitali z oddziałami położniczymi, w 91 proc. bibliotek publicznych oraz we wszystkich szkołach podstawowych w kraju. Wyprawki corocznie trafiają do ok. 200 tys. niemowlaków, 150 tys. przedszkolaków i 450 tys. pierwszoklasistów, czyli w sumie do 800 tys. dzieci. Od początku funkcjonowania programu dzieciom przekazano już ponad 6 mln książek.

Program dzieli się na trzy etapy. Pierwszy skierowany jest do rodziców lub opiekunów noworodków, drugi do przedszkolaków, a trzeci do pierwszoklasistów. To kon-

sekwentna polityka promocji i umacniania czytelnictwa: od czytania maluszkowi w kołysce przez codzienną lekturę z przedszkolakiem i regularne odwiedzanie bibliotek po pełną frajdę naukę samodzielnego składania liter i skojarzenie czytania z przyjemnością.

Książki tworzą znakomici autorzy i ilustratorzy. Tegoroczne nowości, które trafią do przedszkolaków, zostały wyłonione w konkursie dla wydawców. Grono eksperckie wyróżniło aż trzy tytuły, by zapewnić młodym czytelnikom i czytelnikom większą różnorodność i możliwość wyboru. W bibliotekach publicznych w całej Polsce, skąd można odebrać wyprawkę czytelniczą dla dzieci między 3. a 6. rokiem życia, czekają już *Przywitanie lata* Marii Dek (wyd. Bernardinum), *Rita i koń* Marty Kopyt (wyd. Muchomor) oraz *Bobuś* Marty Skibińskiej z ilustracjami Jacka Ambrożewskiego (wyd. Dwie Siostry). Książki przekazywane są dzieciom na własność.

Warsztaty, szkolenia i kampania dla zabieganych

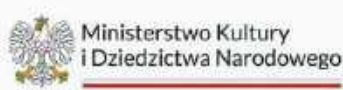
„Mała książka – wielki człowiek” to też mnóstwo innych działań. Przedszkolaki mogą zbierać naklejki w bibliotekach i wymieniać je na kolejne książki (w sumie trzy). Pierwszoklasiści – m.in. wziąć udział w zajęciach „Czytamy rodzinne historie”. W Polskę znów ruszył Czytobus – w ramach akcji „Mała książka w drodze” co 1,5 dnia gdzieś odbywa się warsztat czytelniczy (wydarzenia są organizowane zwłaszcza w miejscowościach, gdzie nie ma rozbudowanej oferty spotkań okołoksiążkowych). „Mała książka – wielki człowiek” to też szkolenia z wczesnej interwencji czytelniczej dla położnych i personelu medycznego (w 2025 roku przeszkolono 1800 położnych).

*W ramach kampanii społecznej
„Czytaj chwilę” do spędzania czasu
z dzieckiem i książką zachęceni
są zaś rodzice i opiekunowie,
którzy jako główną przyczynę
nieczytania dziecku wskazują brak
czasu. To chyba o nas*

Badania potwierdzają: książki zmieniają życie

Wpływ programu „Mała książka – wielki człowiek” na czytelnictwo rodzin potwierdzają badania przeprowadzone na zlecenie Instytutu Książki przez firmę ABR SESTA. 94 proc. opiekunów zauważyło zainteresowanie dzieci otrzymanymi książkami, ponad 80 proc. regularnie czyta je swoim pociechom, 75 proc. sięga po książkę co najmniej raz w tygodniu. 64 proc. rodziców niemowląt wprowadziło lekturę do życia malucha przed jego pierwszymi urodzinami, a 42 proc. – już w ciągu pierwszych sześciu miesięcy życia dziecka. 25 proc. badanych przyznaje, że gdyby nie otrzymało książki, czytałoby mniej lub nie czytało wcale.

Więcej na stronie: www.wielki-czlowiek.pl



WWW.WIELKI-CZLOWIEK.PL



Swoją lekcję już odrobił

Na castingach słyszałem: „A to ty tak teraz wyglądasz”. Co odbierałem jako sugestię, że jestem za duży i z takim wyglądem nie mam tu czego szukać.

Z AKTOREM **TOMASZEM SCHUCHARDEM**
ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**

Wydajesz się najbardziej zapracowanym polskim aktorem. Na festiwalu w Gdyni pokazano aż cztery filmy z twoim udziałem: „Dom dobry”, „Brata”, „Ministrantów” i „To się nie dzieje”. Do tego dochodzą seriale „Breslau”, „1670”, teraz „Heweliusz”. Kręcisz „Lalkę”, w której zagrasz Wokulskiego.

– Jeśli w ten sposób wymienisz obok siebie te tytuły, to wydaje się, że tak – bardzo zapracowany. Ale gdy dopiszesz, że połowa tych ról to epizodyczne przemazania, tudzież daleki drugi plan – „Brat” i „Ministranci”, nie wygląda to wówczas jak przepracowanie. Czasami oczywiście myślisz sobie, że masz prawdopodobnie swoje pięć minut i warto ten czas wykorzystać, ale wszystko z głową.

Janek Holoubek, obsadzając mnie w „Wielkiej wodzie”, dał innym reżyserom i reżyserom obsady jasny

sygnał, że jest w kinie miejsce dla mnie w nowym wydaniu. Zrobiłem się większy niż chłopak, jakiego zapamiętali z „Chrztu” czy „Jesteś Bogiem”. Do roli w „Hiacyncie” nabrałem kilogramów, i to dużo. Nie wróciłem do poprzedniej wagi. Na castingach słyszałem później: „A to ty tak teraz wyglądasz...”. Co odbierałem jako sugestię, że jestem za duży i z takim wyglądem nie mam tu czego szukać. Janek nie patrzył na to, jak wyglądam. Dla niego broniłem się aktorsko.

I – zdaje się – trwa to do dziś. Jestem w zdjęciach do nowego serialu Janka, jest „Heweliusz”. Moje zadanie w kolejnej naszej wodnej przygodzie jest drugoplanowe, ale bardzo się cieszę, że mogłem w tym spektakularnym przedsięwzięciu brać udział. Celowo wspominam tu o wodzie, bo wiem, że odegrała tutaj znowu ważną rolę, a całej ekipie niemożliwie dała w kość. Ale w tych trudach pracy często rodzi się piękna opowieść.

Na wywiad przyszedłeś prosto z kolejnego castingu. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że kiedykolwiek miałem w zawodzie większe przestoje. Właściwie nie mogłem narzekać na brak zleceń. Do tej pory udawało mi się jednak zachować higienę pracy – ułożyć to tak, żeby nie wchodzić w ząbającą się zdjęć. Aż dwa lata temu pierwszy raz w życiu zdarzyło się, że miałem tej pracy po prostu za dużo. Krótko mówiąc: musiałem wybrać.

Komfortowa sytuacja?

– Z jednej strony tak, z drugiej ból. Wszystkie te projekty – nie lubię tego słowa, ale żeby nie rozróżniać za każdym razem filmów i seriali, będę go używał – zapowiadały się interesująco. A tu z czegoś trzeba było zrezygnować. Wybrałem cztery. I co się okazało? Że trzy z nich przesunęły się na kolejny rok. Zaczęły się walki z kalendarzówką, żeby pogodzić to z innymi zobowiązaniami. Nie chodziło wyłącznie o czas, ale też o kontynuację wyglądu. Żeby wrócić na plan z krótszymi włosami czy zarostem niż ma mój bohater, bo w międzyczasie ściąłem je do innego filmu.

A że niespodziewanie miałem więcej wolnego, to mogłem zagrać w „Utracie równowagi” Korka Bojanowskiego. W części wymienionych przez ciebie projektów wziąłem udział gościnnie, to kwestia przyjacielskiej przysługi albo szansa na spotkanie z reżyserem, z którym się znałem, ale jeszcze nie miałem okazji pracować. Dosłownie trzy sceny do zagrania, dwa dni zdjęciowe. A potem w zwiastunie ciągle przewija się moja twarz, bo okazuje się, że jestem gorącym nazwiskiem w obsadzie.

W efekcie ludzie mogą odnieść wrażenie, że wyskakujesz z łodówki.

– Nie chcę być jednym z „tych” aktorów. Niestety, moje „chcenia” czasem przegrywają nierówną walkę z rzeczywistością. Są rzeczy, na które zupełnie nie mam wpływu. Ktoś mnie zaczepia na ulicy: „Ale super pan gra w tym serialu!”. Pytam: „W jakim serialu?”, bo wiem, że nic nowego ostatnio nie wyszło. „No tym policyjnym”. Dopiero po chwili do mnie dociera, że chodzi o „Krucjatę”, serial



◀ „Brat” (2025)
reż. Maciej Sobieszczański.
Nowość. Premiery na Festiwalu w Gdyni, w kinach od 5 grudnia

▶ „Jesteś Bogiem” (2012)
reż. Leszek Dawid. Jako „Fokus”, jeden z trzech członków legendarnego zespołu Paktofonika



FOT. MONOLITH FILMS, KINO ŚWIAT, ROBERT PAŁKA/NETFLIX, ŁUKASZ BĄK / DISNEY+



Tomasz Schuchardt

- Rocznik 1986. Absolwent PWST w Krakowie (2009). W latach 2010–2014 występował w Teatrze im. Jaracza w Łodzi. Od 2014 r. w zespole Teatru Ateneum w Warszawie. Trzykrotnie nagrodzony na festiwalu w Gdyni: za główną rolę w filmie „Chrzest” (2010) Marcina Wrony (razem z Wojciechem Zielińskim) oraz drugoplanowe kreacje w „Jesteś Bogiem” (2012) Leszka Dawida i „Doppelgänger. Sobowtór” (2023) Jana Holoubka. W tym roku Jury Warszawskiego Festiwalu Filmowego doceniło „odwagę, precyzję i emocjonalną głębię” ról, jakie stworzyli z Agatą Turkot w „Domu dobrym” (2025) Wojtka Smarzowskiego.
 - Wystąpił w kilkudziesięciu filmach i serialach, m.in. „Wielka woda”, „Chemia”, „Hiacynt”, „Utrata równowagi”. „Rojst. Millenium”, „Bodo”, „Skazana”, „Krucjata”.
 - Najnowsze to: „Dom dobry” już w kinach, „Ministranci” wchodzą na ekrany 21 listopada, „Brat” – 5 grudnia. Oraz seriale: „Heweliusz” można zobaczyć na Netflixie, „Breslau” – na Disney+.
- Premiera serialu „Lalka” planowana w przyszłym roku.

▼ „Breslau” (2025), reż. Leszek Dawid. Jako komisarz Franz Podolsky, który w 1936 r. szuka w Breslau brutalnego mordercy



kręcony pięć lat wcześniej. Na TVP przeszedł bez echa, ale zyskał nowe życie na Netflixie.

I właśnie tak powstaje wizerunek najbardziej zapracowanego aktora w Polsce.

– Naprawdę nie mam poczucia, że nie odpoczywam. Zarazem to może dziwnie po tym, co tu padło, ale w moim życiu praca zeszła na drugi plan. Mam cudowną rodzinę i inaczej ustawione priorytety niż kiedyś. Żona mi powtarza, że córki za mną przepadają i tęsknią, kiedy wychodzę. Dlatego chcę spędzać jak najwięcej czasu w domu. Po zdjęciach – o ile tylko kręcimy w Warszawie – jestem tylko dla nich. Wiem, że są aktorzy, którzy mówią: „Teraz tatuś musi popracować, proszę mi nie przeszkadzać przez dwie godziny”. I zamykają się w gabinecie. Ja tak nie potrafię. Dopiero wieczorem, kiedy wszyscy pójdą spać, uczę się tekstu na następny dzień.

W dodatku – wnosząc po mojej energii – wydaje mi się, że organizm dobrze to znosi.

A bywało inaczej?

– Był taki czas, że wywalił mi bezpiecznik. Jechałem po bandzie, przygotowania do spektaklu, plan za planem, po zdjęciach wszyscy rozładowywali emocje na imprezach. W pewnym momencie zacząłem czuć kłucie w klatce piersiowej. Żadnym sposobem nie potrafiłem się tego uczucia pozbyć. Szukałem różnej pomocy, chciałem poznać przyczynę. Tak trafiłem do psychologa. Właśnie na terapii usłyszałem: „Wywalił panu bezpiecznik”.

Okazało się, że to były ataki paniki, stany lękowe. Funkcjonowałem zbyt intensywnie i bez regeneracji. Zbadałem też ciało. Wyniki były nie za dobre, wysoki cholesterol – a więc również stres. Zdaję sobie sprawę, że powinienem się więcej ruszać. Ale małymi krokami zrobiłem już znaczne postępy. Choć siłownia zawsze przegra z czasem spędzonym z żoną i córami.

Nie musisz mi tego tłumaczyć. Staram się wykorzystać ostatnie lata, kiedy moja córka jest zainteresowana spędzaniem ze mną czasu. Umówmy się, to naturalna kolej rzeczy. Rodzice nie są najważniejsi, kiedy masz 16 lat.

– A może nie przestanie? Skoro zbudowałeś więź, macie wspólne pasje. Nie jest wcale przesądzone, że córka musi powiedzieć na dziesięć lat „do widzenia”. Może uzna, że co prawda stary to boomer, ale fajnie z nim spędzić czas. Dużo się w tej kwestii zmieniło, od kiedy byliśmy dziećmi. To był inny rodzaj rodzicielstwa. Nie wiem, jak to dobrze określić. A nie chcę być źle rozumiany. Już kiedyś miałem taką sytuację.

Po jednym z pierwszych wywiadów, jakie udzieliłem, mojej mamie zrobiło się przykro. „Jak mogłeś powiedzieć, że nie mówiłam »kocham cię«?” – nie dowierzała. Wszystkie koleżanki w szpitalu – mama jest pielęgniarką – to przeczytały. Znalazłem ten magazyn. Okazało się, że do tytułu wzięli fragment mojej dłuższej wypowiedzi, której sens był zupełnie inny. Powiedziałem, że o emocjach się w moim domu nie mówiło, ale to nie znaczy, że nie czułem się kochany. Zadzwoń mi wściekły do dziennikarza. Wtedy się okazało, że wy, dziennikarze, z tytułami i leadami tekstów zwykle nie macie nic wspólnego.

Twój bohater w „To się nie dzieje”, debiucie Artura Wyrzykowskiego, mówi do partnerki: „Ty tego nie zrozumiesz, bo nie masz dzieci”. Jak ojcostwo wpłynęło na ciebie i twoje granie?

– Nie da się ukryć, ojcostwo mnie zmieniło, i to bardzo. Moja biografia wygląda dziś tak: czas bycia nieodpowiedzialnym dzieckiem, to jest czas przed Tośką, i czas dojrzewania, nabierania cech mężczyzny, czas stawiania się dorosłym, to jest czas po jej narodzinach do dziś. To inna bajka, inne emocje, już samo poczucie odpowiedzialności za drugiego człowieka przedstawia coś w głowie. Na pewno potrafię lepiej zrozumieć pewne decyzje, dylematy, obawy. To jest bezwarunkowa więź, którą nie sposób sobie wyobrazić, jeśli się nie jest rodzicem. A z drugiej strony, przecież mój zawód polega właśnie na tym, żeby sobie pewne rzeczy wyobrażać, dopowiadać w głowie. Mamy dostęp do sytuacji i przeżyć, których nie doświadczyliśmy. Gdybyśmy wszystkiego, co gramy, mieli najpierw doświadczyć, aktorstwo byłoby rodzajem chorej psychodramy.

Jedno to dzieci, ale ja jestem po prostu coraz starszy. Z każdym dniem mam więcej doświadczeń. Wydaje mi się, że moje postaci z wiekiem robią się głębsze.

Ty dość wcześnie zacząłeś grać dojrzalszych facetów – mam wrażenie, że szybciej niż twoi rówieśnicy?

– Posiwałem szybciej niż inni, takie mam geny po mamie. Poza tym moja tusza sprawia, że nie ma bata, nikt mnie już nie obsadzi w roli młodego amanta.

Nagle się okazuje, że tych niejednoznacznych facetów jest jednak trochę do zagrania. Pamiętam twojego milicyjnego brutalą z „Hiacynta”, który wobec partnera z pracy okazuje się czuły jak brat czy ojciec.

Albo film „Doppelgänger. Sobowtór”, gdzie to właśnie w twoim wątku, inżyniera ze stoczni, a nie PRL-owskiego agenta stawka wydawała się większa.

– Nie wymyślę lepszej odpowiedzi niż banal powtarzany od lat przez aktorów. Ale taka jest prawda. Co byś chciał grać? No to, co chciałbyś oglądać. A najciekawszy jest dla mnie złamany bohater. Jeśli dobry, to z jakąś rysą na życiorysie. Jeśli zły, to ze skrywaną wrażliwością, intencją, której na pierwszy rzut oka możemy nie dostrzegać. Szukam tych niejednoznaczności, nawet jeśli nie są zapisane wprost w scenariuszu. Oczywiście nie zawsze.

U Wojtki Smarzowskiego w „Domu dobrym” nie starałem się tego robić na siłę. Są takie role – nazywam je służebnymi – kiedy dla dobra sprawy chowasz ego. Po przeczytaniu scenariusza od razu wiedziałem, że to film Agaty Turkot. Moje zadanie polegało na stworzeniu postaci skurwysyna i manipulanta, jakiego ta ziemia jeszcze nie nosiła. Chodziło o to, żeby Agata i jej bohaterka miały z czym walczyć.

Jednak staraliśmy się początek filmu zbudować w taki sposób, żeby można było się w tym Grzesku zakochać, a przynajmniej zrozumieć, dlaczego Gośka się w nim zakochuje. Duża w tym rola Agaty Kuleszy w kolejnej służebnej roli w tym filmie – matki głównej bohaterki – która bierze na siebie ciężar bycia „tą złą” w pierwszej części filmu: to ona pomaga uwierzyć w Grześka.

Przyznajesz, że nauczyłeś się już wychodzić z ról. Ale granie takich scen, jakie miałeś w „Domu dobrym” – a twój bohater dopuszcza się na żonie wszelkich form przemocy – wydaje się ekstremalnym wyzwaniem. Nie uwierzę, że po aktorze po prostu spływa.

– Tak bym nigdy tego nie ujął.

Jak sobie z tym radzisz?

– Dobrze mieć na podorędziu dwie córki i Kochającą, wspierającą żonę. Tak mogę ci odpowiedzieć dzisiaj. Ale przez lata sobie zwyczajnie nie radziłem, więc sięgałem po to, co było najbardziej dostępne i znane. Czyli po alkohol, takie przykłady miałem dookoła. Wracałem po zdjęciach, otwierałem sobie piwko. To tani, ale bardzo złudny uśmierzacz bólu i wygaszacz emocji. W końcu jestem zmęczony po pracy, należy mi się – łatwo sobie to wytłumaczyć.

Prawdę mówiąc, myślałem, że po latach mam takie rzeczy przepracowane. Przy „Domu dobrym” mieliśmy trudny, dwutygodniowy set zdjęć wyjazdowych. Kończyliśmy

go sceną gwałtu, emocjonalny hardcore. Po wszystkim odetchnęliśmy z Agatą: „Udało się, przeżyliśmy to, daliśmy radę”.

Dostałem dwa dni wolnego, pojechałem do domu. Podchodzi starsza córka (młodszej jeszcze nie było na świecie) i pyta: „Tato, idziemy z Bazylem?”. A ja siedzę i mam moment zawieszenia. „Tato? [pauza] Aha, to ja. [pauza] Z Bazylem? [pauza] Aha, z naszym psem. [pauza] Na spacer? [pauza] Aha, trzeba się ruszyć”. Trudno będzie oddać na piśmie to, co teraz odegrałem, ale dokładnie tyle zajął mi powrót do rzeczywistości, zanim odpowiedziałem: „Tak, idziemy kochanie”.

Kiedy mówię, że nauczyłem się sobie z tym radzić, mam na myśli, że umiem już w domu po wymagającym planie nie być podenerwowany. Jeśli drażni cię nawet odgłos pralki, łatwo wpaść w złość. Ja swoją lekcję odrobiłem, dziś panuję nad tymi emocjami. Ale momenty jak ten, który przed chwilą opisałem, uzmysławiają, że nie na sto procent.

Jak wykonujesz fizyczną pracę i przegniesz z obciążeniem, to następnego dnia masz zakwasy. A przy zakwasach czujesz każdy ruch. Więc u mnie po trudnych zdjęciach też pojawiają się zakwasy, które się czasem odezwą – tak to sobie tłumaczę, mam analityczne podejście do rzeczywistości po mat-fizie. To zakwasy duszy. Przez nie potrafiłem zrozumieć prostego pytania. Ale to trwa tylko chwilę, która przypomina, że te role we mnie siedzą i ponoszą jednak koszt mojej pracy. A potem rzuca myślenie, córka się śmieje, rozmawiamy o tym, co w szkole, nie dociera do mnie wspomnienie tych scen. Co nie znaczy, że w dalszej części dnia, na 30 sekund, moje myśli zmów nie wskoczą na temat filmu. Zresztą w podobny sposób wymyślam swoje role.

Na spacerze z psem?

– Jeśli wychodzę z psem sam, to tak. Albo jak jadę do sklepu. Mam tak zaprogramowany mózg, że potrafi znaleźć odpowiednią chwilę – tych 5-10 minut do wyrwania z życia – i daje mi komunikat: „Szuszu teraz”. Na przykład gdy koszę trawę. W głowie układam sobie te role hasłami, znakami. Głowa optymalizuje mój czas na pracę, by później nie zabierać sobie czasu, który spędzę z rodziną. Teraz przy natłoku spraw wymyślam sobie kierunki, a wiem, że zdobyte umiejętności pomogą mi resztę zrealizować. Oczywiście brzmi to banalnie prosto, ale też bardzo dużo czasu poświęciłem na zdobywanie warsztatu.

W trakcie studiów praktycznie nie wychodziłem z budynku szkoły. Były takie możliwo-

ści w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej (PWST, dziś Akademia Sztuk Teatralnych). Brałem klucz do sali i ćwiczyłem. Potrafiłem siedzieć tak do pierwszej czy drugiej w nocy, codziennie.

Ambicja?

– Też, ale podświadomie czułem wtedy, że nic nie umiem. Patrzyłem po kolegach: wydawało mi się, że na ich tle mam braki i sporo do nadrobienia. Dlatego w trakcie studiów nie chodziłem w ogóle na castingi. Byłem przekonany, że nic nie umiem, więc po co się kompromitować i dostawać negatywną informację zwrotną.

Moja biografia wygląda tak: czas bycia nieodpowiedzialnym dzieciakiem, to jest czas przed Tośką, i czas nabierania cech mężczyzny, stawania się dorosłym, to jest czas po jej narodzinach do dziś

Czyli kompleksy?

– I brak poczucia własnej wartości. Przez jakiś czas tworzyłem postać. Na studiach, a właściwie już w liceum, często mówiłem, że jestem z Gdańska, a nie ze Sobowidza, bo wstydziłem się przyznać, że pochodzę ze wsi. Nagle trafiłem do klasy, gdzie wszyscy byli z dużego miasta. Miałem wrażenie, że odstaję. Zacząłem odczuwać dyskomfort, rodzaj wstydu. Dlatego budowałem siebie na kłamstwie. Zobaczyłem, że koledzy i koleżanki wymieniają nazwy swoich miejscowości z dumą. Potrzebowałem kilku lat, żeby zrozumieć, że moje pochodzenie to siła, coś, co czyni mnie wyjątkowym. No i materiał, z którego mogę korzystać jako aktor.

Jaki był Sobowidz czasów twojego dzieciństwa i co w tobie z niego najbardziej zostało?

– Daleki i bliski. Był moim domem, moim dzieciństwem, moim światem. Mam całkiem mnóstwo dobrych wspomnień. Był dziki i wiejski. Polny i leśny. Ale też biedny i pijany. Popegeerowski, ograniczony, w kompleksach i niewiedzy, że gdzieś jest inaczej.

Szukam, jak widzisz, takich słów pojemnych, bo chcę namalować jakiś obraz, natomiast musielibyśmy się spotkać na wywiad-rzekę o Sobowidzu, żeby w pełni to wszystko oddać. Ale ja też jestem jak ten Sobowidz z moich wspomnień.

Powiedziałeś, że dużo czasu poświęciłeś na zdobycie warsztatu. Czym jest ten warsztat?

– Przez warsztat rozumiem umiejętność używania pewnych emocji, stanów. Jak opłujesz warsztat, nie zastanawiasz się, czy dasz radę coś zagrać, tylko czy dobierzesz odpowiednie środki, które opowiedzą bohatera, czy ułożysz je w odpowiedniej konfiguracji.

Mógłbyś podać jakiś przykład?

– Miałem teraz taką scenę w „Lalce”, w której Wokulski uczy się angielskiego. Pierwsza myśl: czy znam podobne sceny – bo nie chcę powtarzać. Druga: czy coś mnie w tej scenie śmieszy, smuci, przeraża czy ciekawi. Zadałem sobie kilka podobnych pytań, od tego zacząłem. To są moje ślady.

Pomyślałem sobie, że warto, żeby ten Wokulski wstał i przewietrzył głowę – sam tak przecież robię. Musiałem tylko znaleźć właściwy moment między jedną kwestią a drugą. Potem zderzam taki pomysł z reżyserem i przestrzenią, w której kręcimy. Nigdy nie wymyślam sobie sceny na ziczer, co do centymetra czy gestu. Najciekawsze jest zderzenie z partnerem. Wtedy puszczaś myślenie, polegasz na intuicji. Więc wybieram lub wybieramy (z reżyserem) cel sceny, o czym jest, co ma wnieść w życie bohatera, później w całą historię. Ustalamy, że najlepszy kolor to będzie na przykład żart, i wtedy już ja wybieram sobie środki, jak ten żart opowiem.

Żeby tylko broń Boże nie zabrzmiało teraz, że ze mnie jakiś Matuzalek. Dużo mam jeszcze do odkrycia. Chciałbym w końcu spróbować horroru, więcej komedii. Komedie to dla mnie wyzwanie. Ale próbuję, stąd mój hetman Sobieski w „1670” – właśnie po to, żeby się sprawdzić.

I jak smakuje komedia?

– Taka dobra, rasowa, sarkastyczna lub absurda komedia smakuje pysznie. Chciałbym więcej. Natomiast doświadczenie – mimo epizodu – ogromne. Dołączyłem na tak zwany strzał do ekipy, która już wspólnie oddycha. To niezwykle trudne, stresuje się przed ludźmi, których cenię. Znałem Maćka Buchwalda z jego działalności sceniczno-komediowo-impro-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34407357

DODATEK SPECJALNY: KRYMINALNY CZWARTEK W „WYBORCZEJ”

Krasnoludek zakochał się w królewnie

Reporterska opowieść Ewy Wilczyńskiej o zabójstwie Miss Polski



wizatorskiej. Jest doskonały. Zależało mi, żeby mój hetman go nie rozczarował. Chętnie komediowo bym jeszcze pogrzebał.

Komedia wydawała mi się zawsze piekielnie trudna.

– Jest to trudne, ale i niezbyt szanowane, niestety. Nigdy nie zapomnę dokumentu o Stanisławie Barei dołączonego do wydania „Misia” na DVD. Powstał już po jego śmierci. O Barei wypowiadali się inni polscy reżyserzy, największe tuzy. Dało się wyczuć protekcyjność, rodzaj lekceważenia, by nie powiedzieć pogardy: myśmy robili ważne kino, a Staszek kręcił te swoje fajne, wesołkowate filmiki. A może to kwestia zazdrości? Nie wiem, czy Bareja nie sportretował najlepiej z nich wszystkich absurdów PRL-owskiej rzeczywistości.

Wspomniałeś o budowaniu roli hasłami. Jakie hasła miałeś w głowie, myśląc o Wokulskim?

– Ale pytasz mnie o to, co myślę o nim dzisiaj, czy kiedy dostałem propozycję?

Najchętniej bym zderzył jeden odbiór z drugim, bo rozumiem, że się różni?

– Nie wiem, ile mogę o tym opowiadać, bo obowiązują nas umowy o poufności. Kiedy pierwszy raz dowiedziałem się o projekcie, wyobrażenie miałem bzdurne, ze szkoły. Co prawda Wokulski to pozytywistyczna postać, ale na lekcjach była interpretowana przez polonistów, którzy najczęściej podejście do literatury mieli romantyczne. Więc słyszeliśmy, że to szlachetny człowiek, dla miłości i sprawy gotów poświęcić wszystko.

Kiedy przeczytałem scenariusz, który napisali Paweł Demirski, Paweł Maślona i Jago da Dutkiewicz – odetchnąłem. Zabawili się tym materiałem wspaniale. Powiem tak: lepiej się nie nastawiać, że obejrzenie naszego serialu zastąpi lekturę powieści Prusa przed maturą. Serial proponuje inne spojrzenie na Wokulskiego. Ale też wiele w odbiorze tej postaci zmienia się dlatego, że Łęcka jest inna, bardziej charakterna.

Znów spotykasz się na planie z Sandrą Drzymalską. Przed chwilą zagraлиście burzliwe małżeństwo w „Breslau”. Tamto doświadczenie pomaga przy „Lalce”?

– Na pewno mamy ze sobą luz, a w kamerze tę tak zwaną chemię. Ale przy „Breslau” też mieliśmy, a przecież nie znaliśmy się jeszcze. Zalewa nas jednak fala sentymentów. Wszystko przez świadomość, że skoro w tak krótkim

czasie dwukrotnie zagraлиśmy razem, prawdopodobnie nie spotkamy się na planie wcześniej niż za 10 lat w charakterze pary rzecz jasna. Takie realia.

Chociaż w „Lalce” jesteśmy daleko od bohaterów „Breslau”, inna jest też nasza relacja. Jeżeli wyjdzie nam to, co sobie założyliśmy, покаżemy, że jesteśmy aktorami i potrafimy zagrać różne rzeczy. Ironizuję, ale dla niektórych to wciąż niewyobrażalne. Pokutuje myślenie, że skoro jakiś aktor tak dobrze tego policjanta zagrał, to zostanie już nim na 20 lat. Mam nadzieję, że dotąd wymigiwałem się od zaszuladkowania i tak już zostanie.

Twój Franz Podolsky w „Breslau” przypomina antybohaterów z kryminalów noir.

– Zależało mi na tym, żeby oprócz słabości miał jakieś pozytywne cechy, przez co widzowie będą mogli za nim podążać. Ale nie więcej niż dwie, bez przesady. Pierwszą była prawdziwa miłość. Uczucie, jakie łączy go z żoną, jest szczere i prawdziwe, a nie spowodowane nalogami. Drugą cechą było poczucie sprawiedliwości. Dąży do tej sprawiedliwości różnymi metodami. Poza tym jest porywczy, pali jak smok...

Bagatelizuje też niektóre sytuacje.

– No właśnie, nie chciałem, żeby to był drugi Sherlock Holmes, cudowny geniusz dedukcji. Celowo odjęliśmy mu trochę punktów inteligencji. Nauczyłem się, że naiwność to przydatna cecha bohaterów. Zdarzało mi się grać w serialach pisanych na kolanie. I żeby usprawiedliwić pewne ruchy postaci, pomagało dodanie jej naiwności.

Początkowo była we mnie nawet złość, że musimy w ogóle tak kombinować. Ale z czasem zdałem sobie sprawę, że wszyscy bywamy naiwni. Chcemy wierzyć w dobro drugiego człowieka, jego uczciwość, rozsądek. Dlatego nie ma sensu prowadzić bohatera jak po sznurku. Aktorzy często zastanawiają się: „Czy mój bohater by to zrobił?”. Co to w ogóle za pytanie! Przecież my sami nie wiemy, co zrobimy w danej sytuacji. Jakbyś mnie teraz zapytał, czy mógłbym zabić człowieka, powiedziałbym, że nie. Ale potrafię sobie wyobrazić takie okoliczności...

...że mógłbyś?

– Mówię oczywiście o bardzo dramatycznej, krytycznej sytuacji jak zagrożenie życia moich najbliższych. W każdym razie na pewno nie powiem, że nigdy i że nie. Czy mój bohater z „To się nie dzieje” spodziewał się, że jego syn

zabije kolegę ze szkoły? Oczywiście, że nie, ale tak się stało, i teraz jako ojciec staje przed dylematem.

Wszyscy chcemy wierzyć, że zachowamy się szlachetnie. A przecież nie postępujemy zgodnie z algorytmem. To nie komedia romantyczna, gdzie są już przetarte schematy zachowań.

Nie chcę być jednym z „tych” aktorów, którzy wyskakują z łodówki. Niestety, moje „chcenia” czasem przegrywają nierówną walkę z rzeczywistością. Są rzeczy, na które zupełnie nie mam wpływu

Za teatrem nie tęsknisz?

– W teatrze panuje kryzys, mówią mi to wszyscy koledzy, niezależnie od tego, gdzie grają. Niepokojący jest wysyp spektakli objazdowych. Wszystko pod hasłem: „Docierajmy do ludzi, którzy nie mają na co dzień dostępu do kultury”. Ale przynajmniej przy części realizacji wygląda to na golenie kasy. Jest to dla aktorów kuszące, w teatrze na etacie w życiu tyle nie zarobią. Rozumiem ich frustrację – to często ludzie z poczuciem misji, wewnętrzną potrzebą uwrażliwiania i konfrontowania widza z pytaniami – chcą godnie żyć, a ledwo wiążą koniec z końcem.

Zresztą w teatrze z tym tak zwanym ambitnym, intelektualnym repertuarem uderza się dziś wrażeniami. Spektakl stanowi kolaż obrazów, a ty jako aktor jesteś pikselem, elementem tego obrazu. Takie coś mnie nie satysfakcjonuje.

Niedawno robiłem w Krakowie spektakl z Mateuszem Pakułą. Interesują go filozofia i futurizm, ale egzystencjalne pytania przeplata komicznymi scenami pełnymi absurdu. No taki teatr to chciałbym robić. Gdyby Mati był w Warszawie, gdyby tutaj prowadził zespół, mógłbym do niego dołączyć.

Myślisz czasem, co by było, gdybyś poszedł jednak na matematykę albo historię?

– Nie. Po maturze składałem papiery na oba te kierunki. Wtedy myślałem, żeby może zostać

nauczycielem. Taki miałem pomysł na siebie, dopóki nie zdecydowałem się zdawać na wydział aktorski. Dzisiaj myślę, że nie byłbym dobrym nauczycielem. Tak samo, jak nie mógłbym pracować w restauracji. Jeszcze na zmywaku okej, czemu nie. Ale za barem czy jako kelner? W życiu! Nie sprawdziłbym się w bezpośrednim kontakcie z klientem. Mam za krótki lont, gdyby mnie ktoś zirytował – oj, nie umiałbym zachować uprzejmości i uśmiechu na twarzy.

A to ciekawe, bo odnoszę wrażenie – a może to po prostu mój odbiór – że masz wizerunek człowieka raczej spokojnego, opanowanego.

– Łatwo się irytuję, ale też szybko potrafię wyjść z tego stanu. Teraz już wiem, jak to zrobić, i w ogóle wiem, co się wydarzyło: że nie wykazałem się asertywnością, że zabolały mnie czyjeś słowa. Kiedyś nie wiedziałem, miałem spięprzony cały dzień, bo nosiłem to w sobie.

Dostałem nawet propozycję zaraz po szkole, żeby poprowadzić zajęcia. Ale co ja bym wtedy mógł tym studentom od siebie dać? Nie wiele albo nic, bo takie było wtedy moje doświadczenie. Dziś, po 15 latach, miałbym się pewnie czym podzielić. Noszę w sobie wiele obserwacji i wniosków, jakie wyciągnąłem z przeróżnych spotkań. To właśnie spotkania są najlepszą nauką. Dlatego młodym aktorom polecam: bierzcie robotę, grajcie. Macie propozycję z Wałbrzysza, Jeleniej Góry albo Szczecina? Co z tego, że daleko od Warszawy: jedźcie! Nie ma co czekać, że się dostanie od razu główną rolę.

Od kiedy jesteś Szuszu?

– Od pierwszego miesiąca studiów? Jakoś tak. Ksywę wymyślił Domał. Piotrek Domałewski, mój przyjaciel z roku. Wtedy aktor, dziś reżyser. Stwierdził, że mam dużo tego „sz”. Bo jestem Tomasz Szczepan Schuchardt. To drugie imię po bierzmowaniu. Mieszkaliśmy razem w czasach studiów w PWST i potem jeszcze kilka lat, już po przenosinach do Warszawy.

Ale jestem Szuszu, bo na tyle mi się to spodobało, że zacząłem się w ten sposób przedstawiać. I tak już zostało.

Wystąpiłeś we wszystkich dotychczasowych filmach Domała, ostatnio jako kładz rekonstrukcjonista w „Ministrantach”.

– W filmie o Jacku i Grażynie Kuroninach mnie nie będzie, jeśli o to pytasz. Ale spokojnie, dalej się przyjaźnimy. ●

W PIĄTEK W



PORADNIK KONSUMENCKI

Zimowy Przewodnik Motoryzacyjny

- Jazda elektrykiem zimą – jak chronić akumulator

- Opony: sezonowe kontra całoroczne – funkcjonalność i koszty



- Nauka jazdy w poślizgu

- Jak przygotować auto na wyjazd w góry? Narty, gadżety i bagażniki dachowe



• Premiera spektaklu „Piramida zwierząt” w reżyserii Michała Borczucha, laureata Paszportu „Polityki”, odbyła się 15 listopada w Starym Teatrze w Krakowie FOT.X

CO WOLNO DZIŚ ARTYSTYCE

„Piramida zwierząt” powraca.

Witold Mrozek

Bardzo rzadko zdarza się, żeby spektakl teatralny tak trafnie wpisał się w jedną z najważniejszych debat współczesności. „Piramida zwierząt” w reżyserii Michała Borczucha ze Starego Teatru w Krakowie to przedstawienie, z którym warto rozmawiać jak z poważnym esejem. Bo to wypowiedź o tym, na ile jest jeszcze dziś w ogóle miejsce na artystyczną prowokację, jeden z fundamentów myślenia o europejskiej kulturze ostatnich dwóch stuleci.

Koń, pies, kot i kogut

Tytułowa instalacja Katarzyny Kozyry pojawiła się latach 90. XX wieku w prasie, telewizji i na sali sądowej. Co wywołało skandal? Kozyra zleciła zabicie konia – co prawda przeznaczonego i tak na ubój, a następnie na wypchanym koniu ustawiła kolejno wypchane-

go psa, kota i koguta. „Piramida zwierząt” nawiązywała do baśni braci Grimm „Muzykancki z Bremy”, w której zwierzęta uciekały przed okrutną śmiercią. W opowieści tej zwierzęta stają jedno na drugim, by stawić czoło złoczyńcom.

To była jedna z największych artystycznych afer tamtego czasu.

Sama Kozyra stawiała wtedy czoła chorobie nowotworowej. „Nie zdobyłabym się na to, żeby się tak zgwałcić emocjonalnie, gdybym nie miała poczucia ostateczności, że zdycham po prostu” – opowiedziała o powstawaniu pracy parę lat później Arturovi Żmijewskiemu.

Skala protestów była wielka – połączyły one konserwatywną część sceny artystycznej oraz obrońców praw zwierząt. „O ile program »Animals« zainteresuje się przedstawionym przez nas faktem, prosimy o niewymienianie publiczne nazwiska autorki. Przepuszczalnie jedną z intencji jej działania było zwrócenie uwagi na siebie” – pisało konserwatywne stowarzyszenie ZPAP, interwieniu- jąc w sprawie „Piramidy”.

„Zastąpienie indolencji warsztatowej dreszczykiem, że oto oglądamy trupy prawdziwych zwierząt, wydaje mi się wyjątkowo parszywe” – tak pisała Xymena Zaniewska-Chwedczuk w „Wyborczej”.

„Były takie wypadki, że artysta się sam okaleczał, łącznie z samobójstwem. Proszę bardzo, chce przejść do historii jako czerwona plama i wyskakuje z dziesiątego piętra, niech to robi, ale jeżeli artysta postawi na tym piętrze człowieka czy zwierzę żywe i go rzuci stamtąd, to kochani, mamy tu najnormalniejszy w świecie fakt głupoty” – mówił z kolei rzeźbiarz Jerzy Kalina o Kozyrze w wyprodukowanym szybko przez TVP reportażu „Koń, pies, kot, kogut i człowiek”.

Rozmowy o sztuce były tam przeplatane drastycznymi obrazami opartych na przemoc wobec zwierząt rytuałów z różnych stron świata – ścinania głowy bykowi jednym uderzeniem szabli czy tłuczenie świń kijami.

„Śmierć zwierząt zabijanych przemysłowo jest niewidoczna i usankcjonowana celami utylitarnymi, przez co właściwie wyeliminowa-

wana ze świadomości. Natomiast śmierć pojedynczego zwierzęcia, unaoczniona w dziele artystycznym, jest przywróceniem jej świadomości widza” – bronił swojej studentki prof. Grzegorz Kowalski w „Życiu Warszawy”.

Tuż obok redakcja wydrukowała list czytelnika, który domagał się od ministra kultury odebrania Kozyrze dyplomu.

Afera wokół „Piramidy” ciągnęła się latami. W 1999 roku, gdy pracę Koziry pokazano ponownie – tym razem w Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia, Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami (TOZ) wezwało policję. Sprawa trafiła przed Kolegium do Spraw Wykroczeń. Sędzia Onosława Wuczyńska orzekła jednak, że wystawa miała ważną wymowę społeczną i została źle zinterpretowana przez członków TOZ.

Kolejne mocno krytyczne głosy padły ćwierć wieku później z lewej strony publicznej debaty – przy okazji przypomnienia „Piramidy zwierząt” na wystawie „Łzy szczęścia” w Zachęcie. Ekofeministyczna artystka Elwira Sztetner i badaczka Katarzyna Lewandow-

ska zaapelowały wraz z innymi osobami w liście otwartym, by pochować konia, psa, kota i koguta z pracy Kozyry – bo wystawienie ciał martwych zwierząt jest „przykładem antropocentrycznego nadużycia, które odbywa się w przestrzeni sztuki”.

Co wolno za państwowe pieniądze?

Na razie jednak instalacja trafiła nie na cmentarz – a jako temat na scenę Starego Teatru w Krakowie. Premiera „Piramidy zwierząt” w reżyserii Michała Borczucha, laureata Paszportu „Polityki”, odbyła się 15 listopada. Dość wyraźnym punktem odniesienia dla tego przedstawienia jest legendarny spektakl „Factory 2” Krystiana Lupy z 2008, też ze Starego. Jego podtytuł to „zbiorowa fantazja inspirowana twórczością Andy’ego Warhola” – i na scenie obok tego słynnego artysty pojawiały się postaci z jego atelier.

I w „Piramidzie zwierząt” Borczucha elementy dokumentu przeplatają się ze zbiorową fantazją. Są tu rzeczywiste zdarzenia i wypowiedzi, jest też dużo fikcji. Pojawia się słynna pracownia Grzegorza Kowalskiego – zmarłego w tym roku legendarnego profesora warszawskiej ASP, u którego poza Kozyrą uczyli się najsłynniejsi artyści czasu przełomu. Paweł Althamer, Artur Żmijewski z licznymi kolegami i koleżankami pojawiają się na scenie Starego, grani przez aktorów.

Kozyrę gra Małgorzata Zawadzka. To świetna rola, spektakl otwiera jej półgodzinny, hipnotyczny, monolog.

Scenariusz spektaklu „Piramida zwierząt” napisał Mateusz Górniak, pisarz urodzony w 1996 roku, czyli trzy lata po skandalu wokół pracy Kozyry. Polska kultura uwielbia takie sytuacje – opisywać się przez pokoleniowe spory, co to młodzi powiedzą o starszych kolegach, mistrzach, niedysyjszych skandalist(k)ach.

Instalacja „Piramida zwierząt” nie jest jednak jedynym, ani nawet głównym tematem spektaklu „Piramida zwierząt” w Starym Teatrze.

A co jest głównym tematem? Chyba pytanie, po co dzisiaj jest nam sztuka, czy dalej w nią wierzymy i czy pozwalamy jej na tyle, co kiedyś.

Widać to mocno w jednej z końcowych scen, gdy Joanna Rajkowska (Iwona Budner) klóci się na imprezie z lekarzem (Michał Baderiski) o swoją słynną palmę z warszawskiego ronda de Gaulle’a – czyli pracę „Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich”. Młody przedstawiciel niewątpliwie potrzebne społecznie i prestiżowego zawodu dziwi się, że można tak arbitralnie robić coś ze wspólną przestrzenią i jeszcze wydawać na to publiczne pieniądze.

Krakowskim widzom przypomnieć się tu może inny spektakl Borczucha. W 2016 wystawił on w Teatrze Łaźnia Nowa „Wszystko o mojej matce”. Tam też ważnym tematem była choroba nowotworowa – Borczuch i aktor Krzysztof Zarzecki opowiadali o matkach, które stracili właśnie przez raka.

„Pomyśleliśmy, że to dobry moment, żeby zrobić coś o sobie. To znaczy o naszych matkach, ale i o sobie. I żeby zrobić to za publiczne pieniądze. Mamy do tego prawo” – czytała w spektaklu sprzed prawie dekady asystentka reżysera proponowany monolog aktorowi Zarzeckiemu. „To wydreślić” – wtrącał się wtedy Zarzecki. Po wykresie przedstawienia Borczucha zapowiadało w polskim teatrze zwrot ku prywatności, autobiograficzności czy nawet autoterapii.

Teraz, w 2025 roku w Starym Teatrze, „Piramida zwierząt” to spektakl również o prywatności w sztuce, o przyzwoleniu na artystyczny gest – na przykład zajmowania się swoim lękiem, żalobą czy innymi bardzo intymnymi doświadczeniami – w imię twórczej wolności.

Tematem znów staje się granica tego, co prywatne czy intymne – i tego, co publiczne. Borczuch przypomina wielokrotnie już poruszany związek pracy Kozyry z jej chorobą – „Piramida zwierząt” w teatrze dziś, zupełnie jak 32 lata temu w galerii, jest też o cielesności i śmierci, nie tylko o zwierzętach.

Cielesność w sztuce – wstydliva, słaba, przejmująca – powraca w spektaklu w wątku Zbigniewa Libery. Grający tego artystę Bogdan Brzyski w pewnym momencie wnosi na scenę telewizor, ustawia go tyłem do widzów, a ekranem do kolegów. „Obrzędy intymne” – mówi, przypominając pracę wideo pod tym właśnie tytułem, w której Libera udokumentował i upublicznił najbardziej intymne aspekty opiekowania się umierającą babcią – mycie, karmienie starej kobiety.

Pozostałe osoby na scenie patrzą na ekran dość wstrząśnięte. „Świetnie, świetnie, działa, działa” – mówi wesoło Libera/Brzyski.

Erekcja poprzez kolorowe etykiety

Dlaczego wracać do tamtych czasów i postaci akurat teraz? Zdaje się, że twórcom „Piramidy...” chodzi o wyobrażenie sobie atmosfery szczególnego momentu, gdy zmiany w sztuce i zmiany kulturowe spotykają się z przemianami politycznymi i gospodarczymi, gdy – jeśli akurat nie jesteś zwalnianym stoczniovcem,



Dorobek Katarzyny Kozyry jest bogatszy niż ta instalacja sprzed 32 lat. Wciąż jest aktywna, prowadzi fundację wspierającą inne artystki



• „Piramida zwierząt”(1993) - praca dyplomowa Katarzyny Kozyry na warszawskiej ASP FOT. X

górnikiem albo rolnikiem z PGR – wszystko wydaje się możliwe. I dozwolone.

Dziś jest inaczej, a przynajmniej pojawiają się głosy, że powinno być inaczej. W środowisku artystek, kuratorów i krytyczek zmieniła się wrażliwość. I nie chodzi tylko o ruch #metoo, choć to skojarzenie jest w tym wypadku oczywiste. Perspektywa etyczna uległa zaostrzeniu, a etyka odgrywa znacznie większą rolę w rozmowach o sztuce.

Artysta-demiurg-prowokator nie może już wszystkiego nie tylko w opinii wykpiwane go jako „mieszkański” ogółu, ale też sporej części własnego środowiska. Znacznie więcej mówi się za to o warunkach pracy, również ekonomicznych.

Obok prób rozmawiania o odpowiedzialności za innych ludzi czy za wspólną przestrzeń – krytyka sztuki krytycznej w spektaklu Borczucha ciąży właśnie w stronę analizy stosunku artystów do rynku. Choć twórcy polskiej sztuki krytycznej końca XX wieku z automatami bywali określani jako lewicowi – głównie przez konflikt z narodowo-katolickim konserwatywnym głównym nurtem polskiego społeczeństwa – to ich stosunek do kapitalizmu był bardzo różny, od krytycyzmu do fascynacji.

Wątek ten w spektaklu słychać przede wszystkim w nieco groteskowym monologu postaci kojarzącej się z Jackiem Markiewiczem – artystą znanym z głośnej i oprotostowanej jako bluźniercza „Adoracji Chrystusa” i przedsiębiorcą (właścicielem hurtowni opakowań) – w jednej osobie.

„Odkąd mamy w Polsce wolność, ciągle jestem napalony. Wolność wyboru to głód seksu. Erekcja poprzez kolorowe etykiety. Wózek sklepowy kojarzy mi się z ruchaniem. Nie wiem czemu” – deklaruje grający tę postać Ka-

mil Pudlik, bombastyczność retoryki narasta, wchodzi z okrzykami w rodzaju „mój kutas nauczy Chiny ludowe kapitalizmu”.

Borczuch, Górniak i zespół aktorski Starego Teatru nie wchodzi jednak w rolę sędziów czy oburzonych aktywistów. Obracają raczej przedmiot swojej opowieści, patrząc na niego z wielu stron. W „Piramidzie zwierząt” jakby pokazywali nieprzystawalność przypominanej sztuki do momentu, w którym mówią.

I właśnie ta nieprzystawalność, trudność diagnozy, brak jednoznacznej oceny jest w przedstawieniu „Piramida zwierząt” najciekawsza – w czasach, gdy wszystko musi mieścić się w paru znakach na platformie X czy portalowym nagłówku. Pokazuje możliwość rozmawiania o sztuce zarówno bez bałwochwalczego zachwyty, jak i kaznodziejskiego oburzenia.

Próby aktualizacji sztuki sprzed trzydziestu lat wychodzą w spektaklu Borczucha najbardziej niechcąc. Powraca wątek Zbigniewa Libery, wchodzącego po jakiś czas na scenę z wielkim klockiem Lego – zastanawia się, co by tu zrobić z takich klocków. Gułag? Więzienie? To oczywiście odniesienie do głośnej pracy „Lego. Obóz koncentracyjny” z 1996 roku.

Aluzja do sztuki o Auschwitz wywołuje śmiech. Nieadekwatność potraktowania w ten sposób w spektaklu tematu sztuki zajmującej się Zagładą, można czytać jako nawiązanie do celowej nieadekwatności gestu Libery – zbudowania obozu śmierci z klocków. Później jednak ktoś na scenie zastanawia się, czy dzisiaj zamiast obozu koncentracyjnego zrobiłby z lego nowoczesny zestaw rakietowy dla izraelskiej armii.

Swoją drogą, to już druga w tym roku wypowiedź ważnego reżysera teatralnego w Polsce, w której stawia się pytania o klasykę polskiej

sztuki krytycznej odnoszącej się do pamięci Zagłady. O tym mówi też – choć w bardziej zniuansowany sposób – prawie niezauważony film Moniki Strzępki „Zaprawdę Hitler umarł”.

Czy sztuka wciąż jest ważna?

Sama „Piramida zwierząt” Kozyry powraca pod koniec spektaklu. Twórcy przedstawienia przypominają wspomniany już niedawny apel o pochowanie zwierząt z instalacji. Grający promotora Kozyry, Grzegorza Kowalskiego, Roman Garnarczyk czyta jego fragment w trakcie rozmowy w pociągu.

Coś tu się nie zgadza: dialog Kowalskiego i lekarza o apelu z 2024 roku rozgrywa się w przedziale dla pałacych, a przedziały takie zlikwidowano przecież 15 listopada 2010 roku – co do dnia piętnaście lat przed premierą Borczucha. Gdy w pierwszej scenie Kozyra–Zawadzka jedzie kolejną nad morze, za oknem przejeżdża wielokrotnie lokomotywa PKP Cargo – choć spółka ta powstała dopiero w 2001, w pokazywanym momencie wciąż istniało jedno niepodzielone PKP. Dworcowe megafony zapowiadają pociąg TLK, choć te połączenia powstały w roku 2005 – wtedy były po prostu pospieszne, osobowe i ekspresy.

I jasne, spektakl w Starym Teatrze to nie serial na Netflixie, w niczym te niedokładności przedstawieniu Borczucha nie przeszkadzają. Pokazują jednak odległość tamtych czasów – choć o tym, co pokazuje Borczuch, mówimy ciągle „sztuka współczesna”, to rekonstrukcja tamtego momentu nie jest prosta, powoli spowija się on mgłą dziejów.

W „Piramidzie zwierząt” jesteśmy ciągle między „wtedy” a „tam” – bo i przecież z jednej strony lata dziewięćdziesiąte dwudziestego wieku są już odległą historią, a z drugiej, patrząc chociażby na polską politykę – wcale nie chcą się skończyć. I jak pokazuje sukces „Rojsta” czy „Heweliusza” – wcale nie chcemy ich do końca pożegnać.

Spektakl kończy nostalgiczna dyskoteka – przez jakieś dziesięć minut aktorzy tańczą do muzyki „z epoki”, do Björk czy Anity Lipnickiej.

Dlaczego polski świat kultury tak często i intensywnie wraca dziś do Katarzyny Kozyry? To nie tylko przecież trwająca moda na „najtitsy”. Sam Stary Teatr dopiero co zaproponował artystce debiut reżyserski „Rewizją procesu Jezusa” – choć kameralny spektakl był wyjątkowo nieudany, to zarazem bardzo intensywnie promowany.

Wcześniej, w 2022 roku, Agnieszka Błomska zaprosiła Kozyrę do udziału w spektaklu „Orlando” w Teatrze Powszechnym. Wątek Kozyry pojawiał się też w przedstawieniu „Jezus” Jędrzeja Piaskowskiego z warszawskiego Nowego Teatru z 2019 roku. Po pracy Kozyry sięgał też niedawno chociażby artysta wizualny Sebastian Winkler, urodzony w roku powstania „Piramidy zwierząt”, który zrobił z artystką wspólną wystawę w warszawskiej galerii Whoispolo.

Dorobek Kozyry jest przecież znacznie bogatszy niż ta dyplomowa instalacja sprzed 32 lat. Sama Katarzyna Kozyra wciąż jest aktywna, prowadzi fundację wspierającą inne artystki – także z Ukrainy i innych krajów Europy Wschodniej.

Chodzi tu chyba nie tylko o tę konkretną artystkę z jej pełną drastycznych tematów biografią – osobistą i twórczą. Katarzyna Kozyra symbolizuje czas, gdy sztuka wiele znaczyła, gdy budziła wielkie emocje i gdy toczyły się o nią w głównym nurcie intensywne – nawet jeśli niesprawiedliwe – dyskusje.

Czas taki trudno dziś sobie wyobrazić. Jest w tym pewna melancholia. Ale także wyzwanie – znów jesteśmy w czasach szybkich przemian. Jak odpowie na to sztuka? ●

• Korzystałem m.in. z książki Jakuba Dąbrowskiego i Anny Dementko „Cenzura w sztuce polskiej po 1989”, książki Artura Żmijewskiego „Drżące ciała. Rozmowy z artystami” oraz z archiwum Ośrodka Dokumentacji i Zbiorów Programowych TVP

Z **ALEKSEM WOOLLEY'EM**,
NAUCZYCIELEM JĘZYKA ANGIELSKIEGO,
ROZMAWIA **EDYTA BRYŁA**

Dobrze, gdy nauczyciele angielskiego są kreatywni, ale przedstawiać się uczniom jako „przechuj”?

– Tak dokładnie, przechuj w przeklinaniu po polsku. To moja nisza. Jestem obcokrajowcem, który bardzo płynnie przeklina po polsku.

Nasze przekleństwa szczególnie cię fascynują?

– Są bardzo zabawne. Uwielbiam zwłaszcza wyrażenie: „Chuj w bombki strzelił, choinki nie będzie”. Jest genialne. Arcydzieło języka polskiego. Jest w tym tragizm, bo nie ma choinki, ale pomyśl, że została zniszczona przez penisa, to jedna ze śmieszniejszych rzeczy, jakie słyszałem.

Polskie przeklinanie jest niesamowicie kreatywne w porównaniu z angielskim. Może dlatego, że struktura gramatyczna polskiego jest bardziej elastyczna. Ze słowa „pierdolić” można utworzyć 50 różnych czynności, choćby „zapierdalać”, „wypierdalać”, „opierdalać”. W angielskim to niemożliwe.

Poza nagraniami na swoim kanale na Instagramie dużo przeklinasz?

– Nie. Większość moich rozmów odbywa się albo w pracy, albo z pięciolatką lub dwulatką, więc nie ma aż tylu sytuacji, w których przeklinanie byłoby odpowiednie. Zanim miałem dzieci, też nie przeklinałem ponad normę. Ale nie jestem temu przeciwny.

Zarabiasz na tych filmikach?

– Jeszcze nie. Choć wszyscy moi uczniowie, których uczę angielskiego, dotarli do mnie przez Instagrama. Ale głównym celem jest, bym mógł zostać zawodowym influencerem. Niewiele mi brakuje, by zainteresowały się mną różne firmy.

To nie chodzi ci o to, żeby być najlepszym nauczycielem i aby Polki i Polacy mówili perfekcyjnie po angielsku?

– Nie, to byłoby straszne, bo jak bym wtedy zarabiał na rodzinę, gdyby wszyscy mówili tak dobrze? Poza tym nie wierzę, że jest możliwe, aby osoby niebędące native speakerami mówiły perfekcyjnie po angielsku.

Ale my lubimy wierzyć, że tylko do tego warto dążyć!

– To prawda. Myślę, że w głowach Polaków C2, czyli najwyższy w skali poziom, to normalny poziom, a wszystko poniżej C2 jest złe. To nieprawda i to nie jest realistyczny cel dla większości ludzi. 99 procent nigdy nie osiągnie C2.

Czy ja jestem na C2?

– Być może...

Na pewno jestem!

– Większość ludzi zawsze będzie popełniać jakieś błędy. Oczywiście, kiedy pracuję z moimi uczniami, pomagam im popełniać ich mniej, rozumieć błędy, aby mogli się poprawiać. Nawet native speakerzy popełniają błędy, gdy są na przykład zmęczeni. Powtarzam, 100 procent perfekcji to nie jest realistyczny cel. Ale myślę, że można nauczyć się być pewnym swojego angielskiego bez jego perfekcyjności.

To znaczy, że możemy czuć się pewni swojego angielskiego nawet na poziomie B1 czy B2? W sumie wielu ludzi już to robi – jak wszyscy Hiszpanie.

– Tak, myślę, że Hiszpanie są pewni siebie z poziomem A1.

Powiedziałbym, że niezależnie od poziomu brak pewności siebie nie jest pomocny. Zabłokuje cię, utrudni mówienie i utrudni naukę, bo jeśli się stresujesz, o wiele trudniej jest się uczyć. I powiedziałbym, że jeśli masz poziom B2, powinno się spróbować osiągnąć C1. A je-

śli masz B1, powinno się próbować osiągnąć B2. Ale uczniowie powinni też zaakceptować, że ten cel osiągną za rok albo jeszcze później, a w międzyczasie powinni się nauczyć żyć ze swoim angielskim takim, jaki jest.

Jak nauczyć ludzi żyć ze swoim angielskim takim, jaki jest?

– Przez bycie miłym. Ludzie, którzy mnie znają z Instagrama, nie spodziewają się bardzo formalnej formuły lekcji, więc pewnie łatwo się odprężają.

Myślę, że wszyscy, którzy do mnie przychodzą, zostali strauumatyzowani przez polskich nauczycieli angielskiego w liceum. Gdy do mnie przychodzą, zawsze przeprasza, że robią błędy. Ja im na to: „Przecież mówno mnie to obchodzi”. Właściwie z mojej perspektywy najgorsze, co może się zdarzyć, to jeśli ktoś przyjdzie i nie popełni żadnych błędów, bo moje lekcje nie są tanie, a oni zapłacili mi za nic. Lepiej dla mnie, jeśli ludzie popełniają błędy.

Ale trudno jest przezwyciężyć wstyd.

– Trzeba się z tym pogodzić, że zawsze będziesz popełniać błędy.

Wziąłem kiedyś udział w kursie nauczania angielskiego w British Council i byli tam nauczyciele polscy i native speakerzy. Prowadzący zapytali nas, czy uważamy, że jest możliwe, aby obcokrajowcy nauczyli się mówić po angielsku jak native speakerzy? I każdy polski nauczyciel angielskiego powiedział „tak”, a wszyscy brytyjscy nauczyciele angielskiego powiedzieli „nie”.

Na miejscu tych polskich też bym się bała powiedzieć, że nie nauczę kogoś mówić do perfekcji.

– Ale to nie do osiągnięcia. Myślę, że wielu polskich nauczycieli szczerze wierzy, że brzmią całkowicie jak native speakerzy, więc będą umieli nauczyć tego innych. Problem w tym, że na bardzo wysokim poziomie, jeśli nie jesteś native speakerem, trudno jest usłyszeć różnicę.

Widzę wielu polskich nauczycieli angielskiego, którzy uważają nawet, że mogą nauczyć cię, jak mówić po angielsku z perfekcyjnym brytyjskim lub amerykańskim akcentem, choć sami takiego nie mają. Jest jedna nauczycielka angielskiego na Instagramie, o której myślałem, że ma jakąś niepełnosprawność, z powodu bardzo dziwnego, nie-naturalnego sposobu, w jaki mówiła po angielsku. Potem zrozumiałem, że brzmi tak dlatego, że bardzo stara się brzmieć jak Brytyjka.

Wolałbym, aby ludzie wyzwolili się z tej presji. Pomyśleli: „Nigdy nie będę idealny, więc mój angielski jest okej taki, jaki jest”, zamiast myśleć, że perfekcja jest tym, do czego muszę dążyć.

Ciekawe, że z treści, które publikujesz w internecie, nie da się nauczyć absolutnie niczego.

– Wielu ludzi w Polsce mówi mi, że uczy się z moich rolek nowych przekleństw.

Okej, przez pierwszy rok rzeczywiście moje treści koncentrowały się na nauczaniu angielskiego. Przyniosło mi to około 10 tysięcy obserwujących. Ale potem serwisy społecznościowe stały się o wiele trudniejsze. Liczby osób korzystających z Instagrama, TikToka i Facebooka pozostawały mniej więcej takie same, ale przybywało twórców i twórczyń.

Do tego tworzyli coraz więcej coraz lepszych treści, bo mieli coraz więcej doświadczenia, kopiowali innowacje innych, technologia się poprawiała. Coraz więcej ludzi korzysta nie tylko z telefonów, ale też z gimballi czy mikrofonów. I przychodzą wciąż nowi ludzie, bardziej utalentowani.

W związku z tym większość nauczycieli angielskiego w Polsce odnotowała ogromny spadek wyświetleń i interakcji pod koniec 2023 roku, a w 2024 roku zrobiło się naprawdę trudno. Jest tylko kilku nauczycieli angielskiego w Polsce, którzy są – powiedziałbym – wciąż bardzo skuteczni. Grammar Mama jest najbardziej oczywistym przykładem. Ale ci ludzie są niesamowicie charyzmatyczni i nie jestem pewien, czy mogę ich w tym pokonać.



Wszyscy, którzy do mnie przychodzą, zostali strauumatyzowani przez polskich nauczycieli angielskiego

skiego w Polsce, którzy są – powiedziałbym – wciąż bardzo skuteczni. Grammar Mama jest najbardziej oczywistym przykładem. Ale ci ludzie są niesamowicie charyzmatyczni i nie jestem pewien, czy mogę ich w tym pokonać.

Ale gdy utkniesz w miejscu, najlepiej jest eksperymentować, próbować wielu różnych nowych rzeczy. Większość z nich się nie powiedzie, wręcz jeszcze obniży ci wyniki, ale w końcu znajdziesz taką, która będzie działać lepiej.

Tak było z rolką, w której tłumaczyłem różne angielskie zwroty na polski i każde polskie wyrażenie po przetłumaczeniu zawierało słowo „chuj”. To były zwroty jak „ni chuja”, „na chuj”, „w chuj” itd.

Ta rolka miała około dwóch milionów wyświetleń na samym Instagramie, udostępnił ją nawet profil Make Life Harder. Przybyło mi jakieś 6 tysięcy nowych obserwujących. Po

tym sukcesie poszedłem za ciosem i zacząłem robić więcej rolek z „jebać”, „pierdolić” itd. I tak to trwa aż do dzisiaj.

Dlaczego tak dobrze to zadziałało?

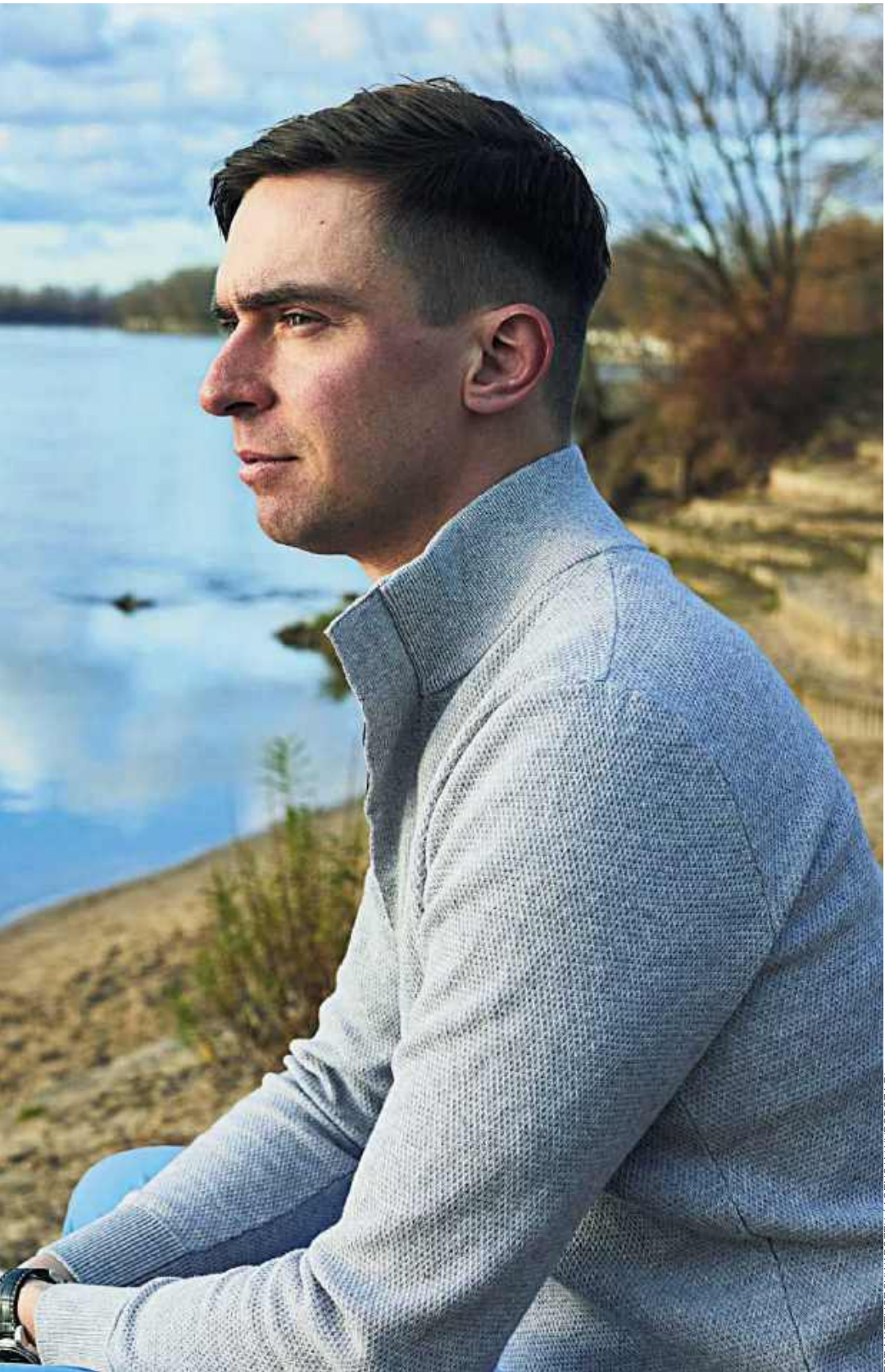
– To bardziej pytanie do narodu polskiego niż do mnie. Moją filozofią zawsze było robienie tego, co działa. To nie moja osobista preferencja, by prowadzić kanał o polskich przekleństwach, ale coś, co z jakiegoś powodu Polki i Polacy absolutnie uwielbiają.

Nagrywałbyś cokolwiek, co nam się spodoba?

– Nie nagrałbym nic rasistowskiego czy homofobicznego, choćby mi to miało przynieść ogromny sukces.

Ale poza tym jestem w stu procentach skoncentrowany na tym, co moim zdaniem najpierw zdobędzie wyświetlenia, potem zaangażowanie, a następnie nowych obserwujących.

Polskie przeklinanie jest niesamowicie kreatywne



FOI/MAŁEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

cych. Poświęcam dużo czasu na analizę, co mi daje dobre wyniki.

W różnych momentach Instagram uważa różne rzeczy za ważniejsze, więc jeśli chcesz, by twoje treści docierały szeroko, musisz się temu przyglądać. Wśród powodów zepsucia się profili nauczycieli angielskiego na portalach społecznościowych w 2023 roku jest również to, że do tamtego czasu premiowane było zapisywanie treści przez odbiorców. Instagram to uwielbiał. A treści edukacyjne ludzie zapisują chętnie.

Ale potem Instagram zmienił zdanie, zapisywanie przestało mieć znaczenie, a premiowane były udostępnienia. Tylko że nikt nie udostępnia treści edukacyjnych.

Aż zeszłego lata superważny stał się stosunek długości wideo do całkowitego czasu oglądania. Jeśli zrobiłaś wideo, które – powiedzmy – trwało sześć sekund, a do tego umieściłaś tekst, którego przeczytanie zajmowało osiem lub dziewięć sekund, algorytm to uwielbiał.

Dlatego jednym z hitów było nagranie z plecami mojej córki – nigdy nie pokazałbym jej twarzy – z tekstem o uroczym dwujęzycznym dziecku. Było to niebywale skuteczne.

Potem to też zostało zepsute, bo ludzie w końcu zdali sobie sprawę z tego, że można zrobić jednosekundowe wideo, a potem, na-

wet jeśli ktoś zatrzymywał je na trzy sekundy, żeby przeczytać tekst, algorytm widział to jako obejrzenie wideo trzy razy, wnioskował, że musi być genialne i promował je. Wtedy Instagram wypełnił się okropnymi jednosekundowymi wideo, które istniały tylko po to, by oszukać algorytm. Instagram zaczął więc bardziej priorytetowo traktować po prostu całkowitą długość oglądania.

A treść ma znaczenie?

– Dużo! Bo jedną z najważniejszych rzeczy jest jeszcze współczynnik pominięcia (skip rate). Czyli ile osób ogląda rolę dalej po pierwszych trzech sekundach. Więc to bardzo ważne, aby przyciągnąć uwagę ludzi w pierwszych kilku sekundach.

I – jak mówiłem – ważny jest całkowity czas oglądania. Ale sposób na osiągnięcie tego nie polega koniecznie na tym, żeby mieć długie nagrania. Właściwie to może być kontrproduktywne, bo jeśli zrobisz – powiedzmy – 60-sekundowe wideo, które jest nudne lub powolne, to nikt go nie skończy oglądać. A jak algorytm zobaczy, że prawie nikt nie kończy oglądać, zinterpretuje to jako coś negatywnego i obetnie zasięgi.

A potem trzecią i czwartą najważniejszą rzeczą są współczynnik polubień i współczynnik udostępnień, co w stu procentach zależy od jakości treści wideo.

Jak się tego wszystkiego nauczyłeś?

– To częściowo pochodzi z oficjalnych kont samego Instagrama. Ufam im znacznie bardziej niż ekspertom od portali społecznościowych na Instagramie, bo większość to moim zdaniem naciągacze.

Po drugie, musisz patrzeć na statystyki swoich postów i wyciągać wnioski.

Lubię proces twórczy. Zawsze chciałem zawodowo robić coś kreatywnego. Gdy byłem młodszy, chciałem być pisarzem. Nie zostałem nim, ale z moich rolek, ze swoich zdolności do ich tworzenia też jestem dumny. To jest część mojej pracy, którą bardzo lubię i na którą czekam, poza samym filmowaniem, którego nienawidzę.

A najlepszym etapem jest publikacja i reakcje. Uwielbiam, jak ludzie mówią mi, jak śmieszne są moje rolki.

Nie wszystkim się podobają.

– Trochę kontrowersji zawsze się przydaje. W serwisach społecznościowych jesteś nikim, jeśli nie masz hejterów.

Krytyka nigdy cię nie boli?

– Osobiście nie mam tak źle, bo jestem mężczyzną. Moja koleżanka Paulina, która prowadzi konto Inglisz Ticzera, dostaje o wiele gorsze komentarze niż ja. Dużo ludzi pisze okropne rzeczy głównie na temat jej wyglądu. Rzeczywistość jest taka, że serwisy społecznościowe są dla kobiet znacznie bardziej brutalne.

Dla mnie pewien poziom negatywnych komentarzy jest wręcz dobry, bo kiedy ludzie widzą coś, co może być kontrowersyjne, prawdopodobnie wejdą w komentarze i zaczną czytać, a to zwiększa czas oglądania.

Po drugie, jeśli ludzie nie lubią twoich treści, te negatywne emocje są silniejsze niż pozytywne. Przez to są bardziej skłonni niż ludzie, którzy mnie lubią, obejrzyć całość, bo kochają czuć się rozczłosczeni. I najprawdopodobniej zostawią wściekły komentarz, co również napędza zaangażowanie. A co jest jeszcze lepsze, to to, że twoi fani odpowiadają na ich komentarze, co zaczyna dużą kłótnię, a to pod kątem optymalizacji konta już jest wspaniałe.

Oczywiście chcesz, żeby większość ludzi cię lubiła. Nie chcę skończyć jak Andrew Tate, którego wszyscy nienawidzą, ale pewien poziom kontrowersji wokół twoich postów jest skuteczny.

Czasem krytykują cię za wyśmiewanie Janusza Korwin-Mikkego.

Za wyśmiewanie starego człowieka.

– Cóż, to prawda, śmieję się z Korwina. Nigdy bym się nie śmiał z innego starszego mężczyzny mówiącego źle po angielsku, ale dla Korwina robię wyjątek. Kiedy jesteś osobą publiczną, musisz być otwarta na pewien poziom łagodnej krytyki.

Pewnie masz na myśli nagranie dotyczące Korwina opowiadającego, że kobiety są znacznie mniej inteligentne niż mężczyźni. A ja mówię, że nierozsądnie byłoby mówić publicznie, że kobiety są intelektualnie gorsze od mężczyzn, i jednocześnie uważać własne zdolności za niepodlegające krytyce.

Nie sądzę, że byłem dla Korwina aż tak wredny. Komentujący tę rolę byli dla niego znacznie bardziej niemili. Ja tylko powiedziałem, że popełnił dużo błędów w angielskim i że jakaś tłumaczka mogłaby mu pomóc – bo to prawda.

Dlaczego Krzysztof Krawczyk jest w twoich rankingach w pierwszej czwórce największych Polaków?

– Lubię Krzysztofa Krawczyka i moje córki go lubią. Gdy mają napad złości i chcę, żeby się rozweseliły, na przykład w samochodzie, Krzysiu Krawczyk to najlepsza do tego muzyka. Natomiast nie wiem nic o jego życiu.

Poza tym według mnie to zabawne umieścić Krawczyka na szczycie rankingu. Naczelną zasadą wszystkich moich treści jest to, czy są śmieszne, a nie to, czy mają jakiś głębszy sens. Ewentualnie patrzę, czy będą lekko kontrowersyjne, czy znajdą się ludzie, którzy choć trochę się ze mną nie zgodzą. Dlatego na przykład w rankingu pięciu najlepszych polskich miast celowo pominąłem Gdańsk, bo wiedziałem, że mnóstwo ludzi w komentarzach będzie pisało: a gdzie Gdańsk? Zadziałało bardzo dobrze.

Ale rozważam odejście od przeklinania, bo właściwie jaka marka chciałaby ze mną współpracować? Mam więc teraz zasadę, że tylko co druga rolka jest z przekleństwami.

A co druga o Polkach i Polakach.

Na przykład o tym, że najbardziej ze wszystkiego lubimy narzekać.

– A także dziwić się, że chleb jest drogi.

Czasem próbujesz być polityczny.

– Wszyscy, którzy mnie obserwują, wiedzą, że jestem dość liberalny. Często żartuję z homofobów, bo jestem pro-LGBT, ale także dlatego, że uważam, że homofobia jest z natury zabawna. Wyobraź sobie, ktoś poświęca znaczące zasoby umysłowe na denerwowanie się z powodu jednego mężczyzny wkładającego penisa w tyłek drugiego mężczyzny. To jest z natury przeżabawne. Nie lubię homofobów, ale uważam też, że są łatwym celem żartów.

Chętniej śmiejesz się z polityków polskiej prawicy, ale jesteś też dla nich dość pobłażliwy.

– Mam słabość do Andrzeja Dudy. Nie zgadzam się z nim w wielu kwestiach, ale on ma tę aurę menedżera oddziału banku, który przez pomyłkę został prezydentem. Nie chciałem, żeby mu się powiodło ze względu na jego poglądy, ale jednocześnie chciałem go przytulić i powiedzieć: „Nic się nie stało, Andrzej, możesz wracać teraz do swojego banku”. Za to Nawrockiego bardzo nie lubię.

Dlaczego chcesz mieszkać w Polsce?

– Podoba mi się tu. Niepopularna opinia, ale lubię Zakopane. Lubię jazdę samochodem po Warszawie. Chciałbym nie podawać oklepnych odpowiedzi, ale nie ma wyjścia, lubię też polskie jedzenie. Gołąbki są doskonałe. Lubię też polskie góry. Swoją drogą, wszyscy w Wielkiej Brytanii myślą, że Polska jest płaska! Lubię filozofię polskich gór, macie wyznaczone trasy, schroniska. A gdy chodzisz po górach u nas...

To Wielka Brytania nie jest płaska?

– Przymknij się, Ben Nevis, nasza największa góra, to około połowy wysokości Rysów, ale odległość od podstawy Morskiego Oka do szczytu Rysów jest mniej więcej taka sama.

No więc gdy chodzisz po górach u nas, ludzie uważają, że jeśli nie radzisz sobie z górą sam, bez choćby miejsc na odpoczynek i tablic informacyjnych, to zasługujesz, by tam zginąć. Oczekuje się, że wszystko masz rozgryźć sama.

Życie tu jest naprawdę dobre. Czuję, że Polska jest na bardzo pozytywnej trajektorii. W Wielkiej Brytanii utknęliśmy w rozwoju w 2008 roku, a teraz ludzie są coraz bardziej wściekli. A nie możesz porównać dzisiejszej Warszawy z tą sprzed pięciu lat, bo życie tu ciągle się poprawia. ●

Aleks Woolley

• nauczyciel angielskiego z Wielkiej Brytanii, w Polsce uczy od 2015 roku. Jego żona jest Polką, mają dwie dwujęzyczne córki. Zna tekst każdej piosenki Taylor Swift, lubi biegać i podnosić ciężary.

CI DYWERSANCI Z EPISKOPATU



Polscy biskupi powiedzieli publicznie, że Niemcy, twórcy narodowego socjalizmu, sami stali się jego ofiarą. To była herezja. Władze PRL-u ruszyły do ataku

Anna Wolff-Powęska*

Wtym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu wyciągamy do Was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru [Watykańskiego II], nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie". Słowa te kończyły „Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim”, przekazane z datą 18 listopada 1965 r. List, którego pomysłodawcą był arcybiskup wrocławski Bolesław Kominek, odbiegał diametralnie od dotychczasowej narracji w stosunkach polsko-niemieckich. Obok krzywd wyrządzonych przez niemieckich sąsiadów wymieniono krzywdy przez nich doznane, jak m.in. przymusowe wysiedlenia z ziem, które po 1945 r. przypadły Polsce.

Podpisane przez 36 biskupów Orędzie przełamywało dotychczasowe tabu, odwoływało się do korzyści, jakie

niosło w ciągu minionych wieków sąsiedztwo z Niemcami. Podkreślało rangę przynależności Polski do zachodniego kręgu cywilizacyjnego. Wzywało do dialogu: „Jeśli Wy – biskupi niemieccy i Ojcowie Soboru – po bratersku wyciągnięte ręce ujmiecie, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze Millennium [tysiąclecie państwa polskiego] w sposób całkowicie chrześcijański”.

Wbrew ogólnym ówczesnym trendom List eksponował to, co w tysiącletnich dziejach łączyło sąsiadów. Jego sygnatariusze wyłamywali się w swym opisie dziejów polsko-niemieckich z pokazywania ich jako „nieprzerwanej walki z naporem germańskim”. Po raz pierwszy dali publicznie wyraz przekonaniu, że Niemcy sami stali się ofiarą narodowego socjalizmu.

Czynnikiem o niebagatelnym znaczeniu była osobowość Bolesława Kominka, jego autorytet moralny i intelektualny. Rozumiał on jak mało kto w polskim Kościele nabrzmiałe problemy polsko-niemieckie.

Kiedy obejmował swój urząd, władze świeckie wprowadziły już własny porządek. Śląskie plebanie traktowane były przez kierownictwo partyjne jako „kłębowisko hitlerowskich żmij”, a księża niemieckich na Śląsku uznano za „ostoję ducha germańskiego”. Jako pierwszy administrator apostolski na Śląsku Opolskim (1945-51), pełniący funkcję duszpasterza Polaków, Niemców i Ślązaków, miał Bolesław Kominek do czynienia na co dzień z najbardziej ludzką stroną konfliktu. Może dlatego uznał, że wcielenie w życie uchwał soborowych powinno rozpocząć się od po-

konania bariery nienawiści dzielącej Polaków i Niemców?

Abp Kominek był również prekursorem zmian w polsko-niemieckich stosunkach kościelnych. Jako jeden z pierwszych zaczął mówić o niemieckim dziedzictwie. W przeciwieństwie do prymasa Stefana Wyszyńskiego, który przemilczał niemiecką historię Wrocławia, Kominek stwierdzał:

„Staramy się szanować wszystko, co miłego, dobrego i twórczego zachowało się z lat przedwojennych (...), życzymy sobie szczerze, by polska rzeczywistość Ziemi Zachodnich łączyła nie tylko wszystkich członków naszego narodu, ale torowała drogę zrozumienia i pokoju z naszymi sąsiadami – przede wszystkim z tymi, którym nie wywołany przez nas bieg wypadków wojennych odebrał te ziemie”.

Nie znalazł jednak ani po stronie polskiej, ani niemieckiej zrozumienia. W próżnię trafiło jego stwierdzenie: „Jesteśmy przede wszystkim ludźmi i chrześcijanami, dopiero potem Niemcami i Polakami”.

Charakter i zakres recepcji Listu biskupów polskich można w pełni zrozumieć dopiero w kontekście klimatu stworzonego przez Sobór Watykański II. Istotę ducha soborowego wyjaśniał zaś Bolesław Kominek jako uczestnik obrad Soboru. Już w tekście „Dialog Niemiec z Polską? Myśli i wnioski” z października 1965 r. w rozdziale „Dialog w miejsce polemiki” wyrażał głęboką troskę o to, by zasady ewangeliczne stosować w kontaktach międzyludzkich i międzynarodowych. Nie tylko wyjaśniał duchowe korzenie Orędzia, ale powoływał się również na swego nauczyciela. Był nim papież Paweł VI.

Papież sformułował warunki dialogu. Nakazywał poszanowanie godności i wolności partnera tej pogłębionej rozmowy. Apel skierowany do każdego z nas głosił, że musimy być inicjatorami dialogu, nie liczyć na innych, nie lękać się granic i nie oczekiwać w dialogu tylko własnych korzyści.

Dialog to bowiem wzajemność. Pragnąc odnowy świata chrześcijańskiego i mając jednocześnie świadomość oporu ludzkiej natury przed wszelkimi zmianami, nawoływał do traktowania dialogu jako ciąglego procesu. Spotkanie ludzi i skonfliktowanych społeczeństw ma służyć przygotowaniu „wspólnoty uczuć i poglądów”, być instrumentem jednoczenia umysłów i zbliżenia duchowego.

Celem dialogu jest poszukiwanie prawdy i pokoju między ludźmi. Dlatego dialogowi towarzyszyć winny rzeczowość i przejrzystość języka, minimum wiedzy o sobie, wzajemne zaufanie, koncentrowanie się na tym, co wspólne i co łączy, a także skromność.

List biskupów spotkał się z gwałtowną reakcją władz partyjnych i państwowych. Prymasowi Polski cofnięto paszport, nie dopuszczono do przyjazdu na uroczystości milenijne papieża Pawła VI. Władysław Gomułka w wystąpieniu kończącym obchody państwowe 17 kwietnia 1966 r. zaatakował prymasa Wyszyńskiego:

„Ten wojujący z naszym państwem ludowym nieodpowiedzialny pasterz pasterzy, który głosi, że nie będzie się korzył przed polską racją stanu, stawia swoje urojone pretensje do zwierzchnictwa duchowego nad narodem polskim wyżej niż niepodległość Polski”.

Niemal za zdradę polskiej racji stanu uznano wzmiankę o „cierpieniach milionów uchodźców i przesiedleńców niemieckich” oraz przyznanie, że Polska wyszła z wojny „nie jako zwycięskie, ale krańcowo wyczerpane państwo”.

Kościół został potępiony jako wyraziciel niezdrowych kompleksów niższości wobec Niemców i sprawca dywersji wobec interesów narodu polskiego. Za odstępstwo od przyjętej normy zostało uznane umieszczanie Polski w kręgu cywilizacji łacińskiej. Mówienie o wspólnotcie Polski z chrześcijańską rodziną narodów zachodnioeuropejskich potraktowano jako atak na ustrój naszego kraju.

Tymczasem prośba o wybaczenie stanowiła próbę odejścia od rozrachunkowego nurtu myśli politycznej, kierującego się przekonaniem, że nie ma ludzi niewinnych, i rozpoczęcie dialogu z Niemcami. W lutym 1966 r. Episkopat tłumaczył: „Nawet gdyby jeden jedyny Polak okazał się człowiekiem niegodnym, gdyby jeden jedyny w ciągu historii spełnił czyn niegodny, już mielibyśmy powód do wyrażenia »przepraszamy«, jeśli chcemy być narodem ludzi szlachetnych, narodem lepszej przyszłości”.

Oceniając wymowę Orędzia w wymiarze doraźnym, trzeba stwierdzić, że nie wyznaczyło ono przełomu w stosunkach między obu społecznościami, które okazały się nieprzygotowane do dialogu, a tym bardziej do pojednania. Orędzie powstało w próżni społecznej. Ani bowiem polskie, ani niemieckie społeczeństwo nie było gotowe na symboliczne chociażby pojednanie.

20 lat po wojnie wszystko oba narody dzieliło. To, co dla Polaków oznaczało granicę zachodnią, dla Niemców było linią Odry, Nysy, ziemie odzyskane dla Polaków były dla Niemców ziemiami utraconymi lub pod tymczasową polską administracją. Przymusowo wysiedleni z terenów wschodnich Niemcy dla rodaków byli wypędzonymi.

Dla obywateli RFN to Rosjanie byli zwycięzcami, Żydzi ofiarami, Polacy zaś jedynie zaborcami wschodnich ziem niemieckich. Polacy chcieli rozpamiętywać przeszłość, Niemcy chcieli zapomnieć.

Wraz z Listem biskupów do polityki wkroczyło jednak myślenie chrześcijańskie, przebaczenie nie jest však kategorią polityczną. Motyw pojednania jako nakaz moralny inspirował na przełomie lat 60. i 70. socjaldemokratów niemieckich. Główni inicjatorzy i aktorzy procesu jednania reprezentowali generację wojenną.

W Niemczech to Hans Koschnick, Helmut Schmidt, Hans-Dietrich Genscher, Richard von Weizsäcker. W Polsce to generacja ludzi z numerem obozowym na rękę i ich rówieśników, która miała najwięcej do wybaczenia, podjęła trud dialogu: Władysław Bartoszewski, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Stanisław Stomma, Mieczysław Pszon. Wykazali oni odwagę w polityce wewnętrznej, aby zyskać wiele w polityce zagranicznej.

◀ **Willy Brandt, kanclerz RFN (1969-74), klęczy przed Pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie, 7 grudnia 1970 r.**

FOT. PAP/JANUSZ ROSIKOŃ

Klimat odprężenia tworzyły inicjatywy świeckich elit katolickich i ewangelickich po obu stronach granicy. Kontakty międzyludzkie, małe kroki zbliżenia podejmowane przez ludzi z Pax Christi, Bensberger Kreis, Akcji Znak Pokuty zbliżały do pojednania w dialogu. Twórca Akcji Lothar Kreyssig zwracał się do rodaków: „Poprośmy narody, które doznały od nas przemocy, aby nam pozwoliły naszymi rękoma i przy użyciu naszych środków uczynić coś dobrego, postawić znak pojednania”.

Erich Busse, pastor i organizator nabożeństw pokojowych jesienią 1989 r. w Berlinie, miał 18 lat, gdy w 1968 r. pierwszy raz udał się do Polski. Był poruszony życzliwością ludzką i brakiem nienawiści. Doszedł do wniosku:

„Dla mnie nie ma żadnej różnicy między drutem kolczastym obozu koncentracyjnego a drutem kolczastym na murze berlińskim. Ale to jest logiczne i sprawiedliwe. To Niemcy najpierw otoczyli drutem kolczastym innych ludzi. I drut kolczasty wrócił do Niemiec, tak jak wojna. I teraz my jesteśmy otoczeni drutem kolczastym we własnym kraju”.

Pojednawcze gesty zainicjowane przez Kościół zaowocowały nową polityką wschodnią. Układ o podstawach normalizacji między Polską a RFN otwierał drogę do porozumienia obu społeczeństw. Podpisując traktat o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków, kanclerz Willy Brandt musiał się jednak liczyć z oporem własnej społeczności.

Jeszcze w 1967 r. 35 proc. społeczeństwa zachodnionieemieckiego nie akceptowało granicy na Odrze i Nysie. Podpisanie traktatu oznaczało ostateczną rezygnację z żądań niemieckich przesiedleńców. Przyklęknienie kanclerza przed Pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie 7 grudnia 1970 r. oznaczało gest pokory, ekspresję ludzkich uczuć. Klękanie nie mieści się bowiem w protokole wizyt państwowych, a przebaczenie nie stanowi kategorii politycznej.

Kanclerz Niemiec stwierdził wówczas m.in.: „Musimy (...) uznać moralność za siłę polityczną. Moralność

Kardynał Bolesław Kominek pisał: „Jesteśmy przede wszystkim ludźmi i chrześcijanami, dopiero potem Niemcami i Polakami”. Nie znalazł zrozumienia ani wśród Polaków, ani wśród Niemców

i chrześcijaństwo nie mogą zastąpić polityki, ale mogą dostarczać jej inspiracji i impulsów. Te zaś nie powinny być tak ogólne i niewiążące, jak odpowiedź niemieckich biskupów na polski list”.

Wspominając u schyłku życia tamte wydarzenia, Brandt tłumaczył: „Wobec otchłani niemieckiej historii i brzemienia cierpień milionów zrobiłem to, co czynią ludzie, gdy zawodzą słowa”.

Efekty strategii „małych kroków” można było dostrzec w momencie przełomu. W 1989 r. udział Jerzego Turowicza i Stanisława Stomny w obradach Okrągłego Stołu, objęcie przez Tadeusza Mazowieckiego, związanego od początku z ruchem Znak i miesięcznikiem „Więź”, urzędu pierwszego premiera w suwerennej Polsce, otwarcie przez Stomnę, senatora i marszałka seniora, obrad pierwszego w wolnej Polsce Senatu, udział Mieczysława Pszona w przygotowaniu traktatów polsko-niemieckich, a także udział Krzysztofa Kozłowskiego w rządzie Mazowieckiego - to tylko niektóre przykłady przeobrażeń, pozwalających dostrzec, że wartości reprezentowane przez to środowisko okazały się w pierwszym etapie budowania nowego partnerstwa polsko-niemieckiego zwycięskie.

Krzysztof Skubiszewski, pierwszy minister spraw zagranicznych demokratycznej Polski, podkreślił, że pojednanie obu narodów jest ważne dla Europy i wskazane przede wszystkim z przyczyn moralnych: „Ciężkie zbrodnie i cierpienia czasów wojny odchodzą w przeszłość, szczególnie w perspektywie nowych, młodych pokoleń. Trzeba o tym pohańbieniu pamiętać

jak o wielkiej przestrodze, nie zaś jako źródle niechęci, uprzedzeń, a nawet nienawiści”.

Kiedy kard. Joseph Ratzinger wspominał wydarzenia lat 1989-90, podkreślał znaczenie ówczesnego porozumienia polsko-niemieckiego opartego na duchowym i moralnym fundamencie: „Wolnościowy dźwięk trąb okazał się silniejszy od murów (...). I jeżeli nawet nie wolno nam nazbyt bezpośrednio umieszczać Boga w tej grze, to jednak nie da się zaprzeczyć, że wiara w Boga, a przynajmniej pytanie o Boga miały niebagatelny wpływ na intonację owego zwiastującego wolność dźwięku trąb”.

60 lat po deklaracjach przebaczenia i pojednania nasuwa się pytanie, co pozostało z tamtych idei. „Relacje polsko-niemieckie [są] w krytycznym punkcie. Coraz mniej wiemy o sobie nawzajem”; „Stoimy obecnie przed rumowiskiem w stosunkach polsko-niemieckich” - pisał niedawno w „Wyborczej” znakomity niemcoznawca, prof. Leszek Żyliński.

Ten gorzki bilans jest z całą pewnością uzasadniony. Warto więc zapytać, dlaczego, skoro jeszcze niedawno było tak dobrze, dzisiaj jest tak źle. Odpowiedź jest złożona. Z pewnością w trzeciej dekadzie XXI wieku zmieniły się priorytety zarówno w polskiej, jak i w niemieckiej polityce zagranicznej. Trudna sytuacja międzynarodowa, w szczególności wojna w Ukrainie, i coraz bardziej ekspansywna polityka Rosji kieruje uwagę na sytuację na wschód od Polski.

Największą stratą w normalizacyjnym procesie relacji polsko-niemieckich było jednak propagandowe unicestwienie, degradacja ludzi i osiągnięć, którzy w pierwszej dekadzie XXI wieku zaangażowali się w budowanie dobrosąsiedzkich stosunków. Odeszli ojcowie pojednania.

Nowe otwarcie dla demokracji po 1990 r. postawiło z nową siłą problem przeszłości w kształtowaniu teraźniejszości na porządku dziennym. Manipulowanie pamięcią zbiorową dla doraźnych korzyści politycznych jest powszechnym zjawiskiem.

W Polsce przewodzą pod tym względem partie i środowiska polityczne, które instrumentalnie traktują religię i wiarę. Nie kto inny jak prezes PiS-u Jarosław Kaczyński napiętnował wszystkich, którzy w wolnej Polsce „zapamiętali się w pojednaniu”. Ludzie dialogu z niemieckim sąsiadem uznani zostali za „pożytecznych idiotów o żebrazym usposobieniu”, „godnych pożałowania naiwniaków”, którzy wypowiadają się za niemieckie judaszowe srebrniki.

Kaczyński mówił: „Pojednanie najwyraźniej pomyliło się im z taką relacją, która już dawno temu została opisana przez psychologów, z relacją między słabą ofiarą a silnym prześladowcą, silnym katem, relacją amnezjno-atencyjną czy afirmacyjną”.

Rozgrywanie karty antyniemieckości, określanie Donalda Tuska jako „niemieckiego agenta” jest próbą mobilizacji prawicowego elektoratu. W jakim stopniu to odwoływanie się do utrwalonych resentymentów okaże się skuteczne, pokaże najbliższa przyszłość.

Ani w Polsce, ani w Niemczech nie ma dziś klasy politycznej, dla której umacnianie więzi i współpraca Polaków i Niemców byłyby priorytetami. Wojna i okupacja dla najmłodszego pokolenia jest wydarzeniem równie odległym jak powstanie listopadowe. Potrzebny jest dziś wysiłek obywatelski w poszukiwaniu wspólnego mianownika, wspólnych celów i opowieści, która ugruntuje poczucie wspólnoty i przynależności nie tylko z uwagi na wspólne niebezpieczeństwa, lecz również na wspólne pozytywne cele.

Prof. Jerzy Jedlicki napisał w 2013 r.: „Są takie chwile w zbiorowym życiu narodu, kiedy w sporze różnych orientacji politycznych i strategii wojskowych górę biorą ci, co odważają się działać najśmielej, bo wtedy ci, co żądają mniej i radzą postępować ostrożniej, wychodzą na ludzi małych i tchórzliwych. Doświadczenie i wyobraźnia nie mają siły porywu”.

Wprawdzie autor odnosił te uwagi do sporów zwolenników i przeciwników powstania styczniowego, mają one jednak głębszy sens. Dzisiaj stosunki polsko-niemieckie nie wymagają spektakularnych akcji ani eksponowania wielkich emocji. Doświadczenie uczy, że codzienna współpraca Polaków i Niemców w różnych dziedzinach życia pozwoliła na stworzenie oddolnych więzi, a wyobraźnia podpowiada, że skoro tak wiele na przestrzeni minionych dekad udało się osiągnąć, nie można tego zmarnować. ●

Tytuł tekstu - „Wyborcza”.



***Prof. Anna Wolff-Powęska**

• historyk idei, politolog, emerytowany pracownik UAM w Poznaniu.

FOT. ŁUKASZ CYWALENSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Michał Aniempadystau*

Wiara skrzywdzonego
(Elektorat)

Elektryczne pieśni
Transformatorowych spięć
Śpiewa co wieczór
Elektryk piany w sztok.

Elektorat głośnie,
Elektorat wybiera
Dotyk tym prądem.
To takie proste.
Dotyk tym kablem –
Nagła śmierć.

Heretyckie teksty
Zakazanych książek
Czyta co noc
New romantic boy.

Elektorat głośnie,
Elektorat wybiera
Kubek z trucizną.
To takie piękne.
Kubek z trucizną –
Słodka śmierć.

Chore historie
Podsluchane w tramwajach
Wygwizduje co rano
Hydraulik od rur.

Elektorat głośnie,
Elektorat wybiera
Narzędzie zbrodni.
Ostatnia nadzieja.
Narzędzie zbrodni –
Brutalna śmierć.

Tajemne znaki
Na ścianach budynków
Sprejuje dzielnie
Zbuntowany czyjś syn.

Elektorat głośnie,
Elektorat wybiera
Wiarę skrzywdzonego,
Prawdziwą wiarę,
Wiarę skrzywdzonego –
Ofiarowanie przez śmierć.

przeł. Jolanta Kilian



***Michał Aniempadystau** – białoruski grafik, designer, pisarz, poeta i tłumacz. Urodził się w 1964 r. w Mińsku, zmarł przedwcześnie w tym samym mieście w 2018 w wieku 53 lat. Mieszkał i działał w nim przez całe życie. M.in. autor libretta rock-opery „Narodny Albom”, której celem było, według jego słów, „stworzenie mitu zachodniej Białorusi okresu międzywojennego jako przejawu istnienia Białorusi w tradycji niesowieckiej”.

FOT. WIERSZALIN/DOMENA PUBLICZNA

Wiersz za: Michał Aniempadystau,
„**Prostyja stovy / Proste słowa**”, Mińsk - Poznań
- Białystok 2020. Książka jest m.in. zbiorem jego
tekstów oraz tekstów o nim.

JA, GOMBROWICZ,
REBELIANT

Część czytelników się obruszy. Bo jakże tak bez powagi traktować wielkiego Pisarza! Jednak takie dzieło, „Moi, Gombrowicz”, ukazało się we Francji i jest znakomite, w dodatku wierne gombrowiczowskiemu duchowi. Co nie dziwi, bo patronuje mu Rita Gombrowicz, a stworzyli je Andrzej Wolski i Piotr Woźniak, wychowani w Polsce, lecz od dekad z powodzeniem działający we Francji.

Wolski to scenarzysta i autor licznych filmów dokumentalnych, a Woźniak jest grafikiem, rysownikiem i twórcą filmów animowanych. Rysuje też dla bliskiego mi satyrycznego pisma „Le Canard enchaîné”, łączącego anarchiczny dowcip z obroną demokratycznych praktyk i wartości. Czyli poważne osoby, cieszące się autorytetem w swych dziedzinach, postanowiły opowiedzieć nam Gombrowicza inaczej niż dotąd. Bardzo chciałbym, by to ich dzieło ukazało się w Polsce.

Zdaję sobie jednak sprawę z tutejszych barier. We Francji komiks i graficzna literatura od dawna stanowią równorzędny ze słowem pisany środek twórczej ekspresji. W Polsce, choć często wyrwały się już z narracyjnej prostoty, wciąż ciąży na nich etykieta niepowagi i infantylizmu.

Szczęśliwie, młodsze pokolenia są od tego wolne. Myślę, że dzieło Woźniaka i Wolskiego trafiłoby do ich wrażliwości, pozwoliłoby im odkryć Gombrowicza innego niż

**Komiks
o Witoldzie
Gombrowiczu?**
Czy raczej graficzna
biografia w komikso-
wej konwencji?
Tak czy inaczej
dzieło świetne

Marek Beylin



pomnikowa postać, o jakiej na ogół uczy się w szkołach. A i starsi mieliby z tej książki pożytek poznawczy.

Przed wszystkim ta graficzna biografia zdejmując Gombrowicza z piedestału, na którym polska kultura postawiła go zaraz po śmierci w 1969 r., a przy tym nie odbiera mu wielkości. To opowieść lekka, dowcipna i trafnie oddająca myślenie oraz dzieło Gombrowicza, zwłaszcza jego wieczny bunt przeciw przymusowi form społecznych, które wpędzają jednostki w poddaństwo.

„Moi, Gombrowicz” łączy fragmenty prozy, korespondencji z odautorską narracją. Poczesną rolę odgrywają rysunki, przyczyniające się do tego, by odjąć Gombrowiczowi gębę narodowego wieszczka. Celnie, bo proceder „uwieszczenia” Gombrowicza „zawsze obśmiewał. Zapewne nieźle by się ubawił i zarazem zirytował, gdyby mógł ujrzeć siebie pośmiertnie jako kolejne wcielenie „naszego” polskiego pisarza-pomnika.

Śledzimy więc jego życie począwszy od młodości w dostatniej rodzinie ziemiańskiej, a związane z tym perypetie tożsamościowe, stanowiące klucz do dzieła pisarza, najlepiej oddają słowa Czesława Miłosza (z tekstu „Kim jest Gombrowicz”, 1970):

„Ja, Witold Gombrowicz, jestem człowiekiem i sobą, ale nie pozwa-



Piotr Woźniak, Andrzej Wolski, „Moi, Gombrowicz” („Ja, Gombrowicz”), przedmowa Rita Gombrowicz, przełożył z polskiego Erik Veaux, Éditions Denoël 2025.

lają mi być człowiekiem i sobą, bo zostałem zaklasyfikowany. Jestem panicz Witold, należę do wyższych i niżsi nie traktują mnie jako mnie samego, ale jako panicza. W wyznaniach o zabawach z fornalskimi dziećmi i o urzeczaniu izbą czeladną jest klucz do całej gombrowiczowskiej filozofii”.

Bo jesteśmy w permanentnym konflikcie między przyznawanym nam statusem, narzucaną zbiorowo klasyfikacją, a własnym „ja”. Co odnosi się również do ojczyzny, którą Gombrowicz zamienia na „syncyznę”, do narodu, ale też do wszelkich relacji międzyludzkich. Na tym polega niewola Formy.

I bez złudzeń: bunt przeciw Formie obrasta nową Formą. Nie da się uciec, można jedynie to pojąć, opisać i w ten sposób próbować się uleczyć. Tyle że Gombrowicz ni-

gdy nie uleczyl się z tej ciężającej mu Formy polskości. Zwalczal ją w sobie, szydził z niej, ale w niej pozostał, choćby przez to, że nigdy nie przestał się do niej rebeliancko odwoływać.

Wszystkie te wątki odnajdziemy w tej książce prowadzącej nas przez całe jego życie i dającej podstawowy wgląd w twórczość. Widzimy też jego osobność w życiu i prozie, tyleż naturalną, co pielęgnowaną, polegającą na odwracaniu kodów kultury i obyczaju. Poznajemy siłę i słabości, do których zresztą Gombrowicz się przyznawał, twierdząc, że na nich buduje swą twórczość.

Mam wrażenie, że „Moi, Gombrowicz” w dużej mierze wyra- sta z diagnoz Miłosza, co tylko po- twierdza wartość tego dzieła. ●

Polowanie na ludzi

Turyści – snajperzy. Sarajewskie Safari. Szukajcie tych hasel. Poszerzcie wiedzę o czło- wieku, bo ta, którą mamy, jest jeszcze zbyt mała.



Jarosław Mikołajewski

Felieton z cyklu: za pięć trzynasta

Szedłem Francuską zajęty myślami o wnuczce, o Pasolinim, o którym mam mówić na uniwersytecie, o dramacie, który mam czytać w Teatrze Polonia, o mamie, do której nie wiem, czy zdążę, zanim pojadę do córki, która kończy właśnie 35 lat. I nagle spotykam przyjaciółkę. Dawno niewidzianą.

A dzięki niej odkrywam do- brodzieństwo trudnych pytań, które musimy sobie stawiać od kie- dy wiemy, co dzieje się na świe- cie. Pytanie to dotyczy polowań, jakie mieli urządzać sobie turyści niektórych krajów europejskich – w tym Włosi – na mieszkańców i na żołnierzy Sarajewa.

Zaraz, zaraz – przytomnieję jak po ciężkim nokaucie – przecież sły- szałem o tym poprzedniego dnia. Przecież wiedziałem przez tę ca- łą dobę, która minęła od spotkania z przyjaciółką i od jej pytania.

I pytam: dlaczego przez tę do- bę żyłem, jak gdyby nic się nie zda- rzyło, jak gdyby świat był ogrodem powszednich przypadków z życia

wyższych sfer. Przecież – wracam do tej partykuły jak do aktu samo- oskarżenia – miałem i mam pod- stawy, żeby potraktować tę wia- domość poważnie, jako wiarygod- ne doniesienie prasowe, nie jako kłamstwo czy plotka.

Przecież (nalegam) chodzi o potworność, która powinna pod- ważyć wiarę w człowieka (lecz czy wciąż w niego wierzę?), po- kryć wrzaskiem przerażenia festi- wale książkowe, filmowe, agrarne, modowe, sprzętu agd i sprzętu do dziecięcej zabawy...

Przypomnijmy: grupy turystów miały (jest w tym „miały” jakaś nadzieja, że to jednak nie było na- prawdę) przyjeżdżać w latach 90. do Sarajewa, płacić grube euro, i strzelać z serbskich pozycji do ludzi, wybierając ze zbrodniczej oferty to, w czym znajdowali więk- sze upodobanie: strzelanie do do- rosłych, do dorosłych w mundu- rach, do dzieci...

Myślę, że łatwo poczuć tutaj zgrozę, więc nie na wywołaniu zgrozy mi zależy. Mielśmy już po- lityków, którzy jedli ludzkie mięso, mieliśmy i mamy obojętność na tych, którzy toną, mieliśmy i ma- my kłamców, którzy dzielą i oszu- kują narody, doprowadzając do nienawiści i życia przekreślone- go kłótniami.

Lecz mam wrażenie, że nigdy wcześniej nie przeżyłem 24 godzin w obojętnej świadomości o rzeczy potwornej, która wydarzyła się tu- taj, w „rodzinnej Europie”, w na- rodzie (Włosi, ale nie tylko oni), o którym myślę jako o najświęt- szym źródle inspiracji, podziwu, tęsknoty.

Aż spotkałem na Saskiej Kępie mądrą przyjaciółkę, która zadała mi to proste pytanie: co ja na to.

I cóż miałem jej do powiedzenia? Że nie potraktowałem z powa- gą tej pierwszej informacji, którą usłyszałem dzień wcześniej. Że żyło mi się jak zawsze, kupi- lem mamie kwiatek, córce na- szyjnik...

Możliwości jest sporo. Pierw- sza – że jestem zmęczony świa- tem, jego potwornościami, i nie ma już we mnie miejsca na śmiertelne wzburzenie. Druga – że stać mnie na bunt i poczucie ohydy, ale nie równocześnie z in- nymi wrażeniami, jakie niesie ży- cie. Że nawet taka potworność musi – jak mówi się o kartoflach – się utrząść. Żeby wyłonić się spod innych zdarzeń, choćby tyl- ko pod wpływem pytania, które przyjaciółka zadała mi na Fran- cuskiej. Trzecia – skoro nie mówi się o tym sarajewskim strzelaniu na początku serwisów, jesteśmy chyba zbiorowo znieczuleni pry- watnymi potwornościami w do- mach, masowymi jak rosyjskie bombardowania, gwałty, perwer- sje umysłu i wyobraźni.

Czy taki jest zgodny zamiar spraw- ców zbrodni?... Zbrodnia prawie że doskonała na naszym mózgu, wrażliwości, najczulszym organi- zmie? Żebyśmy byli niewzrusze- ni, a oni – by mogli spokojnie za- bijać?...

24 godziny. Tyle przetrwałem w zobojętniałym niedowierzaniu. Ale już dość. Szukam kontaktu do Ezia Gavazzeniego, dziennikarza, którzy wie o całej sprawie chyba więcej niż inni. I jest tak, jak gdy- bym chciał albo musiał dotknąć dna... Turyści – snajperzy. Sara- jewskie Safari. Szukajcie tych ha- sel. Poszerzcie wiedzę o człowie- ku, bo ta, którą mamy, jest jeszcze zbyt mała. ●

REKLAMA

Kraj/34403608

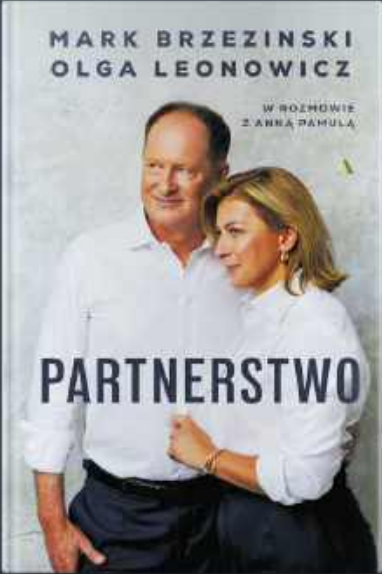


Opowieść o dwójce państwowców wspaniale reprezentujących to, co najlepsze w Polsce i Ameryce.

Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy

Fascynująca lekcja nowoczesnej dyplomacji i patriotyzmu. Hold dla odwagi, by iść ramię w ramię – w miłości i w służbie publicznej.

Aleksandra i Sławosz Uznańscy-Wiśniewscy



MARK BRZEZINSKI
OLGA LEONOWICZ
W ROZMOWIE Z ANNA PAHULĄ

PARTNERSTWO

SPOTKANIE AUTORSKIE

24 LISTOPADA GODZ.18

Biblioteka Główna
ul. Koszykowa 26/28
Warszawa

WSTĘP WOLNY!

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



www.wydawnictwoagora.pl





NORYMBERGI *mogło nie być*

Przed trybunałem Göring bronił się błyskotliwie, według wielu obserwatorów wygrał pojedynek z amerykańskim prokuratorem.

Z PROF. PAWŁEM MACHCEWICZEM ROZMAWIA MIROSŁAW MACIOROWSKI

1 RP



FOT. KEYSTONE-FRANCE/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES



• **Russel Crowe jako Hermann Göring w filmie „Norymberga” Jamesa Vandersbilt, który wchodzi na ekrany polskich kin 28 listopada. Powyżej autentyczne zdjęcie z procesu, który rozpoczął się 80 lat temu, 20 listopada 1945 roku**

FOT. MONOLITH FILMS

MIROSŁAW MACIOROWSKI: Na początku 1945 roku wcale nie było pewne, że dojdzie do procesu przywódców Trzeciej Rzeszy i innych zbrodniarzy nazistowskich.

PROF. PAWEŁ MACHCEWICZ: Alianci długo nie mogli uzgodnić, w jaki sposób wymierzać nazistom sprawiedliwość. Kluczowe decyzje w sprawie powołania Międzynarodowego Trybunału Wojskowego zapadły dopiero w sierpniu 1945 roku, czyli trzy miesiące po zakończeniu wojny w Europie. Wynikało to z różnicy zdań na temat postępowania z pokonanym wrogiem.

Jeszcze w kwietniu 1945 roku premier Winston Churchill i inni brytyjscy politycy uważali, że takie procesy będą bardzo skomplikowane, a ich efekt niepewny. Powoływali się na doświadczenia sprzed blisko trzech dekad, gdy po pierwszej wojnie światowej przed sądem postawiono grupę niemieckich polityków i wojskowych. Tamte procesy okazały się jednak farsą – zapadły w nich niewysokie wyroki, a oskarżeni chodzili w gorii bohaterów, bo zdaniem niemieckiej opinii publicznej spotkała ich krzywda. Brytyjczycy i Amerykanie obawiali się, że i teraz skutek będzie podobny. Uważali też, że przywódcy nazistowscy wykorzystają trybunał do autoprezentacji i gloryfikacji narodowego socjalizmu.

Wcześniej jednak Brytyjczycy i Amerykanie chcieli karać nazistów, choć pomysły na rozliczenia mieli niekoniecznie zgodne z prawem.

– Z dzisiejszej perspektywy mogą one szokować. Jeszcze w 1943 roku Churchill przedstawił swojemu gabinetowi projekt stworzenia listy około stu najważniejszych nazistowskich polityków i wojskowych, którzy mieli być sukcesywnie wylapywani przez oddziały zajmujące niemieckie terytorium i niezwłocznie rozstrzeliwani, bez sądu. O tym, kto ma stanąć przed plutonem egzekucyjnym, mieli na bieżąco decydować dowódcy wojskowi.

Natomiast Henry Morgenthau Jr, sekretarz skarbu w gabinecie prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina D. Roosevelta, opracował plan, który przewidywał niezwłoczne egzekucje czołowych przedstawicieli Trzeciej Rzeszy zaraz po ich schwytaniu, a dla innych podejrzanych o „zbrodnie przeciw cywilizacji” miały być ustanowione doraźne trybunały, które sądziłyby ich błyskawicznie. Oczywiście wyroki śmierci wykonywane byłyby natychmiast. Morgenthau planował też zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej wobec Niemców. Na całe grupy funkcjonariuszy związanych z NSDAP czy aparatem terroru miały spaść szeroko zakrojone represje. A miliony zwykłych Niemców miały być skierowane do prac przymusowych.

Projekt został przyjęty na konferencji w kanadyjskim Quebecu we wrześniu 1944 roku zarówno przez Amerykanów, jak i Brytyjczyków. Jednak gdy po kilku tygodniach wyciekł do prasy, wybuchł skandal, a Roosevelt i Demokraci uznali, że zaszkodziłby im politycznie, i z niego zrezygnowali.

A Sowietci?

– Początkowo również nie myśleli o żadnych procesach. Podczas konferencji w Teheranie w listopadzie 1943 roku Stalin rzucił przeciw słynne zdanie o masowym rozstrzeliwaniu Niemców.

Publicznie wznosił toast „za sprawiedliwość plutonów egzekucyjnych”.

– Tak, zapowiedział rozstrzelanie 50 tysięcy niemieckich oficerów wziętych do niewoli. Gdy Churchill się oburzył, Stalin stwierdził, że tylko żartował.

Zwykle jak Stalin mówił, że kogoś rozstrzela, to nie żartował. Dowodem choćby Katyń.

– Później jednak uznał, że publiczne rozliczanie winnych i egzekucje w majestacie prawa przynoszą lepszy efekt propagandowy, dlatego na wyzwolanych terenach zorganizowano procesy. W Charkowie 18 grudnia 1943 roku osądzono trzech niemieckich zbrodniarzy i jednego kolarboranta, a następnego dnia na placu miejskim w centrum powieszono ich w obecności kilkudziesięciu tysięcy ludzi.

Kiedy już alianci zdecydowali, że odbędzie się proces przywódców Trzeciej Rzeszy, doszło do sporu o to, gdzie ma on zostać zorganizowany.

– Sowietci naciskali, żeby to zrobić w Berlinie, czyli w stolicy państwa oraz w ich strefie okupacyjnej. Wprawdzie samo miasto zostało podzielone między mocarstwa, ale tereny dookoła były pod radzieckim nadzorem, co teoretycznie dawałoby im kontrolę nad procesem.

Amerykanie obstawali przy Norymberdze, która znalazła się w ich strefie okupacyjnej. Sięgali po argumenty symboliczne, że to miasto niezwykle ważne dla narodowego socjalizmu, odbywały się tam przecież słynne parteitagi NSDAP, w tym ten słynny zjazd z 1934 roku uwieczniony na filmie „Triumf woli” przez Leni Riefenstahl. Podkreślali, że Bawaria była sercem ruchu narodowo-socjalistycznego, jeszcze zanim Hitler doszedł do władzy. Ale wysuwali też argument pragmatyczny – Berlin był bardziej zniszczony niż Norymberga. Przede wszystkim jednak podkreślali, że w tym mieście przetrwał budynek sądu, a także więzienie, co okazało się istotne. Sowietci ustąpili. Dawało to Amerykanom przewagę, ponieważ całą logistykę procesu mieli w swoich rękach, a amerykański personel prawny był nieporównanie liczniejszy od sowieckiego.

Głównym oskarżycielem został zresztą Amerykanin Robert Houghwout Jackson, sędzia Sądu Najwyższego USA.



FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. dr hab. Paweł Machcewicz

• historyk, pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN, współtwórca i pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, współtworzył Instytut Pamięci Narodowej, w którym był dyrektorem Biura Edukacji Publicznej. Autor m.in. książek: „Wokół Jedwabnego” (z Krzysztofem Persakiem), „Wina, kara, polityka. Rozliczenia ze zbrodniami II wojny światowej (z Andrzejem Paczkowskim), „Narodowy komunizm po polsku. »Partyzanci« Moczara”.

– Tak, ale przestrzegano parytetu. Każde z czterech mocarstw miało po dwóch sędziów i dwóch prokuratorów. Podczas głosowań nad wyrokami amerykańska dominacja nie była więc tak wyraźna jak w codziennym funkcjonowaniu trybunału. Jego statut, zbiór przepisów regulujących podstawy działania tej wielkiej maszyny prawnej, powstał pod nadzorem Amerykanów. Również na akt oskarżenia największy wpływ mieli prawnicy zza oceanu. To oni przeforsowali, żeby kluczowe były w nim wątki „zbrodni przeciwko pokojowi” oraz „wywołania wojny napastniczej”. Amerykanie postulowali, żeby sądzić nie tylko zbrodnie – chcieli też udowodnić, że Hitler i jego otoczenie już długo przed wrześniem 1939 roku zaplanowali „wojnę napastniczą” i krok po kroku do niej dążyli.

Prawdę powiedziawszy, nie tak łatwo byłoby to udowodnić, gdyż specyfiką działania Hitlera i Trzeciej Rzeszy był chaos: zapadały jakieś decyzje, potem je odwoływano, do niektórych z czasem powracano, a do innych nie. Niemniej jednak spora część aktu oskarżenia dotyczyła tego, że plan podboju Europy powstał wiele lat przed wybuchem wojny.

Amerykanie zamierzali po prostu osądzić państwo Hitlera i udowodnić, że Trzecia Rzesza była jednym wielkim przestępstwem?

– I jeśli chodzi o konstrukcję prawną i polityczną tego procesu, ten aspekt był nowatorski. Po raz pierwszy przywódców suwerennego państwa postawiono przed trybunałem ustanowionym przez inne suwerenne państwa. Po raz pierwszy kraje, które wygrały wojnę, postanowiły wymierzyć karę pokonanemu krajowi. Oskarżeni oczywiście to kwestionowali, twierdzili, że zasada suwerenności państwowej jest naczelną. Jeśli więc mają stanąć przed sądem, to tylko własnego państwa, a nie przed międzynarodowym trybunałem powołanym przez zwycięzców.

Fakt, że ostatecznie przed nim stanęli, okazał się przełomowy, ponieważ otworzył drogę do powołania w przyszłości innych trybunałów międzynarodowych, na przykład do osądzenia zbrodni popełnionych w latach dziewięćdziesiątych XX wieku w czasie wojny w byłej Jugosławii czy w Rwandzie. Norymberga stała się też decydująca dla ustanowienia w 1998 roku Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze, który i dziś funkcjonuje, choć przez część państw, między innymi Stany Zjednoczone i Rosję, nie jest uznawany.

Nazistów, którzy ostatecznie stanęli przed trybunałem w Norymberdze, można uznać za reprezentację Trzeciej Rzeszy?

– Konstruuąc listę oskarżonych, zrobiono wszystko, by odwzorowywała ona elitę państwa narodowo-socjalistycznego. Mieli się na niej znaleźć przywódcy partii, aparatu terroru, armii, przemysłu i instytucji wykorzystujących ludzi do niewolniczej pracy przymusowej.

Kłopot polegał na tym, że zarówno Adolf Hitler, jak i przywódca SS Heinrich Himmler odebrali sobie życie, więc najważniejszych przywódców nie można było osądzić. Najwyższym rangą wśród oskarżonych był Hermann Göring, dowódca Luftwaffe, premier Prus, niewątpliwie jeden z najbliższych współpracowników Hitlera.

Na ławie oskarżonych zasiadli też między innymi: minister uzbrojenia i amunicji Albert Speer, szef Banku Rzeszy Hjalmar Schacht, dyplomaci Joachim von Ribbentrop i Konstantin von Neurath oraz dowódcy wojskowi – Wilhelm Keitel, Alfred Jodl, Karl Dönitz i Erich Raeder.

Ponieważ minister propagandy Rzeszy Joseph Goebbels także popełnił samobójstwo, znaleziono postać drugorzędną, Hansa Fritzschego, urzędnika ministerstwa propagandy i dziennikarza, autora popularnych pogadek radiowych.

Alianci bardzo chcieli osądzić także przemysłowców, którzy wspierali Trzecią Rzeszę, dlatego na ławie oskarżonych miał zasiąść Gustav Krupp, który stał na czele koncernu stalowego Friedrich Krupp AG. Jednak był już stary i schorowany, a w dodatku w 1943 roku przekazał władzę w firmie synowi Alfriedowi i to on ostatecznie stał się głównym oskarżonym w tak zwanym procesie Kruppa (1947-48).

Wśród oskarżonych znaleźli się oczywiście ludzie odpowiedzialni za wykorzystywanie ludzi do niewolniczej pracy, jak Fritz Sauckel, generalny pełnomocnik ds. wykorzystania siły roboczej, czy Robert Ley, przywódca Niemieckiego Frontu Pracy, czyli związków zawodowych kontrolowanych przez NSDAP. Jednak Ley popełnił samobójstwo w celi przed rozpoczęciem procesu.

Jakie linie obrony przyjęli członkowie elity Trzeciej Rzeszy?

– Bardzo różne. Hans Frank, generalny gubernator okupowanej Polski, jako jedyny okazał skrucę. Twierdził, że w więzieniu przeżył religijne nawrócenie i zdał sobie sprawę ze skali zbrodni popełnionych przez Trzecią Rzeszę. Jednak w zeznaniach dotyczących własnych zbrodni pomniejszał ich skalę. Trudno więc powiedzieć, czy ta skrucza była tylko grą, czy naprawdę miał wyrzuty sumienia. Trybunał oczywiście osądził go na podstawie dowodów i skazał na śmierć. Frank został powieszony.

Albert Speer, ulubiony architekt Führera, był człowiekiem błyskotliwym. Hitler w lutym 1942 roku powierzył mu kierowanie przemysłem zbrojeniowym. Niewątpliwie dzięki talentom Speera ten przemysł mimo bombardowań do ostatniej chwili pracował na pełnych obrotach i prawdopodobnie właśnie działania ministra Speera przedłużyły wojnę o kilka miesięcy. W Norymberdze twierdził, że z narażeniem życia sabotował polecenia Hitlera. Mówił też, że zamierzał dokonać na niego zamachu, rurami wentylacyjnymi wpuszczając trujący gaz do Kancelarii Rzeszy. Nie przedstawił na to jednak żadnych dowodów. Speer niewątpliwie odpowiadał za wykorzystanie niewolniczej siły roboczej i śmierć tysięcy robotników przymusowych, a mimo to na ławie oskarżonych okazał się skuteczniejszy od Franka, bo uratował głowę. Został skazany na 20 lat, w więzieniu napisał wspomnienia, które okazały się bestsellerem i do dzisiaj są wykorzystywane przez historyków.

Dużo mniej błyskotliwy był Fritz Sauckel, który kierował programem rekrutacji robotników przymusowych. Jego nieporadne i nieskładne tłumaczenia budziły zażenowanie. Dziwiono się, że ktoś tak prymitywny znalazł się na szczytach władzy Trzeciej Rzeszy. Jego wina nie budziła żadnych wątpliwości, został skazany na karę śmierci i stracony.

A najważniejsi wojskowi: feldmarszałek Keitel, generał Jodl czy admirałowie Dönitz i Raeder?

– Oczywiście tłumaczyli, że jako żołnierze wykonywali rozkazy. Wina dowódców wojsk lądowych była oczywista: z rozkazu Keitla na masową skalę rozstrzelano komisarzy politycznych z armii sowieckiej. Wehrmacht dokonywał też zbrodni na jeńcach wojennych i ludności cywilnej. Nie było wątpliwości, że prowadził wojnę metodami zbrodniczymi.

Większy problem był z admirałami, czyli Karlem Dönitzem i Erichem Raederem. O uczciwości procesu norymberskiego świadczy jednak to, że przyjęto, iż Kriegsmarine działała na takich samych zasadach jak marynarka wojenna Wielkiej Brytanii czy Stanów Zjednoczonych. Raczej nie łamała prawa wojennego, choć oczywiście dochodziło do przestępstw, rozstrzelani zostali na przykład brytyjscy komandosi, którzy próbowali zniszczyć instalacje w portach w północnej Francji, gdzie stacjonowały U-Booty.

Ostatecznie Keitel i Jodl zostali skazani na śmierć i powieszeni, natomiast Raeder dostał dożywocie, a Dönitz 10 lat więzienia.

Butny do końca był Julius Streicher.

– Gauleiter Frankonii i redaktor naczelny jadłowicie antysemitkiej gazety „Der Stürmer” pozostał przy swoich poglądach. Na sali sądowej komentował półgłosem, kto w składzie sędziowskim, wśród dziennikarzy i prokuratorów jest Żydem. Wzbudzał antypatię, wręcz pogardę podczas przesłuchania, które trwało zaledwie pół dnia. Nawet nie starał się wskazywać na okoliczności łagodzące i oczywiście został skazany na śmierć.

Ciekawym przypadkiem był Austriak Arthur Seyss-Inquart, komisarz Rzeszy w okupowanej Holandii. Prawnicy i historycy, którzy analizowali proces norymberski, spekulowali później, że mógł uratować głowę. Inni oskarżeni, na których ciążyły podobne zarzuty, nie dostawali kary śmierci, lecz dożywocie lub wyroki długoletniego więzienia. Seyss-Inquart podczas zeznań zadeklarował jednak, że nie odetnie się od Hitlera, ponieważ mimo zbrodni i błędów, jakie popełnił Führer, nadal uważa go za wielkiego niemieckiego przywódcę. I Seyss-Inquart został powieszony.

Nazista niezłomny.

– Być może stała za tym jakaś kalkulacja, może liczył na konflikt między zachodnimi aliantami a Sowietami, który już się zarysowywał. W trakcie procesu w Norymberdze Churchill wygłosił w Fulton swoje słynne przemówienie, w którym padło zdanie o podziale Europy żelazną kurtyną. Zaczynała się zimna wojna, Göring miał nadzieję, że proces zostanie przerwany, a nazistowscy przywódcy zrehabilitowani, pochwaleni za dalekowzroczność i zaproszeni przez państwa zachodnie do tworzenia nowego sojuszu antykomunistycznego. Okazało się, że to były płonne nadzieje.



• **Robert H. Jackson (1892-1954), sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, główny oskarżyciel nazistowskich przywódców w Norymberdze**

FOT. ZBIORY UNITED

STATES HOLOCAUST

MEMORIAL MUSEUM

A jak się bronił Göring?

– Dobrze. Główny oskarżyciel Amerykanin Robert H. Jackson był prawnikiem z najwyższej półki, sędzią Sądu Najwyższego, a mimo to wymiany zdań z najważniejszym oskarżonym nie były dla niego łatwe. Niektórzy obserwatorzy twierdzili nawet, że Jackson przegrał ten pojedynek.

Göring okazał się błyskotliwy. Twierdził, że to, co robiła Trzecia Rzesza, było normalną polityką państwową, próbą naprawiania krzywd, jakie według Niemców wyrządziły im niesprawiedliwe ustalenia traktatu wersalskiego z 1919 roku. Wskazywał wydarzenia z lat trzydziestych, które miały potwierdzać, że niektóre państwa zachodnie akceptowały do pewnego stopnia konieczność zadośćuczynienia Niemcom. Przywoływał na przykład konferencję w Monachium w 1938 roku, gdzie Wielka Brytania i Francja zgodziły się na to, żeby Trzecia Rzesza przylączyła do swego terytorium ziemie należące do Czechosłowacji zamieszkałe przez etnicznych Niemców. Polityka Trzeciej Rzeszy zdaniem Göringa niezależnie od nieprawidłowości, jakich dopuścili się niektórzy wojskowi i funkcjonariusze służby bezpieczeństwa, była motywowana racją stanu. Rządzący Niemcami, tak jak politycy zachodni, kierowali się po prostu interesem narodowym.

Masowe mordowanie Żydów trudno uzasadnić racją stanu czy interesem narodowym.

– Oskarżeni nie mogli zaprzeczyć, że Żydów zabijano. W Norymberdze zbrodniom na nich poświęcono wiele miejsca. Musimy jednak pamiętać, że termin „Holocaust” jeszcze nie istniał. Pojawi się dopiero w latach sześćdziesiątych, po procesie Adolfa Eichmanna w Jerozolimie. W czasie procesu norymberskiego nie do końca zdawano sobie sprawę ze skali mordów popełnionych na Żydach. Traktowano je jako fragment bardzo szerokiego pejzażu zbrodni.

Tuż po wojnie niemal nikt nie wiedział o istnieniu obozów zagłady w Treblince, Belżcu czy Sobiborze – Niemcy przed wycofaniem się zatarli ślady po fabrykach śmierci. W trakcie procesu norymberskiego Treblinka została wspomniana tylko raz, Sobibór i Belżec – wcale. Owszem, na wschodzie wyzwolono obozy – najpierw na Majdanku, a potem KL Auschwitz-Birkenau, ale w kwietniu 1945 roku Amerykanie i Brytyjczycy wyzwolili też wiele obozów koncentracyjnych na terenie Niemiec, i to właśnie zdjęcia i filmy zrobione wtedy na ich terenie kształtowały wyobraźnię społeczeństw Zachodu. Żydzi stanowili w nich tylko jedną z grup więźniów i ofiar. Postrzegano ich więc jako część wspólnoty cierpienia wielu narodów. Taka była wówczas świadomość prawników prowadzących proces.

Obroncy nazistów i oni sami twierdzili, że proces jest odwetem. Mówili o „sprawiedliwości zwycięzców”.

– Oczywiście można było tak pomyśleć, tym bardziej że wśród owych zwycięzców byli Sowieci. Zachodni prawnicy, szczególnie brytyjscy, mieli duży opór przed tworzeniem wspólnego trybunału z radzieckimi sędziami. Pamiętano procesy moskiewskie z lat trzydziestych, które były kpina z prawa, pamiętano terror stalinowski, a także to, że Związek Radziecki w 1939 roku był agresorem, sojusznikiem Trzeciej Rzeszy. Wiedzano o zbrodni katyńskiej, zdawano sobie sprawę z tego, że jeszcze w latach 1943-45 Sowieci dokonywali masowych

deportacji całych narodów z Kaukazu i Krymu, na przykład Tatarów. A Roman Rudenko, główny oskarżyciel sowiecki, wprawił w osłupienie zachodnich aliantów, gdy podczas przyjęcia zorganizowanego jeszcze przed procesem wznosił toast za to, żeby sądzić jak najszybciej z ławy oskarżonych trafili do grobów.

Proces norymberski był eksperymentem na ogromną skalę i wielką niewiadomą. Nie było wiadomo, czy mocarstwa będą ze sobą współpracować, czy sowieccy prawnicy nagle nie zaczną sabotować trybunału, gdy coś pójdzie nie po ich myśli.

Jednak w miarę ujawniania skali niemieckich zbrodni narastało przekonanie, że proces musi się odbyć, a kara powinna zostać wymierzona. I musi być skuteczniejsza niż ta, która spotkała elity cesarstwa niemieckiego po pierwszej wojnie światowej. Sytuacja była przecież absolutnie nieporównywalna.

Czy Norymberga daje podstawę do stwierdzenia, że nazizm rzeczywiście został osądzony i ukarany?

– Odpowiedź jest dwójaka.

Z jednej strony nigdy wcześniej żaden zbrodniczy reżim nie został rozliczony w takiej skali i w tak spektakularny sposób jak Trzecia Rzesza. W Norymberdze odbył się przecież nie tylko proces jej żyjących przywódców, ale też kilkanaście innych – już tylko przed amerykańskimi trybunałami – choćby lekarzy odpowiadających za zbrodnicze eksperymenty medyczne, prawników dokonujących mordów sądowych czy członków Einsatzgruppen dokonujących masowej eksterminacji ludności na okupowanych terytoriach. Poza tym oprócz Norymbergi zorganizowano setki innych procesów nazistów w całej Europie. Ocenia się, że ponad 100 tysięcy Niemców zostało skazanych przez sądy w różnych krajach. Na ogół te wyroki nie były wysokie, przeciętnie spędzali w więzieniach nie więcej niż kilka lat, często tylko kilkanaście miesięcy. Ale gdy uzmyslowimy sobie, że zbrodnie sowieckie, poza nielicznymi wyjątkami, w zasadzie nigdy nie zostały osądzone, to trzeba docenić rozliczenia Trzeciej Rzeszy, których skala była jednak duża.

Oczywiście jest i druga strona medalu: nie ma wątpliwości, że sprawiedliwość dosięgła jedynie ułamek sprawców. Zaangażowanie Niemców w zbrodnie było masowe – dokonywali ich żołnierze, siły policyjne, urzędnicy zza biurka, właściciele zakładów przemysłowych korzystający z niewolniczej pracy. W Holocaust zaangażowani byli nie tylko bezpośredni wykonawcy, ale również cała armia urzędników i na przykład także kolejarze.

Trzeba też zadać pytanie, jaka była edukacyjna i propagandowa rola tych procesów. Amerykanie przeprowadzali w trakcie procesu norymberskiego badania niemieckiej opinii publicznej i większość pytanym uważała, że jest on sprawiedliwy i potrzebny. Ale im dalej od zakończenia wojny, tym więcej Niemców widziało w procesach właśnie „sprawiedliwość zwycięzców”. Uważali, że kary spadają na niewłaściwych ludzi – dotyczą zwykłych Niemców przypadkowo uwikłanych w mechanizm aparatu państwowego Trzeciej Rzeszy, a nie faktycznych sprawców zbrodni.

Natomiast przeprowadzona po wojnie denazyfikacja, czyli usuwanie z urzędów publicznych, a niekiedy także z sektora prywatnego, członków NSDAP, postrzegana była jedynie jako zemsta, a nie sprawiedliwość.

Gdy w 1949 roku powstała Republika Federalna Niemiec, rozliczenia w zasadzie się skończyły. W latach pięćdziesiątych i zwłaszcza sześćdziesiątych doszło do pewnej liczby procesów, jednak naziści, często zbrodniarze z SS czy Gestapo, bez problemów zajmowali wysokie stanowiska w zachodnioniemieckiej policji. Sędziowie, którzy w Trzeciej Rzeszy skazywali na śmierć niewinnych ludzi, nadal orzekali w sądach.

W kontekście sądenia nazistów trudno nie wspomnieć o zbrodniach dokonywanych współcześnie przez Rosjan w Ukrainie. Czy procesy sprzed 80 lat niczego ludzkości nie nauczyły?

– Mimo wszystko uważam, że dorobek Norymbergi jest ważny. Różne kategorie zbrodni, które zostały wtedy zdefiniowane, na przykład zbrodnie przeciwko ludzkości czy ludobójstwo, stały się podstawą wielu późniejszych procesów, o których wspominałem.

Oczywiście, gdy czytamy doniesienia o zbrodniach Rosjan w Ukrainie, czujemy bezsilność. Ale przecież są one skrupulatnie dokumentowane przez państwo ukraińskie. Pamiętamy, że istnieje Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, i jeśli dojdzie kiedyś do wymierzenia sprawiedliwości sprawcom zbrodni w Ukrainie, to mamy gotowe uregulowania prawne do tego potrzebne. I jest to w pewnym sensie zasługa Norymbergi. ●

Rozmawiał Mirosław Maciorowski.



• **Demonstracja w Barcelonie, 12 października 2025 roku. Uczestniczka niesie portret z wizerunkiem gen. Francisco Franco z napisem „Młodzi ludzie, obudźcie się. Franco powraca”**

FOT. LORENA SOPENA/EUROPA PRESS VIA GETTY IMAGES

Dyktatura rządziła zrazu jawnym terrorem, a przez następne dziesięciolecia „respektem przed terrorem”, czyli za sprawą powszechnie przyswojonego strachu. Ostatnie pięć wyroków śmierci dyktator, niemal konający, zatwierdził we wrześniu 1975 roku. – General zaczął rządy od rozstrzeliwania i skończył, rozstrzeliwując – mówi wybitny dziennikarz czasów opozycji i demokracji Miguel Angel Aguilar. – Ale po drodze umiejętnie dozwalał terror.

Po śmierci dyktatora jego reżim rozpadł się w ciągu dwóch lat, jego obrońcy poszli w rozsypkę. Przywracaniem demokracji kierowali namaszczeni przez generała król Juan Carlos I oraz czołowi dygnitarze i wyżsi funkcjonariusze dyktatury z pomocą wychodzących z podziemia lub wracających z emigracji przywódców opozycji. Obeszło się bez jednego wystrzału. Hiszpańska demokratyczna transformacja stała się wzorem, wręcz naśladowaniem dla wielu zrzucających dyktaturę krajów, w tym dla Polski.

„Hasło dzisiejszego rządu: »50 lat wolnej Hiszpanii« to jawny fałsz – pisze Cercas. – Po śmierci Franco, frankizm był za słaby, żeby pokonać antyfrankistów. A frankiści za słabi, żeby skończyć z frankizmem. Z tego impasu niemożności narodziła się Hiszpania demokratyczna”.

DELFIN ZDRADZIŁ DYKTATORA

W połowie XX wieku, u szczytu zimnej wojny, Hiszpania wydawała się zatrzęsnięta na cztery spusty w dyktaturze gen. Franco. Wegetowała na marginesie demokratycznego Zachodu i poza sojuszem NATO, ale ze strategicznymi bazami USA Rota i Moron (od 1953 roku) na swoim terytorium. Przytłoczona traumą po okrutnej wojnie domowej – z setkami tysięcy zabitych, setkami tysięcy republikańskich uchodźców rozrzuconych po świecie, od Związku Sowieckiego, po Meksyk, z dogorywającym podziemiem – wciąż tkwiła w kleszczach wojskowo-nacjonalistyczno-kościelnej tyranii.

Zadekretowane w 1958 roku Organiczne Zasady Ruchu Narodowego ustanawiały „jedność narodową jako przeznaczenie” Hiszpanii, a służbę ojczyźnie – jako „święty obowiązek i zbiorową misję” Hiszpanów. „Posłuszeństwo prawu bożemu” było „sprawą honoru”, a religia „Świętego Apostolskiego Rzymskiego Kościoła Katolickiego” i wiara – „jedynymi prawdziwymi i nieodłącznymi od świadomości narodowej”. Filary narodowej wspólnoty to „rodzina, miasto i związek zawodowy”. Wszystkie te święte pryncypia życia zbiorowego i indywidualnego caudillo Francisco Franco ogłaszał w artykule pierwszym jako „z samej swej natury wieczne i nienaruszalne”.

Umierając 18 lat później, generał nadal wierzył, że zostawia po sobie dyktatorski ustrój, jak mawiał, „zapięty na ostatni guzik” („atado y bien atado”) w wiernych rękach wychowanego w akademiach wojskowych księcia Juana Carlosa.

Stało się wręcz przeciwnie. Delfin Juan Carlos zdradził i poszli za nim kluczowi przywódcy rozpadającego się Ruchu Narodowego. Święte, wieczne, nienaruszalne zasady niedługo przeżyły „z łaski bożej wodza” zwycięskiej „krucjaty”. Jego zgon okazał się ich datą ważności. Ustrój został tak głęboko wydrążony, że oprócz garstki dygnitarzy, przyniętająca większość Hiszpanów miała go dość. Nikt nie chciał za niego ani umierać, ani zabijać.

Próba wojskowego zamachu stanu w 1981 roku, zrazu groźna, ale rychło gro-

Upiór generała Franco

Pół wieku po śmierci dyktatora, który rządził Hiszpanią przez 36 lat, pozostały po nim tylko znikające nazwy ulic czy miejscowości

Maciej Stasiński

J eżdżę zawodowo i prywatnie do Hiszpanii od 50 lat. Studio wałem w Madrycie, gdy dyktator gen. Francisco Franco leżał na marach, a do jego grobu dzień i noc wila się kilkukilometrowa pielgrzymka żałobników i gapiów. Potem byłem świadkiem i kronikarzem przemiany Hiszpanii ze skostniałej satrapii w demokrację liberalną. Nie sądziłem, że doczekam czasu, że generał Franco będzie „wiecznie żywy” jedynie dla jego pozagrobowych pogromców.

Kto zaglądał na sesję parlamentu w Madrycie w ostatnich miesiącach, mógł odnieść wrażenie, że w Hiszpanii toczy się dramatyczna walka z recydywą nacjonalistyczno-militarno-klerikalnej dyktatury, a złowrogi generał Francisco Franco Bahamonde gotów powstać z grobu.

Nie ma debaty w Kortezach, w której posłowie socjalistów lub ich koalicjantów z partii Podemos i Sumar nie obrzucaliby posłów

prawicowej opozycji wyzwiskami „faszyści”, „ultras” i „frankiści”. I to niezależnie od tego, czy pytają o korupcję rządu, czy o jego stosunek do dyktatury w Wenezueli. Za premierem coraz bardziej osaczanego socjalistycznego rządu mniejszościowego powtarzają, że racją stanu Hiszpanii oraz główną racją stojącą za zachowaniem jego władzy jest udaremnienie recydywy faszyzmu.

Już na początku roku premier Pedro Sanchez zapowiedział, że rok 2025, czyli 50., „jubileuszowy” rok po śmierci generała będzie uświetniony dziesiątkami uroczystości. Nic jednak z tej pompy nie wyszło. Nawet nie dlatego, że huczne obchody rocznicy tej śmierci – nie zaś rocznicy przywrócenia demokracji – wyglądałyby pokrętnie. Głównie dlatego, że w zgodnej opinii obserwatorów, historyków i publicystów nikogo dziś nie pociąga strzelanie do widma dyktatora, bynajmniej nie obalonego, lecz zmarłego we własnym łóżku w wieku 83 lat. Tymi egzorcyzmami żyją dziś tylko rządzący.

„Wstręt, jaki czuję do śmierci, nie pozwala mi cieszyć się ze śmierci nawet takiego ponurego i krwawego indywiduum jak Francisco Franco. Nie wiem, do diabła,

po co mamy to świętować!” – pisze Javier Cercas, wybitny pisarz i kronikarz współczesnej Hiszpanii.

BEZ JEDNEGO WYSTRZAŁU

Bilans tragicznej wojny domowej lat 1936-1939 jest znany. Kosztem przeszło pół miliona ofiar po obu stronach frontu zwyciężyli generałowie z caudillo Franco na czele. Rycerze pobłogosławionej przez Kościół katolicki „świętej krucjaty w obronie prawdziwej Hiszpanii” pokonali „judeo-masońsko-bolszewicką” anty-Hiszpanię. Sporny bywa bilans represji, jakie dyktatura rozpętała po wojnie, ale liczba rozstrzelanych, skazanych na śmierć lub długo więzionych w obozach koncentracyjnych sięga co najmniej kilkudziesięciu tysięcy.

Po wojnie domowej nie zapanował pokój, lecz duch triumfu, „zimna” wojna domowa pośród zdruzgotanego krajobrazu po bitwie. Dyktatura ściagała niedobitków pokonanej anty-Hiszpanii, skazywała ich na śmierć i więzienie. Setki obozów koncentracyjnych działały do drugiej połowy lat 40.

teskowa, była wywołana raczej terrorem baskijskich separatystów z ETA, usiłujących zniszczyć demokrację, niż samorodną tęsknotą wojska za dyktaturą.

KOGO DEMOKRACJA PRZERAŻA

Dziś, pół wieku od tamtych wydarzeń, po dyktaturze nie pozostała nawet nostalgia.

Powtarzany za demokracji przez kilka lat refren „za Franco żyło się lepiej” oddawał uczucia niektórych ludzi wyrosłych w strachu przed wszechmocną władzą i w posłuszeństwie rygorom nacjonalistycznego katolicyzmu. Nowe zjawiska: swoboda obyczajowa, w tym seksualna, obojętność na religię i wrogość wobec Kościoła, zrzucenie pęt dyscypliny społecznej, przestępczość i narkotyki – potęgowały u wielu ludzi przeświadczenie, że teraz wszystko wolno, że zapanowało rozprzężenie moralne, zanik wartości, zepsucie.

– Demokracja to nieporządek, a ludzi wychowanych w dyktaturze z jej porządkiem autorytarnym demokracja przeraża – mówi Fernando Savater.

I przypomina, że gdy w 1936 roku zbuntowani generałowie obalali republikę, nie była ona bynajmniej „cudną dziewczyną”, ale rozpadającą się, pogrążoną w chaosie demokracją parlamentarną. Republikę rozdzierał codzienny terror skrajnie skłóconych, dążących do unicestwienia przeciwnika sił politycznych oraz ideologicznych pasji. Dla połowy Hiszpanów Franco był wówczas zbawcą kraju.

– Gdyby republika była sprawnie działającą i zdrową demokracją liberalną, Franco nie miałby nic do roboty – uważa filozof, który w latach 60. i 70. ubiegłego wieku działał w opozycji, jako student spędził miesiąc w więzieniu.

Slogan „za Franco żyło się lepiej” miał też drugi, ironiczny sens. Oddawał pustkę, jaką generał pozostawił wielu ludziom sprzeciwiającym się dyktaturze – jeśli nie czynem, to w duchu i szeptem. Oto zabrakło znienawidzonego tyrana i wroga, „przeciw któremu żyło się prościej” niż teraz, w czasach wolności i pluralizmu idei, względnych wartości i autorytetów.

Dziś jednak nikt tego refrenu nie cytuje, nawet odchodzące sędziwe pokolenie.

KRAJ WYDRAŻONY, KRAJ ZASOBNY

– Dzisiejsza Hiszpania nie ma nic wspólnego z czasami dyktatury – mówi prof. Antonio Lopez Vega, historyk współczesności. – Społeczeństwo jest przeciwieństwem tamtego: pluralistyczne, różnorodne, europejskie, kosmopolityczne. Nikt nie broni tzw. tożsamości narodowej, istoty czy esencji hiszpańskości. Hiszpanie to wspólnota obywateli. Objawy regresu są śladowe, dotyczą bezpieczeństwa na ulicach, poczucia stabilizacji i bezpieczeństwa zatrudnienia, niepewności jutra, imigracji, czyli zjawisk właściwych dzisiejszemu kryzysowi demokracji w Europie.

Historyk dowodzi, a i nieuzbrojone oko dostrzeże, że żadna partia czy nurt polityczny nie tęskni ani nie odwołuje się do dyktatury frankistowskiej: – Nawet skrajnie prawicowy VOX nie ma niczego takiego na sztandarach. Mogą się pojawiać jakieś slogany, ale nikt nie próbuje lansować takich poglądów, nie ma ich ani w polityce, ani w społeczeństwie, ani



▲ Gen. Francisco Franco, przyszły dyktator Hiszpanii podczas defilady wojskowej w czerwcu 1936 roku. Miesiąc później armia pod jego dowództwem przeprowadziła zamach stanu i wybuchła wojna domowa FOT. BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

▼ Plaza Mayor w Salamance, październik 1937 roku. Demonstracja zwolenników gen. Franco po zdobyciu przez wojska nacjonalistyczne miasta Gijón FOT. WIKIPEDIA



w akademiach – mówi Antonio Lopez Vega.

Faszyzm zbliżony do włoskiego czy do nazizmu niemieckiego nie był po prawdzie ideologią hiszpańskiej dyktatury. Franco, ideowo zespolony z narodowym katolicyzmem, tępił aspiracje do władzy i narzucenia reżimowi ideologii rodzimego faszyzmu, czyli Falangi Jose Antonio Primo de Riveri. Tolerował go jedynie jako dekorację.

Dzisiaj faszyzm w żadnym rozumieniu tego pojęcia nie istnieje jako ideologia ani liczący się nurt polityczny. Prawica, czyli opozycyjna Partia Ludowa, oraz skrajna prawica VOX nie nawiązują do dawnych dobrych czasów dyktatury. Faszyzm jako ideologia, ruch i projekt ustroju nie mają wzięcia.

– Skrajna prawica VOX jest, owszem, na fali, ale to partia tradycjonalistyczna, nacjonalistyczna i ma skłonności autorytarne, ale nie lubi Kościoła katolickiego, jest antyklerykalna – mówi Fernando Savater. – Wcale nie upomina się o powrót Franco i porządków dyktatury.

Filozof wspomina, jak jeden z jego studentów opowiadał zdumiony, że na statku rybackim w Kraju Basków zobaczył w kajucie kapitana portret gen. Franco. – Kapitan, rodowity Bask, był wdzięczny, że generał darował kiedyś baskijskim rybakom pięćdziesiąt kutrów, żeby im pomóc w walce o połowy z konkurencją rybaków francuskich.

Hiszpania nie wspomina wdzięcznie generała Franco, nie tęskni za dyktaturą i nie podziela zasad ustroju, życia zbiorowego i urzędowej moralności; wręcz im zaprzecza. A młode pokolenie w ogóle go nie pamięta. Jednak uważny świadek epoki wie jedno: Franco nie pozostawił kraju zrujnowanego. Przeciwnie, solidne podstawy gospodarki rynkowej zbudowane w drugiej połowie jego długiego panowania umożliwiły szybki rozwój i skok w nowoczesność, którego zwieńczeniem było przystąpienie do Unii Europejskiej w 1986 roku. Zgadza się z tym ludzie odmiennych poglądów politycznych i światopoglądu.

– Franco odbudował kraj zniszczony po wojnie domowej oraz zostawił po sobie Hiszpanię zasobną, gotową do późniejszej modernizacji – uważa Ramon Perez Maura, publicysta dziennika „El Debate”, katolik i monarchista.

Tym właśnie od frankistowskiej różniły się dyktatury komunistyczne. Wprawdzie, tak jak reżim Franco, dławiły wszelkie

**Powtarzany
za demokracji
przez kilka lat
refren „za Franco
żyło się lepiej”
oddawał uczucia
ludzi wyrosłych
w strachu przed
wszechmocną
władzą**

prawa i swobody, zmieniając obywateli w poddanych, ale pozostawiały swoje kraje w ruinie, nienadające się do integracji ze wspólnotą międzynarodową opartą na gospodarce rynkowej. W chwili śmierci Franco nie panował w Hiszpanii demokratyczny kapitalizm, ale jednak – kapitalizm. To również sprawiło, że demokratyczna transformacja, choć nie bezbolesna, była w Hiszpanii społecznie o wiele łagodniejsza niż na komunistycznym wschodzie Europy.

– Hiszpania była za Franco wykluczona i zapędzona do rogu, zacofana i zepchnięta na margines Europy niczym rezerwat zwierzęcy, ale w przeciwieństwie do dyktatur komunistycznych Franco nie tylko rozstrzeliwał i wsadzał do więzienia. Nie zrujnował kraju, a przeciwnie: odbudował go gospodarczo – mówi Fernando Savater.

Modernizacja ekonomiczna Hiszpanii nastąpiła zwłaszcza po 1959 roku, gdy polityką gospodarczą zajęli się technokraci z Opus Dei: Laureano Lopez Rodo, Gregorio Lopez Bravo, Alberto Ullastres, którym dyktator dał wolną rękę.

Hiszpania była za Franco wykluczona, zacofana i zepchnięta na margines Europy

Transformacja kulturalna i światopoglądowa odmieniła społeczeństwo, zanim nastąpił przełom polityczny i instytucjonalny, który musiał czekać na śmierć dyktatora. Podobnie, transformacja zacofanej i autarkicznej gospodarki wyprzedziła transformację polityczną.

Od lat 60. młodsze społeczeństwo czytało nielegalne, krążące w drugim obiegu pisma, takie jak „Cuadernos para el Dialogo”, „Revista de Occidente”, gazety, książki i wiersze wydawane na emigracji i docierające masowo do kraju. Śpiewało pieśni i piosenki bardów opozycji. Masowa turystyka z krajów demokratycznego Zachodu do egzotycznej Hiszpanii oraz równie masowa emigracja Hiszpanów za pracą do „pierwszego”, demokratycznego świata, a do tego wyjazdy wakacyjne czy wymiana studencka sprawiały, że Hiszpanie widzieli swój kraj jako martwiejącego skansen polityczny i obyczajowy. Kobiety nie mogły mieć konta w banku bez zgody męża, rozwody i przerywanie ciąży były zakazane.

Wszystko to drażyło Hiszpanię kropla po kropli, nie naruszając jednak zewnętrznej skorupy ustroju i jego opresyjnych instytucji, bo jak przyszło co do czego, to reżim z przeciwnikami się nie patczył.

– Bitwę kulturalną frankizm przegrał w latach 60. ubiegłego wieku – Antonio Lopez Vega nie ma wątpliwości.

Otwarte dążenia rewolucyjne, skutecznie hamowała ciężka trauma wojny domowej. Jedyń liczącą się opozycją wewnętrzną była podziemna partia komunistyczna, której udało się stworzyć początki niezależnego od władzy ruchu związkowego. Ale i komuniści wyrzekli się rewolucji i postawili na pracę organiczną.

Przemiany kulturalne były dopełniane przez liberalne przemiany gospodarcze, które napędzały rozwój i przyrost dobrobytu, ale w przeciwieństwie do tych pierwszych dokończył ich od góry sam reżim.

– W 1960 roku PKB na głowę Hiszpana wynosił ok. 300 dolarów, a w 1973 – już 1300 dolarów – mówi Lopez Vega.

Ten liberalny grunt gospodarczy umożliwił gwałtowny rozkwit Hiszpanii po rozpadzie

dyktatury oraz płynne wejście do UE. Za późnego frankizmu PKB rósł o 7 proc. rocznie, wolniej tylko od Japonii. W 1974 r. hiszpański PKB per capita stanowił 79 proc. średniej europejskiej, w 2004 wzrósł do 90 proc., a po wejściu do Unii Polski i innych biedniejszych krajów postkomunistycznych podskoczył do 105 proc. średniej. Przez ostatnie 60 lat, od 1960 do 2020 r., dochód przeciętnego Hiszpana wzrósł pięciokrotnie.

– W dodatku za czasów dyktatury Hiszpania dorobiła się fachowej administracji publicznej oraz rzetelnych funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości, w tym sędziów, którzy mieli sporą autonomię i orzekali często bez ingerencji politycznej reżimu – dodaje prof. Lopez Vega. – To jest zasługa reżimu, o czym się nie pamięta.

ZMAGANIA Z UPIOREM

Jeśli więc generał Franco i jego dyktatura są dzisiaj tak martwi, to dlaczego pozostają tak żywi w retoryce rządzących? – pytam moich rozmówców. I nie chodzi tylko o to, że dopiero za obecnego rządu jego szczątki zostały w 2019 r. ekshumowane i przeniesione z monumentalnego mauzoleum w Dolinie Poległych w górach na północ od Madrytu do prywatnego grobu rodzinnego. Chociaż – także o to.

Zdaniem wielu należało to zrobić, bowiem mauzoleum, wzniesione pracą niewolniczą tysięcy więźniów politycznych dyktatury w 1959 r., raziło uczucia wielu Hiszpanów – jako pomnik chwały zwycięzców poległych w wojnie domowej i znak hańby pokonanych.

Antonio Lopez Vega wprawdzie uważa, że dobrze się stało, ale żałuje, iż grób dyktatora usunięto z faraonńskiego mauzoleum dopiero 40 lat po przywróceniu demokracji, a nie wcześniej. – To była anomalia w demokratycznej Europie.

Dla Ramona Pereza Maury ekshumacja stanowiła przykład spektaklu zastępczego, gdyż rząd chciał generała „pokonać pośmiertnie”: – Premier Pedro Sanchez bardzo chciał przejść do historii jako ten, kto rozniesie generała Franco.

Fernando Savater, choć od zawsze antyfrankista, agnostyk i liberal, wcale się nie cieszył: – To nie był dobry pomysł. Po co ruszać zmarłych i groby. To było wbrew chrześcijańskiej tradycji i szacunkowi dla umarłych.

Najbardziej sarkastyczny jest Miguel Angel Aguilar, weteran socjalizmu i wolnej prasy: – Udana operacja, ale połowiczna. Rząd nie powinien był usunąć grobu Franco raz na zawsze, ale usuwać go co roku od nowa i w pieszym kondukcje wlec trumnę z Doliny Poległych na cmentarz w Madrycie. Wtedy pokazaliby, jak dzielnie obalają dyktaturę.

– Frankizm to dzisiaj nie żywa groźba, lecz alibi dla rządzących – mówi Fernando Savater. – Nikt nigdy nie walczył równie zawzięcie przeciwko Franco, jak obecny rząd, choć Franco jest w grobie od 50 lat. W gruncie rzeczy zaś to obecny rząd, który kolonizuje wszystkie instytucje demokratyczne, sam upodabnia się do frankizmu.

Miguel Angel Aguilar nie zostawia na postępowaniu Sanchezu suchej nitki: – Rząd wywołuje zjawę Franco, żeby utrzymać władzę, ale to on sam jest nowym wcieleniem frankistowskiego sekciarstwa ideologicznego. Gorzej, mamy do czynienia z perwersyjną mutacją dzielenia narodu na prawdziwych Hiszpanów i anty-Hiszpanów. To wskrzeszanie antagonizmu rodem z wojny domowej, co piełgnował właśnie Franco. Opozycję pravicową redukuje się do faszystów i frankistów, żeby ich zożydzić. Z przeciwników politycznych robi się wrogów, jak zalecał Carl Schmitt [niemiecki filozof prawa popierający nazizm]. Odkopywanie rowów między dwiema Hiszpaniami, które zdawały się zasypane, to barbarzyństwo. Wszystko po to, żeby zachować władzę za wszelką cenę, obsadzić wszystkie instytucje swoimi, włącznie z najważniejszymi sądami. ●

Stare dobre czasy

Kim są kobiety?

Nie bez powodu ani w Starym, ani w Nowym Testamencie nie napisano, że są ludźmi.

Brzezińska



„Czy możemy zaufać kronikom polskim i obcym od IV do XVI wieku?” – zastanawia się Wojciech J. Cynarski w pracy „O kulturze militarnej i kulturze fizycznej na ziemiach lechickich”. „A gdyby nikt nigdy nie zaufał pieśniom Homera, czy odkopalibyśmy Troję? Logiczna dedukcja prowadzi do wniosku, że lechicka państwowość musiała funkcjonować na długo przed datą chrztu Mieszka I”.

Ponieważ książka Cynarskiego ukazała się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Rzeszowskiego, archeologdy i historycy jęli publicznie komentować, że dywagacje o Wielkiej Lechii nie są zgodne ze stanem badań. Należy je traktować raczej jako literaturę piękną niż naukową, jako że logiczna dedukcja nie zastąpi warsztatu badawczego.

Nie jest to dyskusja nowa.

W 1595 roku ukazał się traktacik o wdzięcznym tytule „Nowa rozprawa przeciwko kobietom, która dowodzi, że nie są one ludźmi”. Jej autor budował swe tezy głównie na podstawie wyprzeżonych i niezbyt dokładnych cytatów ze Starego i Nowego Testamentu. Jak to zwykle bywa, gromko powoływał się przy tym na wolność słowa i naukowych interpretacji. Skoro bowiem w naszej Sarmacji, jako że jest to kraj wszelkiej swobody – pisał – można wierzyć i nauczać, że Jezus Chrystus nie jest Bogiem, to tym bardziej można wierzyć i nauczać, co jest wszak o wiele mniej istotne, że kobiety nie są ludźmi.

Jego argumentacja była dość prosta: skoro w Biblii nigdzie nie napisano wprost, że kobieta jest człowiekiem, to widać nie bez powodu. Bo gdyby człowiekiem była, gdzieś by ją w Starym lub Nowym Testamencie stosownie określono.

Oczywiście są te kłopotliwe fragmenty w Księdze Rodzaju, lecz przecież napisano tam, że Bóg stworzył człowieka, a nie ludzi. Słowo „człowiek” odnosi się wyłącznie do mężczyzn i człowiekiem jest zatem Adam oraz jego potomkowie. Natomiast Ewa została stworzona na podobieństwo Adama i dana mu do pomocy, więc jest zwyczajnym narzędziem, którego mężczyzna potrzebuje, by powołał na świat kolejne pokolenia, podobnie jak kowal z pomocą młotka wykuwa miecz.

Jedynie Maryja jest człowiekiem, ale to wyłącznie dlatego, że Chrystus

został wprost w Ewangelii nazwany synem człowieczym. A kimże mógłby być ten człowiek – rodzic Chrystusa, jeśli nie Maryją?

Józef przecież nie był w tę sprawę zamieszany, wobec czego Maryja sama musiała jak gdyby wypełnić zadanie mężczyzny. Choć nie jest to właściwie takie pewne, bo przecież w Kanie Galilejskiej Jezus ostro ofuknął matkę i nie chciał mieć z nią nic wspólnego ani chybi z powodu jej płci i braku człowieczeństwa.

A ta nieszczęśnica z Kanaan, która prosiła Jezusa, by uzdrowił jej córkę od złego ducha? Przecież wielu cudzoziemców do niego przychodziło i do żadnego nie zwrócił się tak obcesowo jak do tej kobieciny. Przeciwnie, wszyscy inni otrzymywali pomoc i byli traktowani z wielką dobrocią. A tej biedaczce powiedział, że niegodne jest zabierać chleb dzieciom i dawać psom. Bo kobiety są psami, wstrętnymi zwierzętami, nie ludźmi i podobnie jak zwierzęta nie mają prawa do zbawienia. Gdyby bowiem dwóch ludzi zgrzeszyło w Raju, byłoby też potrzebne dwóch Chrystusów: mężczyzna za mężczyzn, a Chrystus kobieta musiałby cierpieć za kobiety. Skoro zaś przyszedł jeden Chrystus i był mężczyzną, nikt nie może zaprzeczyć, że jedynie mężczyzna, a nie kobieta jest człowiekiem.

I tak dalej, i tak dalej. Logiczna dedukcja to takie poręczne narzędzie.

W gruncie rzeczy nie wiadomo, czy „Nowa rozprawa przeciwko kobietom” powstała jako erudycyjny żart, czy jako pokupny tekst ze skandaliczną tezą opublikowany dla poratowania kiesy autora i wydawcy, czy wreszcie jest krytyką literalnej interpretacji Pisma Świętego. Ale wielu potraktowało ją jako rzetelny wywód teologiczny. Wśród teologów natomiast wywołała podobne reakcje jak dzisiaj książka profesora Cynarskiego wśród akademików: oburzeni profesorowie wydziału teologicznego w Wittenberdze, potem profesorowie z Lipska publikowali protesty i ostrzeżenia przeciwko temu „diabelskiemu pismu”. Włoskie tłumaczenie trafiło na indeks ksiąg zakazanych.

Mimo to traktat cieszył się popularnością i rozmaici mizogini czytali go z zachwytem. Bo zawsze znajdują się ludzie skłonni wierzyć, że kobieta nie jest człowiekiem, a wrogowie ojczyzny podstępnie odebrali nam pamięć o Wielkiej Lechii.

Zawsze znajdują się też autorzy, którzy takie z góry założone tezy gładko uzasadniają, a potem będą te manipulacje sprzedawać jako naukowe wywody. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka.

KRÓL

W PODRÓŻY

**Czteroletnia królowna Anna Katarzyna Konstancja,
córnica Zygmunta III Wazy, podczas jazdy kareta nabawiła się deformacji kręgosłupa.**

Aleksandra Skrzypietz

Wśredniowieczu władcy nieustannie się przemieszczali. Zmieniali miejsca pobytu, by kontrolować swych urzędników, rozpatrywać sprawy sądowe, korzystać z zebranych w spichrzach zapasów, które miejscowa ludność oddawała jako podatki. Ze względu na odległości i trudności komunikacyjne był to jedyny sposób na bezpośredni nadzór władcy nad należącym do niego obszarem.

Podróże dawały także okazję do poznania warunków życia poddanych, a nawet bezpośrednich spotkań panującego i jego ludu. Najbliższe otoczenie monarchy nie było wówczas liczne, ale zwykle towarzyszyła mu drużyna, która stanowiła jego ochronę. Jej członkowie wraz z nim „przejadali” wszystko, co zgromadzono w poszczególnych rezydencjach. Miejsca postoju dworu to przeważnie należące do władcy grody, miejsca umocnione, z czasem także ośrodki handlu i rzemiosła.

LUDWIK ZE „ZŁOTEJ KLATKI”

Tryb życia władców nie zmienił się wiele z początkiem epoki nowożytnej. Rozrastała się administracja, a nadzór nad nią stawał się łatwiejszy. Powstawały też nowe, obszerniejsze, piękniejsze rezydencje, ale królom nadal regularnie zmieniali miejsca pobytu. Władcy angielscy każdego lata wyruszali na objazd swego kraju (progress) i co roku wyznaczano nową trasę, by król mógł poznać coraz to nowe obszary i ich mieszkańców.

Królowie francuscy w XVI wieku budowali zamki w dolinie Loary i wędrowali pomiędzy nimi. Ale Katarzyna Medycejska jako królowa regentka postanowiła dokonać wielkiego objazdu kraju, by przedstawić swego nastoletniego syna Karola IX poddanym. Liczyła na to, że uspokoi nastroje, gdyż we Francji toczyła się wojna religijna. W trakcie tej podróży od stycznia 1564 roku do maja 1566 dwór pokonał cztery tysiące kilometrów.

Późniejsi władcy również wiele wędrowali i dopiero Ludwik XIV w połowie panowania zamknął się w Wersalu, nazywanym czasem „złotą klatką”, tracąc kontakt z poddanymi. Odtąd władcy Francji, choć czasem Wersal opuszczali, nie orientowali się tak dobrze w warunkach życia swego ludu. Spotykali



• „Wyjazd z Wilanowa Jana III i Marysieńki Sobieskich”, obraz Józefa Brandta z 1897 roku

FOT. Z KOLEKCJI MUZEUM
NARODOWEGO W WAR-
SZAWIE

się tylko z przedstawicielami elity i należy przypuszczać, że gdy Maria Antonina kazała zbudować sobie w parku wioseczkę (Hameau), sądziła zapewne, że tak właśnie wygląda codzienność na wsi: czyste owieczki i krówki ze wstążkami i dzwoneczkami na szyjach, mleczko podawane w porcelanowych filiżankach i śliczne domki, zawsze posprzątane i pięknie umeblowane.

WYJAZDY WOJENNE I GOSPODARSKIE

Władcy polscy również podróżowali, a Elżbieta Rakusanka w zamówionym przez siebie tekście „O wychowaniu księcia” kazała przypomnieć, że jej syn, król Jan Olbracht, podczas swoich wojaży zatrzymywał się czasem we wsiach i rozmawiał z ich mieszkańcami, dzięki czemu wiedział, jak wygląda ich życie i co ich trapi.

Polscy władcy przemieszczali się z powodu wojen lub uciekając przed zarazą, a także po to, by polować. Często wyjeżdżali z Korony (Królestwa Polskiego) na Litwę. Te podróże budziły niezadowolenie, gdyż nieobecność monarchy uważano za szkodliwą dla tej części kraju, w której go nie było, a rozległe tereny Rzeczypospolitej utrudniały kontakt urzędników z monarchą.

Wazowie dużo podróżowali, a nawet wyjeżdżali za granicę: Zygmunt III popłynął do Szwecji, by przejąć tam tron, Władysław IV wyjechał do Baden na kurację, a Jan Kazimierz musiał uciekać przed „potopem” na Śląsk, gdzie w Głogówku schroniła się Ludwika Maria.

Jan III Sobieski także wędrował ze swym dworem, a Rzeczpospolitą opuszczał w czasie kampanii wojennych. Dużo czasu spędzał na Rusi, by być bliżej frontu tureckiego i doglądać swoich prywatnych majątków. Z powodów politycznych blisko rok mieszkał w Gdańsku, a trzy razy uczestniczył w obradach sejmowych w Grodnie.

W średniowieczu otoczenie władcy było stosunkowo skromne, ale w XVI i XVII wieku się rozrosło. Wokół króla, królowej i ich dzieci gromadziło się liczne grono ludzi, którzy dotrzymywali im towarzystwa, pełnili urzędy, zarówno dworskie, jak i państwowe, stanowili też niższy personel odpowiedzialny za codzienną służbę u boku monarchy i jego rodziny.

KARETA PO WYBOJACH

W tym czasie wojaż dworu królewskiego był trudnym przedsięwzięciem wymagającym

dużego wysiłku i doświadczenia ze strony urzędników i służby. W Rzeczypospolitej organizacją podróży królewskich zajmował się obożny, który także dbał o pojazdy monarchy. Ale za porządek w czasie przejazdu odpowiadał podobozny i liczna niższa służba, a także pracownicy stajni. Zapewne w podróży ten personel był mniej liczny niż w najważniejszych rezydencjach, ale i w drodze nie można się było obyć bez ich usług. Z dworem podróżowali także rzemieślnicy odpowiedzialni za naprawę wozów, które na złych drogach – dobrych w ogóle nie było – nader często się psuły.

Ilustrację fatalnego stanu szlaków może stanowić przekaz, że podczas długiej podróży rodziny Zygmunta III w 1623 roku czteroletnia królowna Anna Katarzyna Konstancja nabawiła się deformacji kręgosłupa. Najpierw dwór płynął Wisłą do Malborka, a stamtąd do Gdańska. Droga powrotna wiodła przez Tucholę do Wielkopolski i ostatecznie do Warszawy. Dziecko siedziało w karecie, która straszliwie trzęsła na wyboistych drogach, i stąd skrzywienie kręgosłupa i garb. Jednak jej ciotki ze strony ojca i matki cierpiały na skoliozy, a brak witamin i słońca także mógł powodować krzywicę, zatem może to nie podróż doprowadziła do choroby.

Do dworu w podróży dołączali przedstawiciele elity, a każdy z nich miał swoich

ludzi, którzy ruszali wraz z panem, to zaś znacznie pomnażało liczbę podróżujących i zwierząt. Zapewnienie im noclegu i apro-wizacji bywało nie lada wyzwaniem. Z tego względu – podają przekazy francuskie – or-szak czasem dzielono i kierowano różnymi, choć nieodległymi trasami, w przeciwnym bowiem razie nie byłoby szans na zdobycie zaopatrzenia. Zapewne – zwłaszcza na nieco krótszych dystansach – jego część wożo-no ze sobą. W trakcie dłuższych wypraw zarówno produkty do kuchni, jak i stajni trzeba było kupować po drodze.

KRÓL W GOŚCINIE U MAGNATA

Władcy zatrzymywali się we własnych rezydencjach, a także w domach szlachty i magnaterii. Wielu gospodarzy liczyło na załatwienie przy sposobności swoich interesów, zatem okazało podejmowało władzę. Przykładem może być opis zimowej marszrutę dworu Jana III z Rusi do Warszawy. Dziennie pokonywano ponad 40 km, co uznać można za zupełnie niezłe tempo. Pierwszy nocleg wypadł w Rawie Ruskiej, następny w Tomaszowie, gdzie Marcin Zamoyski ugościł rodzinę królewską i jej otoczenie wieczerzą i winami węgierskimi.

Potem zatrzymano się w klasztorze Dominikanów w Krasnobrodzie, a trzeciego dnia w Szczepieszynie, gdzie znów Zamoyski wydał bankiet z tańcami. Kolejną stacją były Pilaszkowice należące do Sobieskich, a potem nocowano w Bełżyczach. Wisłę pokonano promem w Kazimierzu. Dalej droga wiodła na Kozienice i Górę Kalwarię. Jednak dwór chciał ominąć tę ostatnią miejscowość, więc skręcił na Waręk, gdzie mostem przeprawił się przez Pilicę i ruszył na Grójec.

Jan III „pragnął ominąć Górę Kalwarię, by nie spotkać się z biskupem poznańskim [Stefanem Wierzbowskim], który, pod pozorem przygotowanej uczty, pragnął wyjednać sobie biskupstwo krakowskie”. Tymczasem król postanowił przekazać jej biskupowi chełmińskiemu Janowi Małachowskiemu w zamian za jego zasługi. Co prawda Wierzbowski zamierzał zapisać w testamentie Górę Kalwarię królewiczowi Jakubowi i to także chciał omówić z monarchą, ale Jan III, pragnąc uniknąć spotkania, ominął jego rezydencję.

Wizyta dworu w prywatnej posiadłości wiązała się nie tylko z koniecznością jego utrzymania, ale także z podarkami, które wręczano rodzinie królewskiej na odjeździe. Jesienią 1693 roku Sobiescy zatrzymali się w Wiszence u wojewody braclawskiego Jana Gnińskiego. Na pożegnanie król otrzymał pięknego ogiera, Maria Kazimiera – cug koni, każdy z królewiczów – konia, a Teresa Kunegunda – pierścień diamentowy. Gniński, skonfliktowany wtedy ze swoim szwagrem, łowczym koronnym Stefanem Potockim, zabiegał o przychylność monarchy.

Gdy w 1646 roku Ludwika Maria wraz z Władysławem IV gościli w Białym Kamieniu, tamtejsza gospodyni Gryzelda z Zamoyskich Wiśniowiecka sprezentowała królowej karetę i sześć koni, a kobietom z jej otoczenia po parze złotych kolczyków.

Zwyczaj te nie obowiązywały jedynie w Rzeczypospolitej, w Anglii niektóre rezydencje długo nie potrafiły wyrównać strat wywołanych wystawnym goszczeniem dworu królewskiego podczas letniego objazdu. Natomiast wszelkie uchylenia wobec władcy mogły skończyć się kłopotami.

W 1638 roku wojewoda sieradzki Kasper Denhoff podejmował dwór Władysława IV w swojej Kruszynie, zaniedbał przy tym starań o posilek pańien królowej Cecylii Renaty,

które „w innej izbie niż miejscowe kobiety na głodno przyjmowano”. Cecylia Renata uznała to za afront. Kiedy jakiś czas później monarcha chciał uczynić Denhoffa marszałkiem dworu królowej, Cecylia Renata długo się temu opierała.

Z RONDAMI W DROGĘ

Zaskakującym elementem podróży monarchów był fakt, że wzięli ze sobą mnóstwo przedmiotów, które dzisiaj zabiera się ze sobą rzadko. W kolejnych rezydencjach na królewskich ośrkach nie czekały gotowe, w pełni wyposażone apartamenty, zatem wojaż przypominał wyjazd na piknik. Zabierano ze sobą nie tylko zaopatrzenie, ale także całe wyposażenie kuchni. Wraz z królem wieszono rondle, serwisy, obrusy i wszystko, co potrzebne do przygotowania i podania posiłku. Z władcą jechała przynajmniej część służby kuchennej. W taborze wieszono także wyposażenie sypialni: materace, pościel, kobierce, czasem nawet składane łóżka. W każdym miejscu – poza tymi specjalnie przygotowywanymi przez prywatnych gospodarzy, którzy z rozmachem podejmowali panującego – rozkładano sprzęty, by władcy i jego rodzinie było wygodnie. Można więc wyobrazić sobie, jak trudne logistycznie było przygotowywanie królewskiego noclegu, by – czasem już następnego dnia – wszystko pakować i ładować na wozy.

Najciekawsze opowieści na temat kłopotów z zakwaterowaniem pochodzą z Francji. W grudniu 1637 roku Ludwik XIII przyjechał do Luwru, by zjeść kolację ze swą żoną Anną Austriaczką, ale zamierzał ruszać dalej, zatem jego sypialnia nie była przygotowana. Mimo to królewskie szambelan uznał, że pogoda jest fatalna, i namówił władcę, by pozostał

w pałacu. Monarcha zrezygnował z wyjazdu, jednak musiał dzielić sypialnię z żoną. Para królewska od dawna żyła w pewnym oddaleniu, ale – jak mówiono – dziewięć miesięcy po tamtej nocy na świat przyszedł następca tronu, przyszły Ludwik XIV.

Natomiast w styczniu 1649 roku wybuchł bunt w Paryżu. Anna Austriaczka, już wówczas regentka – przerażona wieściami z Anglii, gdzie uwięziono i sądzono Karola I Stuarta – w lęku o życie swych synów, nocą potajemnie wyjechała do Saint-Germain-en-Laye. Towarzystwo jej kilka najbardziej zaufanych osób z dworu. Gdy przybyli do pałacu okazało się, że żadna z komnat nie nadaje się do zamieszkania. Wyjazdu nie planowano, więc nie – ani sypialnie, ani kuchnia, ani nawet drewno na opał – nie było przygotowane. Zwykle królewskie pałace pozostawiano pod opieką skąpej liczby służących i szykowano na przyjazd władcy, dopiero gdy wydano odpowiednie rozkazy. ●



Pod koniec listopada ukaże się książka Aleksandry Skrzypietz „Życie codzienne na dworze Jana III Sobieskiego” (Wydawnictwo DiG).

REKLAMA

Kraj/34406617



zwierciadło

psychologie der
sens

 FILMWEB ciekawostki
historyczne.pl

wyborcza.pl



LIBRUS
wspieramy czytanie

DO RZECZY

empik

weekendówka
180

NA EKRANIE

Są już inne, ustanowione przez ONZ tego typu święta: Światowy Dzień Wolności Prasy, Światowy Dzień Społeczeństwa Informacyjnego, wreszcie Światowy Dzień Informacji na temat Rozwoju. Dokładanie kolejnego nie ma zbyt wielkiego sensu.

Telewizja jest tylko jednym ze środków przekazywania informacji oraz medium, do którego większość światowej populacji nie ma dostępu. Owa większość mogłaby odebrać Światowy Dzień Telewizji jako święto bogaczy. Oni nie mają jak oglądać telewizji. Są znacznie istotniejsze media, które dostarczają informacje, jak choćby radio. Naszym zdaniem istotniejsze jest wzmocnienie roli tych innych mediów bardziej niż telewizji". Tak przekonywał 17 grudnia 1996 roku, podczas 51. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ delegat z Niemiec.

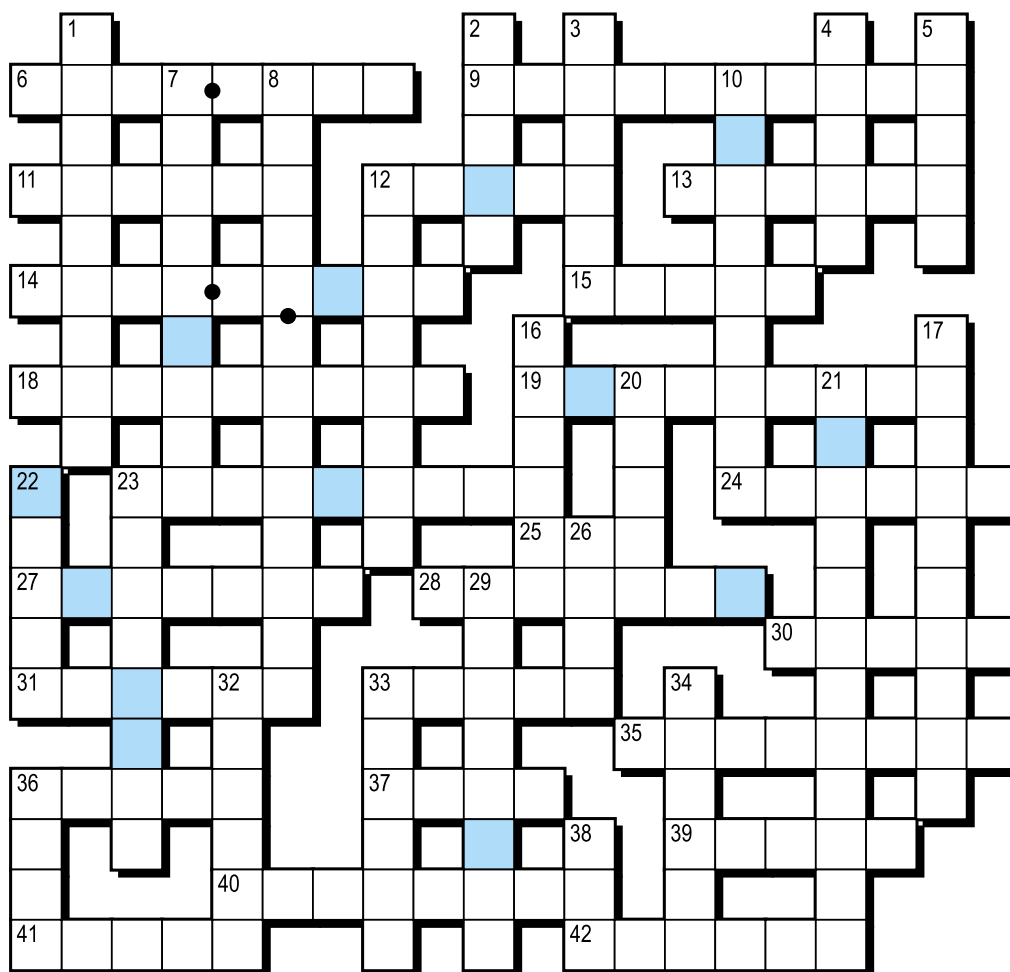
Podczas głosowania nad ustanowieniem Światowego Dnia Telewizji ostatecznie więc się wstrzymał, podobnie jak przedstawiciele 10 innych krajów, Stanów Zjednoczonych, Wlk. Brytanii, Japonii, Szwecji, Norwegii, Czech, Holandii, Danii, Haiti i Finlandii.

141 głosów było „za” i tak 21 listopada obchodzimy Dzień Telewizji. Dlaczego akurat wtedy? Otóż pomysłodawcy uznali, że będzie idealną rocznicą, bowiem tego dnia w 1996 roku odbyło się Pierwsze Światowe Forum Telewizji, podczas którego stacje telewizyjne oraz światowe organizacje mediów debatowały o dziennikarskiej odpowiedzialności, roli telewizji w świecie demokratycznym i generalnie przekazie informacji.

Nie ma żadnego programu obchodów: w każdym kraju może być celebrowany inaczej, o ile w ogóle. Zwyczajowo emitowany jest międzynarodowy spot, kilkunasto- bądź kilkudziesięciosekundowy, który ma promować i podkreślać rolę telewizji. Prezentowane są reportaże i programy o historii tego medium, czasem debaty branżowe. Generalnie świętuje się ów dzień po prostu przed telewizorem.

A wywoływane przez niemieckiego delegata radio? Doczekało się, a jakże! Światowy Dzień Radia obchodzony jest od 2012 roku 13 lutego, z inicjatywy Hiszpanii i proklamowane przez UNESCO. Ale to już zupełnie inna historia. Bo dzisiaj „Weekendówkę” poświęcamy telewizji. Dobrego odbioru! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 179 z 15.11:

Poziomo: 8) żaróweczka
11) teatr 12) wosk
13) pochodnia 14) niebo
15) lasery 16) tunel
17) neonek 19) Kofta
20) ściana 21) Edison 22) oczy
23) Almodovar 27) rok
28) szafka 29) piksel 30) tęcza
31) emanacja 34) pobór
37) ogienek 38) efekty
39) anioł 40) okna 41) jupitery

Pionowo: 1) lampka
nocna 2) półcień
3) menory 4) latarnia
morska 5) żyrandole
6) oświecenie 7) fosfor
9) zenit 10) zapalniczka
18) ranek 19) kandelabry
24) luks 25) Vader 26) Natalia
27) rachunek 29) powieść
32) napisy 33) czoło 34) pokój
35) aktor 36) race

HASŁO: REFLEKTOR AUTA

KRZYŻÓWKA TELEWIZYJNA
Literey w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

6) program, w którym gospodarz rozmawia z zaproszonymi gośćmi, zwykle przy udziale publiczności
9) do poczytania na ekranie
11) ... medialny, np. Rupert Murdoch
12) nikt nie lubi, gdy są przerywane reklamami
13) stacja ze słoneczkiem w logo
14) bohater serialu telewizyjnego „Stawka większa niż życie”
15) ostatni odcinek serialu albo ostatni odcinek reality-show
18) ... obrazu na ekranie,
czyli brak płynności w jego wyświetlaniu
19) poprowadzi program śniadaniowy

23) telewizor to ... Johna Logie Bairda
24) ...-show, program taki jak np. „The Voice of Poland”
25) imię Drzyzgi, prezenterki i dziennikarki
27) ... oglądalności telewizji (pomiar)
28) wyraz taki jak „TVP”, „TVN” lub „BBC”; skrótowiec
30) niejeden na pilocie
31) sięgają zenitu, gdy oglądamy ciekawe zawody sportowe
33) „Szkłana pogoda, ... niebieskie od telewizorów” (Lombard)
35) ... członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji trwa sześć lat
36) „... Szeszatkowa”
37) czas, gdy w telewizji często lecą powtórki seriali, programów
39) imię DeGeneres, amerykańskiej gospodyni popularnego talk-show
40) zapis obrazu lub dźwięku
41) w parze z fonią

42) ludzie zarządzający i decydujący o kierunkach rozwoju stacji

Pionowo:
1) emitowanie sygnału telewizyjnego
2) TVN ..., kanał o tematyce lifestyle'owej
3) Jacek, w 1972 r. nagrał piosenkę „Telewizja” („Telewizja pokazała, a uczeni podchwycili...”)
4) napisy, np. do filmów
5) TVP – „19.30”, Polsat – „Wydarzenia”, TVN – ?
7) lampy obrazowe stosowane w dawnych telewizorach
8) reality-show, którego uczestnicy przebywają w egzotycznym kurorcie, np. na rajskiej wyspie
10) ... RTV, opłacany przez posiadaczy odbiorników radiowych lub telewizyjnych
12) Krajowy ... Piosenki Polskiej w Opolu, od lat transmitowany w TV

16) był nim Jan Suzin
17) bezpośrednia relacja z jakichś wydarzeń, przekazywana na antenie
20) mały ..., czyli telewizja
21) „Awantura o kasę” i „Jaka to melodia”
22) wpinane do teleodbiornika
23) siedzą i oglądają
26) ... transmisyjne, tabor stacji telewizyjnej
29) imię Loski i Czubówny
32) imię Szczepkowskiej, która 28 października 1989 r. ogłosiła w „Dzienniku Telewizyjnym” koniec komunizmu w Polsce
33) Zygmunt, potentat medialny kojarzony z Polsatem
34) niejedna w studiu telewizyjnym
36) niezły, gdy oglądamy świetną komedię
38) ryczy dla wytwórni Metro-Goldwyn-Mayeri

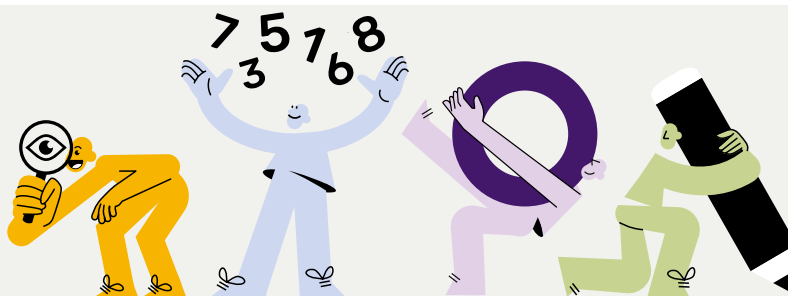
Leszek Rydz

...ŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34392298

Literówka • Quizy Sudoku • Krzyżówki

Szukaj  w  APLIKACJI
WYBORCZEJ



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

